LICEA NIE SĄ DLA WSZYSTKICH

IRAŃSKI PRZYCZÓŁEK SWOBODY W SIECI

ŚWIAT TOLKIENA WE WŁADZY AMAZONA

Kraków 16 października 2022 nr 42 (3823) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

KS. ADAM BONIECKI:

Wracam do siebie

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

CONRAD FESTIVAL

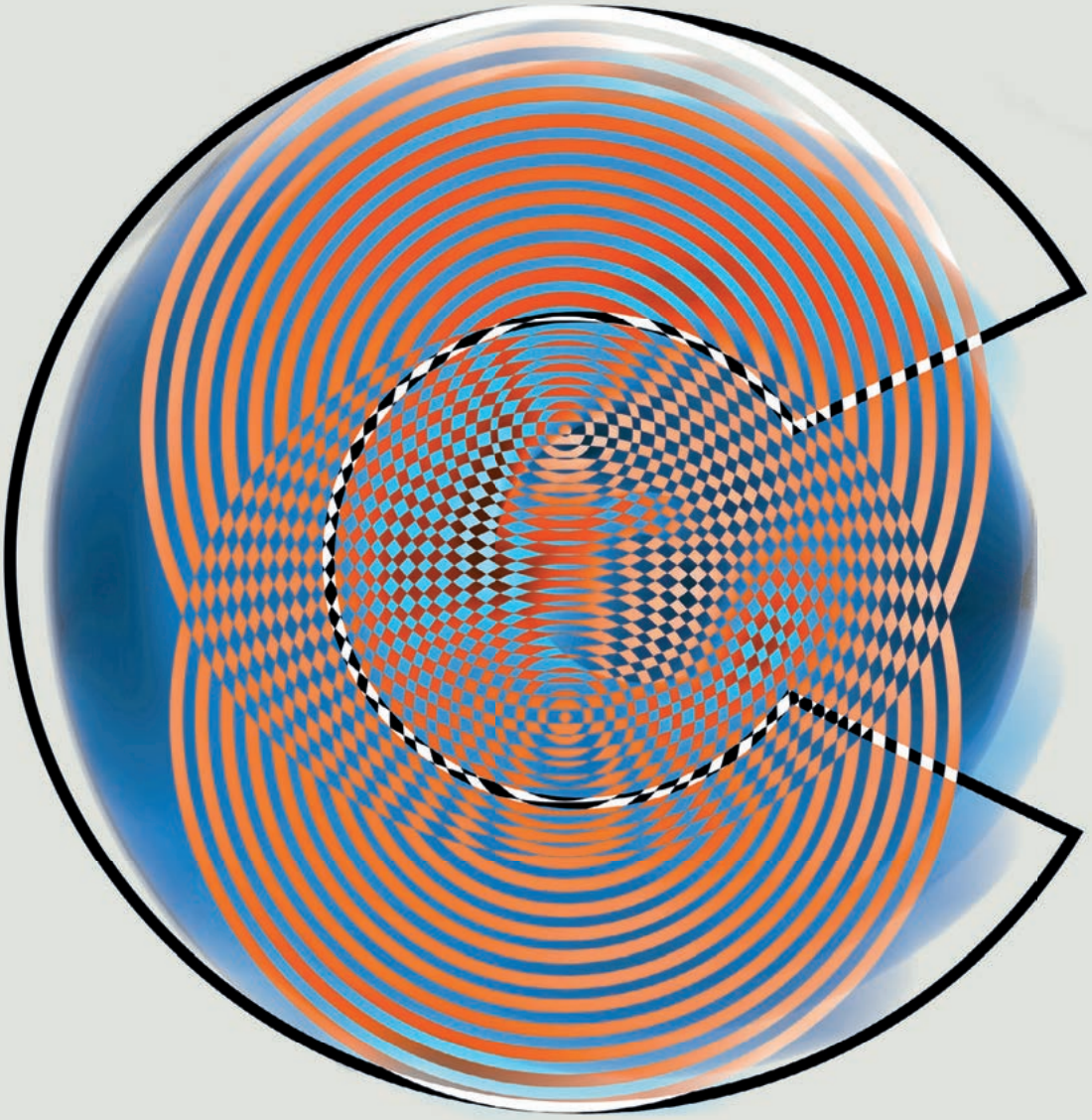

24-30.10.2022

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL LITERACKI

WSPÓLNOTY

Organizatorzy:

Kraków

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA kbf:

KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Dofinansowanie:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

ZAMÓW TANIEJ

swoją prenumeratę na 2023 r. zawczasu tylko do 2 listopada!

Szanowni Państwo,

2 listopada zmienimy cennik prenumeraty „Tygodnika Powszechnego". Nie będzie już można zamówić niektórych opcji czasowych i promocyjnych, a cena pozostałych nieznacznie wzrośnie.

Ogromne, bezprecedensowe podwyżki cen papieru gazetowego, prądu, gazu i transportu to cztery krytyczne czynniki, które wymuszają na nas konieczność podwyżki ceny prenumeraty.

Detaliczna cena wydania wzrosła już kilka miesięcy temu, do 12 złotych. **W zwykłej prenumeracie rocznej to wciąż koszt około 9 złotych za wydanie.**

Z podwyżką ceny prenumeraty wydania drukowanego pisma zwlekaliśmy jak najdłużej, chcąc Prenumeratorom – naszym najbardziej oddanym Czytelnikom – umożliwić jej **zakup na jak najlepszych warunkach**.

Prenumerata jest najkorzystniejszą finansowo, dla nas i dla Czytelników, najbardziej efektywną formą dystrybucji prasy drukowanej – w ramach prenumeraty każdy egzemplarz, bez konieczności drukowania egzemplarzy nadmiarowych, trafia w ręce oczekujących go osób.

Serdecznie zapraszamy wszystkich naszych Czytelników do wykupienia lub przedłużenia prenumeraty jeszcze w październiku 2022 – na kolejne okresy rozliczeniowe. **Taniej** – bez względu na bardzo niepewną sytuację rynkową.

Dziękujemy, że jesteście Państwo z nami.

Jacek Ślusarczyk
Prezes Zarządu
Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Ratuj się, kto może
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Sześciolatki zaciekle bronione niemal dekadę temu przed szkołą właśnie kończą podstawówki. I kolejny raz słono płacą za reformatorski chaos. Poza rodzicami ich los nikogo już nie obchodzi.

32 Sobór przekroczył granice
EDWARD AUGUSTYN
Dobrze przygotowany przez Watykan spektakl szybko wymknął się spod kontroli, a aktorzy odmówili gry wedle ustalonego scenariusza. Od inauguracji największego zgromadzenia biskupów minęło 60 lat.

42 Selfie bez hidżabu
NATALIA MILESZYK
Przykład Iranu pokazuje, że swobodny dostęp do internetu jest dziś niezbędny, aby można było mówić o wolności słowa.

54 Rakieta dża-dża
EWELINA BURDA
Dziewczyna z robotniczej rodziny, talentem i uporem podbiła snobistyczny świat tenisa: Jadwiga Jędrzejowska, najwybitniejsza polska zawodniczka lat międzywojennych.

64 Smoki i puste światy
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Według radykalnych kreacjonistów dowcipny Bóg stworzył świat sześć tysięcy lat temu. Po czym rozmieścił pod ziemią skamieniałości i przemieszał warstwy, żeby nasz świat był ciekawszy. J.R.R. Tolkien jest właśnie takim stwórcą.

78 Uszy się nie mylą
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z AUSTRII
Nie wierzcie bajkom! Osiołek to żaden głupek i uparciuch. Do listy rzeczy, które mu zawdzięczamy, dołączyła właśnie terapia mentalna. W Alpach korzystają z niej europejscy sportowcy.

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER // EAST NEWS / ALBUM // NAC // ALESSANDRA SARTI / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI PROF. PERNITSCHA // BEN ROTHSTEIN / PRIME VIDEO / MATERIAŁY PRASOWE // VAHID SALEMI / AP / EAST NEWS

6 Zamrozić wolność słowa
JACEK TARAN

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Ratuj się, kto może
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

23 Historia negatywna
MAREK RABIJ
o trudnej sytuacji frankowiczów

26 Dziuplę wynajmę drogo
SZYMON ŻYŚKO:
Minimalna powierzchnia przestrzeni w schronisku dla 30-kilogramowego psa – osiem metrów. Jak ta norma ma się do 7-metrowych kawalerek, które reklamują pod wynajem właściciele?

■ ■ WIARA

32 Sobór przekroczył granice
EDWARD AUGUSTYN

36 Koniec kościelnej piramidy
PIOTR SIKORA: *Niektórzy mówią, że czas na nowy sobór. Może jednak Watykański II był ostatnim?*

39 Taniec przy grobie cadyka
DOROTA BIDZIŃSKA:
Kiedy przyjechali do Lelowa, mężczyzna, który otwierał synagogę, bardzo się zdziwił: Żydzi, ksiądz, muzułmanie? Pierwszy raz widzę coś takiego

■ ■ ŚWIAT

42 Selfie bez hidżabu
NATALIA MILESZYK

46 W sieci seksbiznesu
AGNIESZKA ZIELIŃSKA:
Hiszpania przyjęła 125 tys. osób uciekających z Ukrainy, głównie kobiety. Niektóre z nich padły ofiarą handlarzy ludźmi

TEMAT TYGODNIKA

GRAŻYNA MAKARA

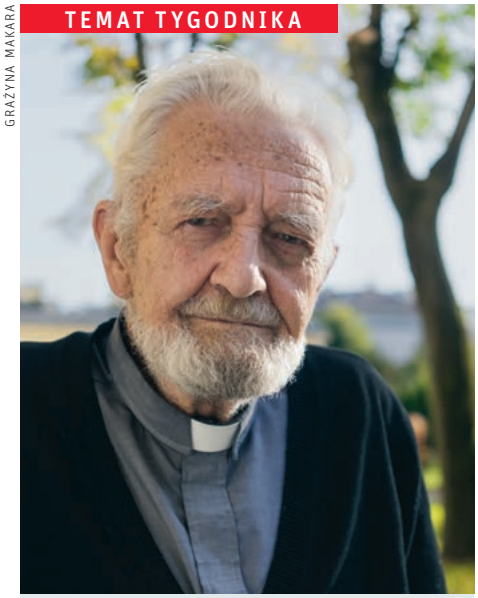

12 Wracam do siebie
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM:
Pan Bóg jest w moim życiu ciągle. Może tylko dyskretniejszy, niż był przedtem.

■ DODATKI ■

30 FUNDACJA IM. BP. TADEUSZA PIERONKA

62 MAŁOPOLSKI INSTYTUT KULTURY

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 ZUZANNA RADZIK **76** OLGA DRENDA
77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
ADAM BONIECKI, PAŹDZIERNIK 2022 R.
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

48 Kogo Ameryka nienawidzi bardziej
MARTA ZDZIEBORSKA:
Większość obywateli USA żyje w dwóch równoległych światach

52 Dwie Brazylie
DOMA MATEJKO: *Przed drugą turą wyborów prezydenckich historia, zawiść i frustracje wypływają na powierzchnię*

■ ■ HISTORIA

54 Rakieta dża-dża
EWELINA BURDA

■ ■ NAUKA

58 Noble 2022
MICHAŁ GIKOWSKI, ALEKSANDRA PAŁASZ, ŁUKASZ KWIATEK
Nagrody w dziedzinie fizyki, chemii i fizjologii lub medycyny

■ ■ KULTURA

64 Smoki i puste światy
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

68 Upragniony atak paniki
JAN BŁASZCZAK:
Odkąd Rully Shabara zaczął robić międzynarodową karierę, zachodni krytycy tłumaczą niespotykany sposób jego śpiewu, odnosząc go do indonezyjskich tradycji muzycznych. Nie jest to takie proste

71 Prawdziwie Szczęsny
DOROTA KOZIŃSKA:
Wielu melomanom, którzy z zapałem śledzą polskie tropy na muzycznej mapie świata, nazwisko Feliksa Janiewicza nie obiło się nawet o uszy

74 Definitywny koniec lata
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Alcarràs”

75 W klatce domu
LEKTOR *o książce „Służący i służąca” Ivy Compton-Burnett*

■ ■ ZMYSŁY

78 Uszy się nie mylą
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć w weekend

W nowym cyklu internetowym „Tygodnika” **ANITA PIOTROWSKA** poleca filmy i seriale. W pierwszym odcinku: co może łączyć bułgarskich kiboli, francuskich blokersów i izraelskiego artystę na cenzurowanym? | **powszech.net/weekend**

Rosyjska ruletka

Gdy ogłoszono mobilizację, wojna przyszła do domów Rosjan. Część społeczeństwa ocknęła się – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** w swoim cyklu | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Serwisy specjalne: patrz szerzej
POLSKA SZKOŁA
Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

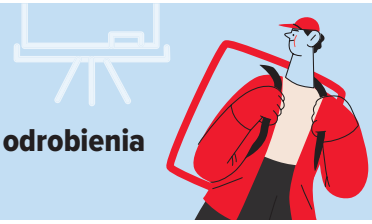

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ZAMROZIĆ WOLNOŚĆ SŁOWA

Pytania o przebieg rozpoczętego roku akademickiego nie sprowadzają się do zimnych kaloryferów i rachunków za prąd. Czy za centralne dotacje da się kupić także intelektualną niezależność polskich uczelni?

JACEK TARAN

Uniwersytet Jagielloński miałby zapłacić za prąd 180 mln złotych, zamiast 27 mln jak dotychczas. Dorota Segda, rektorka Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie mówi: „Nie mamy na życie". Uniwersytet Rolniczy obniża temperatury w szklarniach, Uniwersytet Ekonomiczny zamyka pływalnię, a jego rektor, prof. Stanisław Mazur, apeluje do prezydenta Dudy o ratunek. Rektor UJ już podjął decyzję o wprowadzeniu zdalnego nauczania w wybranych tygodniach pierwszego semestru.

Minister Przemysław Czarnek zapewnia, że uczelnie nie pozostaną bez wsparcia i zapowia-

Inauguracja roku akademickiego na Politechnice Częstochowskiej, 4 października 2022 r.

da, że żadnego kryzysu nie będzie, bo rząd pracuje nad projektami ustaw osłonowych. Mają objąć uczelnie i placówki z nimi związane (np. akademiki). Ceny będą więc tylko nieco wyższe, a nie o setki procent – obiecuje. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że pomiędzy środowiskiem naukowym a stroną rządową toczy się gra podobna do tej w samorządach. O co w niej chodzi? W wersji najłagodniejszej to operacja propagandowa mająca wykazać, jak dobry rząd pomógł uczelniom, nieradzącym sobie w trudnych czasach. To, że chaos wyniknął z błędów władzy, lepiej przemilczeć. W wersji cięższej – to rozgrywka służąca do podporządkowania i ukrócenia krytyki, jaka niejednokrotnie płynęła ze strony środowisk akademickich pod adresem rządu. Rektorzy będą musieli pamiętać, komu zawdzięczają niższe rachunki, bo krytyka skończyć się może obcięciem dodatku. Rząd ogrzeje się na pewno. Uczelnie mają dmuchać na zimne.

Przymilanie się władzy już trwa. Na Uniwersytecie Rzeszowskim wykład inauguracyjny „O wolności słowa" wygłasza sam minister Czarnek. Kilka dni później, podczas ceremonii poświęcenia superkomputera na AGH, w obecności jej władz i arcybiskupa Marka Jędraszewskiego, Czarnek o wysokie koszty energii oskarża Unię Europejską i jej zieloną politykę, a dyrektor uczelnianego Cyfronetu cytuje Jana Pawła II. Podkreślmy – minister czyni to w murach uczelni, która swój imponujący potencjał naukowy i dydaktyczny zbudowała również w oparciu o unijne fundusze.

Na problemach z kosztami energii i politycznych grach najbardziej ucierpią ci, którzy w akademickiej piramidzie stoją na samym dole, czyli studenci. Nauczanie zdalne zapowiedziano już na kilku uczelniach, choć nawet minister Czarnek przyznaje, że uniwersytet zdalny to quasi-uniwersytet – mówił o tym podczas inauguracji na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wykładowcy skarżą się z kolei, że uczelnie nie stanęły na wysokości zadania i nie zapewniły ani im, ani studentom niezbędnej infrastruktury. Jedni i drudzy korzystają z prywatnych komputerów i domowych łączy internetowych, które zwykle nie dorównują uczelnianym wymogom. Nikt też nie rekompensuje im opłat za energię elektryczną i połączenie z internetem. A to przecież przenoszenie kosztów nauczania na wykładowców i studentów.

Pamiętać trzeba też, że studiowanie to nie tylko dydaktyka, ale również kontekst społeczny. To etap w procesie dochodzenia do dorosłości, którego studenci zostają pozbawieni nauczaniem na odległość, i to kolejny raz – po pandemii. Wtedy nie było innego wyjścia, ale teraz wydaje się, że niektórzy rektorzy zbyt wcześnie zdecydowali o zajęciach zdalnych. Na Uniwersytecie Warszawskim nikt na razie nie chce o tym słyszeć. ©℗

GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sukces programu Brudne Powietrze

MAREK KĘSKRAWIEC

Trzy miliony ocieplonych budynków plus trzy miliony „kopciuchów" wymienionych na nowe piece. Rozpoczęty w 2018 r. program „Czyste Powietrze" miał po 11 latach zmienić Polskę. Efekty na razie są równie mizerne, jak w przypadku stu tysięcy tanich mieszkań i miliona samochodów elektrycznych.

NIK badał efekty programu po trzech latach i wyliczył, że liczba ocieplonych budynków wyniosła 73 tys. (2,4 proc.), zaś starych kotłów wymieniono na piece niskoemisyjne tylko 66 tys. (2,2 proc.). Ze 103 mld zł, przeznaczonych na program, rozdysponowano 4,2 mld. Oznacza to, że 96 proc. funduszy na walkę ze smogiem leży i czeka na wydanie. Teraz, w obliczu ciężkiej zimy i wysokich cen energii oraz węgla, widać wyraźnie, jak bardzo przydałyby się tysiącom Polaków ekologiczne i spalające mniej surowca piece oraz budynki utrzymujące długo ciepło, a więc generujące też mniejsze rachunki.

Fakt, na zmiany mamy 11 lat, więc może jeszcze ruszą z kopyta, ale doświadczenia z rządami PiS mówią, że dobrze zaczyna, ma piękne prezentacje na ekranach o dużej rozdzielczości, ale reszta się zacina jak w starym laptopie. Według NIK-u w takim tempie program będzie potrzebował 15 lat na realizację. Tymczasem tego rodzaju inicjatywy powinny przyspieszać, a nie zwalniać tempa. Inna sprawa, że w kraju, którego nieoficjalny lider, czyli prezes Jarosław Kaczyński, zapowiada, że tej zimy palić nie będziemy tylko oponami, trudno wymagać, by podwładni z troską dbali o czyste powietrze. Chodzą do pracy i robią, co muszą.

Według NIK trudno jest nawet wskazać konkretną instytucję odpowiedzialną za kompleksowe zarządzanie programem. Problemem jest też kiepska baza danych i zabezpieczenie środków, gdyby nagle ludzie ruszyli z wnioskami (ale nie ruszą, bo kampania informacyjna pozostawia wiele do życzenia). Ceny są dziś niemal o połowę wyższe niż w 2018 r., kiedy osoby o niskich dochodach mogły najłatwiej wymienić kopciuchy – tylko że wtedy nie było dla nich atrakcyjnych zasad finansowania, bo wkład własny był za duży.

Ręce opadają. ©℗

Ratownicy medyczni i sztuczki budżetowe

SEJM ROZPOCZĄŁ PRACE nad ustawą o zawodzie ratownika medycznego, ponieważ rząd planuje poważną zmianę w jego finansowaniu. Obecnie za działalność zespołów ratownictwa (czyli po prostu „karetek") płaci budżet państwa. Jeśli PiS przeprowadzi przez parlament zmianę innych przepisów, które w tej chwili są na etapie założeń, już w przyszłym roku może być to zadanie NFZ, a budżet uwolni się od wydatku rzędu 4 mld złotych rocznie.

W NFZ, cokolwiek mówiliby na ten temat politycy, pieniędzy nie zbywa. Jest ich o wiele za mało w stosunku do potrzeb, a Polska wydaje na zdrowie bardzo mało – według danych GUS w 2021 r. 4,9 proc. PKB, a w tym roku może to być jeszcze mniej. Rząd chwali się budżetem NFZ na poziomie 6 proc. PKB tylko dlatego, że dzięki zabiegowi księgowemu wydatki na zdrowie odnosi do PKB sprzed dwóch lat.

W tej sytuacji uchwalanie ustawy o zawodzie ratownika wygląda jak próba odwrócenia uwagi od prawdziwych wyzwań. Oczywiście, dobrze że ok. 23 tysięcy ratowników zyska swój samorząd (związków zawodowych mają aż nadmiar) – będzie to wspólna reprezentacja, stojąca na straży jakości i godności zawodu. Dobrze, że ustawa otworzy ścieżki awansu zawodowego dla ratowników. Z drugiej strony, źle że prawdopodobnie odbędzie się to kosztem innych profesji – już mówią o tym głośno pielęgniarki. Napięty budżet sprawia, że możliwości faktycznego rozwoju dla pracowników medycznych są ograniczone, a bezpieczny i pewny dostęp pacjenta do opieki medycznej, również w stanach nagłych – daleki od optimum. © MAŁGORZATA SOLECKA

Ile prezesa w inflacji

MAREK RABIJ

Czy Adam Glapiński ponosi główną odpowiedzialność za wzrost cen? Nie. Czy to przez niego inflacja utrzyma się dłużej na wysokim poziomie? Tak.

Obecny prezes NBP przejdzie do historii jako ten, który bank centralny zmienił *de facto* w departament stóp procentowych ministerstwa finansów. Groteskowych konferencji, podczas których przekonuje, że podczas wcześniejszych wystąpień nie pomylił się w ocenach i prognozach, nie warto nawet komentować. O tym, że Glapiński myli się już seryjnie, najdobitniej świadczy nieskuteczność polityki kierowanej przez niego RPP, która od października ubiegłego roku podniosła stopy procentowe z 0,1 proc do aż 6,75 proc. Nasz bank centralny należy pod tym względem do najbardziej radykalnych, za to ze skutecznością u niego słabo. We wrześniu inflacja wzrosła według wstępnych odczytów do 17,2 proc. Nieźle na tle Estonii, w której sięga ona 25 proc. Fatalnie w porównaniu z Francją, gdzie nie przekroczyła 7 proc.

Po ostatnim posiedzeniu, które po raz pierwszy od roku nie przyniosło podwyżki stóp, jako głównego sprawcę cenowego wyżu prezes wskazał drogą energię i surowce. Glapiński bez wątpienia nie ponosi odpowiedzialności choćby za ostatnią decyzję krajów OPEC+, które postanowiły zagrać na nosie USA i zmniejszyć wydobycie ropy – co ponownie wystrzeli jej światowe ceny i wpłynie (poprzez koszty paliw) również na inflację w Polsce. Ale to na nim ciąży odpowiedzialność za to, że coraz mniej konsumentów w Polsce i inwestorów zagranicznych wierzy, że polityka monetarna NBP ma sens i dlatego warto jeszcze mieć w portfelu złotego. Spadek zaufania rzadko da się mierzyć w procentach, w tym przypadku starczy jednak spojrzeć na tabele kursów głównych walut, które w ciągu roku zdrożały do złotego o ponad 20 proc.

Niebawem tyle samo pokażą wskaźniki inflacji. ©℗

RDC POLSKIE RADIO **DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”** co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl | Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

KRAJ W SKRÓCIE

WYSOKIE RACHUNKI

Kilkuset burmistrzów, wójtów i prezydentów miast protestowało przed siedzibą premiera przeciwko gigantycznym podwyżkom rachunków za energię. Mateusz Morawiecki zadeklarował, że przekaże im niemal 14 mld zł i będzie dążył do zamrożenia cen energii dla samorządów oraz małych i średnich przedsiębiorstw.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

WYSOKIE LOTY

Nowym szefem kancelarii premiera – w miejsce Michała Dworczyka, którego nieszczelna skrzynka mailowa przyniosła wiele wiadomości o kulisach funkcjonowania władzy – ma zostać Marek Kuchciński. Były marszałek Sejmu, który w 2018 r. odszedł ze stanowiska po ujawnieniu informacji na temat potężnych kosztów lotów rządowymi samolotami. Nominacja jest, jak słyszymy, „autorskim” projektem premiera, choć Kuchciński to od lat wierny towarzysz prezesa PiS.

WYSOKIE MNIEMANIA

Autorskie poglądy ma natomiast b. prezydent Bronisław Komorowski, mówiący w radiu RMF, że Wołodymyr Zełenski „pręży mięśnie i dostosowuje się do tego, że Putin przegra wojnę”, ale powinien usiąść do rozmów pokojowych z prezydentem Rosji. Od wypowiedzi b. prezydenta RP – także w sprawie zmiany stanowiska PO na temat dopuszczalności aborcji – odciął się Donald Tusk.

500 plus wedle potrzeb

WICEMINISTER FINANSÓW Artur Soboń nie wykluczył wprowadzenia progów dochodowych w programie 500 plus, co zlikwidowałoby powszechny charakter świadczenia. „Takie progi mogłyby być. Warto o tym rozmawiać” – stwierdził polityk w rozmowie z Gazeta.pl.

Według analizy ośrodka CenEA, 5 mld zł trafia do 10 proc. najbogatszych rodzin w Polsce, a do 10 proc. najbiedniejszych – jedynie 2 mld. Trzeba jednak pamiętać, że w Polsce zarabia się wciąż na tyle mało, że samo otrzymanie 500 zł na dziecko potrafi przesunąć rodzinę na drabinie dochodowej. Przykładowo: gdyby zlikwidować 500 plus, rodziny z aż 80 tys. dzieci wypadłyby z 10 proc. najbogatszych w Polsce. Program stał się istotnym elementem domowych budżetów nawet dla nieźle sytuowanych rodzin i odbieranie im tego po sześciu latach byłoby niezbyt uczciwe. Szczególnie w czasie kryzysu.

Warto jednak pomyśleć o progu dochodowym podczas waloryzacji programu. Obecnie to świadczenie jest realnie warte ok. 380 zł. Waloryzacja jest więc potrzebna, ale można ją zawęzić na przykład do biedniejszej połowy społeczeństwa. Mniej zamożni otrzymywaliby 650 plus, a pozostali tyle, co dotychczas. Taki system wydaje się sprawiedliwszy. © PIOTR WÓJCIK

Przywracanie pamięci o cywilach Warszawy

OD LAT ZBIERANO i przypominano nazwiska poległych powstańców. Od dawna o pamięć o jego cywilnych ofiarach zabiegali też kombatanci – na czele z Wandą Traczyk-Stawską, inicjatorką powstania Izby Pamięci przy Cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli, którą otwarto 2 października.

Wzniesiono dwa pawilony z szarego betonu. W jednym z nich prezentowany jest wstrząsający plan stolicy, na którym zaznaczono miejsca rozstrzelań, przypominając losy tej największej wojennej nekropolii. Najważniejszą częścią upamiętnienia jest jednak Mur Pamięci. Znalazło się na nim ponad 62 tys. tabliczek z nazwiskami poległych cywilów i żołnierzy. Są też jeszcze te niezapisane. Na nich zostaną upamiętnione kolejne zidentyfikowane ofiary.

„Coś, co się wydarza, a nie zostaje opowiedziane, przestaje istnieć i umiera” – te słowa Olgi Tokarczuk przywołali twórcy Izby. Powstałej po to, by nie zatarła się pamięć o tamtych wydarzeniach oraz o indywidualnych historiach cywilnych mieszkańców Warszawy. Przypomina wreszcie o konsekwencjach przemocy, radykalizmów i wojny.

© PIOTR KOSIEWSKI

MUNIR UZ ZAMAN / AFP / EAST NEWS

WYOBRAŹMY SOBIE blisko 20-milionową metropolię, w której przez ponad 10 godzin nie ma prądu. Blackout, który 4 października około godziny 14 miejscowego czasu uderzył w Dhakę, stolicę Bangladeszu (na zdjęciu), dotknął 75-80 proc. populacji kraju. Łącznie ok. 130 mln osób. Awarię wywołało zwiększone zapotrzebowanie na energię, którego nie pokryły krajowe źródła i import z Indii. Liczący 168 mln mieszkańców Bangladesz, jedno z biedniejszych państw Azji, zużywa ok. 14 tys. megawatów dziennie. Dla porównania: ponad czterokrotnie mniej ludna Polska każdego dnia potrzebuje 22-27 tys. megawatów. ©℗ MR

I kto tu jest państwem terrorystą?

WOJCIECH PIĘCIAK

Kijów, Lwów, Tarnopol, Dnipro, Mikołajów, Konotop, Krzywy Róg, Zaporoże, nawet spokojne dotąd Zakarpacie: to tylko niektóre z miejsc Ukrainy, w jakie rankiem 10 października uderzyły rosyjskie rakiety. Gdy zamykaliśmy ten numer „TP", ataki trwały i nie były jeszcze znane zniszczenia ani liczba ofiar. Z pierwszych relacji można wnosić, że zamiarem Rosjan jest niszczenie infrastruktury miast, aby jesienią i zimą przetrwanie było skrajnie trudne – bez pewności prądu, wody, ogrzewania – i by ludzie, żyjący i tak w napięciu (także w zachodnich regionach, gdzie, bywa, co noc wyją syreny), utracili resztki poczucia bezpieczeństwa.

Poniedziałkowe ataki to być może początek rosyjskiej ofensywy powietrznej – owej wojny totalnej na wyniszczenie kraju, którą dzień wcześniej postulował Władimir Sołowjow, twarz kremlowskiej propagandy. Uznając, że dotychczasowe działania Rosji to „gra w humanizm" (sic!), pisał on, że na sobotni ukraiński atak na most Krymski trzeba odpowiedzieć „wszelkimi sposobami i środkami". Konkretnie: „Ukraina musi pogrążyć się w mrocznych czasach. Mosty, zapory, linie kolejowe, elektrownie cieplne i inne obiekty infrastruktury muszą zostać zniszczone na terytorium całej Ukrainy".

Komentując wcześniej atak na most, Putin i ludzie z jego otoczenia mówili, że to „akt terroryzmu"; rosyjska FSB wyliczała, ile to razy Ukraina atakowała cele na terenie Rosji. Wspólnym tonem było oburzenie: że broniąc się, ofiara gwałtu ośmiela się atakować, i to także na podwórku napastnika.

Takie myślenie zbliża ludzi z Kremla do dyktatorów sprzed 80 lat i ich akolitów: oni też byli urażeni, że ofiary się bronią, a wymierzone w nich działania nazywali „terroryzmem" lub „bandytyzmem". Oni też ogłaszali swoim wrogom „wojnę totalną" – uznając najwyraźniej, że to, co sami robili wcześniej, nie było czymś w dziejach świata nadzwyczajnym.

Wątpliwe, by rosyjska „wojna totalna" złamała Ukraińców – nawet gdyby Kreml sięgnął po bombę atomową. Zapewne i wtedy zrobią to, co dotąd: skoro sam wróg komunikuje im, że jest to walka o istnienie, będą dalej walczyć. ©℗

Tekst ukończono rano 10 października.
Czytaj też: **powszech.net/mostkrymski**

Potrójny Pokojowy Nobel

BIAŁORUSIN ALEŚ BIALACKI, ukraińskie Centrum Wolności Obywatelskich i rosyjski Memoriał to tegoroczni laureaci Pokojowej Nagrody Nobla. W uzasadnieniu czytamy, że są oni „reprezentantami społeczeństw obywatelskich w swoich krajach. Latami walczyli o prawo do krytyki władz i występowali w obronie praw obywateli. Położyli wielkie zasługi w dokumentowaniu zbrodni wojennych, łamania praw człowieka i nadużywania władzy. Razem pokazują, jak wielkie znaczenie ma społeczeństwo obywatelskie dla pokoju i demokracji".

VIT SIMANEK / CTK / PAP

Bialacki przebywa w areszcie od lipca 2021 r., za wspieranie protestów na Białorusi przeciw sfałszowaniu wyborów prezydenckich. Grozi mu do 12 lat, proces ma się odbyć niebawem. Jest on prawnikiem, założycielem Centrum Obrony Praw Człowieka Wiasna. Na rzecz represjonowanych przez reżim Łukaszenki działa od 1996 r., kiedy to w kraju odbyła się pierwsza masowa akcja protestu pod hasłem „Szlak czarnobylski 1996".

Drugi laureat – Centrum Wolności Obywatelskich, kierowane przez Ołeksandrę Matwijczuk – działa od 2007 r., ale stał się znany w 2013 r., gdy monitorował łamanie prawa przez policję podczas Euromajdanu. Specjalizuje się w analizie aktów prawnych pod kątem standardów praw człowieka. Od 2014 r. dokumentuje też represje na okupowanym Krymie i w Donbasie. Od lutowej rosyjskiej inwazji uczestniczy w dokumentowaniu zbrodni wobec ukraińskiej ludności cywilnej.

Stowarzyszenie Memoriał, powołane pod koniec lat 80., ma ogromne zasługi w dokumentowaniu zbrodni stalinowskich i przywracaniu pamięci o ofiarach. Memoriał dokumentował też zbrodnie współczesnej Rosji, m.in. na obu wojnach czeczeńskich. Pod koniec 2021 r. stowarzyszenie zostało zlikwidowane decyzją reżimowych sądów. Memoriał przeciwstawiał się też formowaniu przez reżim Putina kłamliwej wersji historii, która miała wyprać rosyjskie głowy z poczucia odpowiedzialności za popełniane zbrodnie. Efekty tej polityki widzimy dziś w Ukrainie. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na: **http://powszech.net/nobelpokoj**

Białkowska nagrodzona

KATOLICKĄ NAGRODĘ Dziennikarską „Ślad” otrzymała dr Monika Białkowska: teolożka, dziennikarka „Przewodnika Katolickiego” i współpracowniczka „Więzi”, prowadząca autorski program internetowy „Reportaż z wycinków świata”.

Wydała trzy książki: powieść „Sukienkę ze spadochronu”, rozmowy z ks. Henrykiem Seweryniakiem „Teologia przy rosole”, poświęcone fundamentalnym kwestiom chrześcijaństwa, oraz reportaż „Nawet jeśli umrę w drodze. Twarzą w twarz z uchodźcami”. Ostatnią tematyką zajmowała się nie tylko dziennikarsko, lecz także organizując akcje pomocowe.

„Prawdziwej nauki Kościoła będę bronić jak lwica” – pisała – i podejmowała wiele kontrowersyjnych w polskim Kościele tematów. Krytykowała bezduszne traktowanie uchodźców na granicy białorusko-polskiej, blokowanie przez abp. Jędraszewskiego publikacji krakowskiej diecezjalnej syntezy synodalnej czy kaznodziejską działalność założyciela Wojowników Maryi, ks. Dominika Chmielewskiego. ©℗ PS

Sprawiedliwość dla ofiar pedofilii

MACIEJ MÜLLER

600 TYS. ZŁ MA ZAPŁACIĆ KURIA TORUŃSKA Mariuszowi Milewskiemu, ofierze księdza-pedofila – orzekł sąd okręgowy w nieprawomocnym wyroku. Milewski domagał się 1 mln zł.

Jako ministrant od 9. roku życia był wielokrotnie wykorzystywany seksualnie przez księdza Jarosława P. Nieżyjący już P. został w 2016 r. w procesie karnym skazany na trzy lata więzienia. Wcześniej uniewinniono go w procesie kościelnym. Wobec cywilnego pozwu Milewskiego kuria przyjęła linię obrony, według której ksiądz dopuszczał się molestowania „co najwyżej przy okazji (sposobności) wykonywania czynności księdza”. Sąd nie przyjął tej argumentacji.

To już kolejny wyrok, który odpowiedzialnością za przestępstwo pedofilii księdza obarcza jego przełożonych (najgłośniejszy dotyczył zgromadzenia chrystusowców, sprawa trafiła do Sądu Najwyższego). Wysokość zadośćuczynień i wskazywanie w wyrokach, że kurie i zakony odpowiadają za czyny podległych im księży, tworzą klimat prawny sprzyjający dochodzeniu odszkodowań przez ofiary pedofilów-duchownych. Oby też skłoniły kościelnych przełożonych do ścisłego przestrzegania procedur chroniących dzieci.©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NOWELIZACJA

Także ksiądz, a nie wyłącznie biskup, będzie mógł zostać sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu Polski zgodnie z nowelizacją jej statutu – ujawnił sekretarz episkopatu bp Artur Miziński. W sytuacjach nadzwyczajnych, takich jak pandemia, zebrania KEP będą mogły odbywać się online, a niektóre kompetencje Konferencji przejdą na przewodniczącego oraz prezydium.

KARA

Suspendowany za nieposłuszeństwo i fałszywe oskarżanie przełożonych ks. Daniel Galus z tzw. pustelni w Czatachowej otrzymał kolejne kary. Ponieważ nadal sprawuje msze i udziela sakramentów, metropolita częstochowski zabronił prowadzonej przez zbuntowanego kapłana wspólnocie Miłość i Miłosierdzie Jezusa używania określenia „katolicka”.

PIERŚCIEŃ

Niecodziennie zakończyła się trwająca na Facebooku aukcja srebrnego pierścienia krakowskiego biskupa pomocniczego Damiana Muskusa na rzecz chorej na SMA Zosi Pająk. W regulaminowym czasie pierścień został wylicytowany za 13,1 tys. zł. Aukcja jednak trwała dalej i dwóch licytujących zaproponowało po 16 tys. zł. Ofiarodawca i licytujący uzgodnili, że biskup przekaże im dodatkowe dwa pierścienie, a na konto Zosi trafi w sumie 45 100 zł.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

KS. SŁAWOMIR SZCZYRBA, REKTOR:

Powołaniowy boom

ARCHIWUM PRYWATNE

ARTUR SPORNIAK: W seminariach kryzys powołań, tymczasem do Ogólnopolskiego Seminarium dla Starszych Kandydatów do Święceń w Łodzi zgłosiło się w tym roku 14 kandydatów.

KS. SŁAWOMIR SZCZYRBA: Informacja o seminarium, do którego można wstąpić, mając co najmniej 35 lat, dotarła za granicę. Mamy w tym roku jednego kandydata z Białorusi po doktoracie z chemii fizycznej. Pytają też Polacy mieszkający w Irlandii czy w Wielkiej Brytanii. Ich przyjęcie utrudniałby fakt, że nasze seminarium, powołane do istnienia przez Konferencję Episkopatu Polski w 2014 r., przyjmuje kandydatów „z” i „dla” polskich diecezji, rekomendowanych przez biskupów.

Kto przychodzi?
Jedna grupa to ci, którzy już się w swoim życiu o seminarium otarli. Przyglądam się im uważnie, ale nie wykluczam, że ich powołanie w końcu dojrzało. Drugą grupę stanowią ci, którzy zdobyli duże doświadczenie życiowe i zawodowe i coś ich niepokoiło. Zdarzają się też tacy, którzy nie mają innego pomysłu na życie i się „przykleili” do kapłaństwa. Próbuję się razem z nimi zorientować, o co w ich powołaniu chodzi.

Czy to są ludzie po studiach?
Są osoby po maturze, z ciekawym doświadczeniem zawodowym, ale są też z wyższym wykształceniem. W gronie obecnych kandydatów jest trzech doktorów – inżynier, filozof i archeolog. Odczytuję to jako pewien znak czasów. Ci ludzie przychodzą do nas, choć zderzyli się z Kościołem w czasie obecnego kryzysu.

Co mówią o kryzysie?
Gdy mówią: ja będę innym księdzem, odpowiadam: nie udźwigniesz, to za słaba motywacja!

Kto utrzymuje seminarium?
Kandydat płaci czesne, a stypendiuje go biskup, który dał mu rekomendację i który po święceniach przyjmie go do swojej diecezji.

Procentowo ilu dociera do święceń?
W ciągu ośmiu lat istnienia seminarium opuściło ponad dwudziestu absolwentów. ©℗

KS. DR HAB. SŁAWOMIR SZCZYRBA *jest filozofem oraz od 2019 r. rektorem Ogólnopolskiego Seminarium dla Starszych Kandydatów do Święceń w Łodzi.*

KULTURA W SKRÓCIE

BĄDŹ JAK ALINA

Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi otwiera w tym tygodniu przeznaczoną dla dzieci interaktywną wystawę „Elementarz empatii" inspirowaną życiorysem Aliny Margolis-Edelman – łodzianki, lekarki i działaczki społecznej, założycielki Fundacji Dzieci Niczyje.

WPADNIJ NA WERNISAŻ

Ponad 200 zdjęć zobaczymy na wystawie retrospektywnej poświęconej słynnemu fotoreporterowi Chrisowi Niedenthalowi. Otwarcie 13 października w warszawskim Domu Spotkań z Historią, a pierwsze oprowadzanie w sobotę 15 października – o zdjęciach opowiadać będzie sam ich autor oraz kuratorka, Anna Brzezińska.

IDŹ DO OPERY

Po przerwie wymuszonej przez pandemię ruszył na nowo Bydgoski Festiwal Operowy. Podczas imprezy zobaczymy m.in. „Proces" Philipa Glassa wg Franza Kafki oraz „Don Desiderio" Józefa M.K. Poniatowskiego w wykonaniu Opery Śląskiej w Bytomiu. Festiwal zamknie „Eva" słowackiego kompozytora Josefa B. Forstera w interpretacji Państwowej Opery z Bańskiej Bystrzycy (Słowacja).

TRZYMAJ KCIUKI

Film dokumentalny „Lombard" w reżyserii Łukasza Kowalskiego – zwycięzca ostatniego festiwalu MDAG – znalazł się w programach Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Lizbonie oraz CinEast Festival w Luksemburgu. „Lombard" to poruszająca, pełna humoru opowieść o ludziach, którzy walczą o przetrwanie, pomagając jednocześnie bardziej potrzebującym.

Nobel z normandzkiej gliny

CHRISTOPH HARDT / EAST NEWS

TEGOROCZNA LITERACKA NAGRODA NOBLA dla Annie Ernaux jest wynikiem rozważnego (ale wcale nie zachowawczego) wyboru Akademii Szwedzkiej, która wskazała na autorkę prozy powściągliwej i antyheroicznej. Wybrała kronikarkę rzeczy małych i nieustępliwego oporu wobec determinującej siły płci, pieniądza i polityki.

Przed Ernaux aż piętnastu obywateli Francji otrzymało Literacką Nagrodę Nobla, począwszy od pierwszego laureata z 1901 r., poety Sully'ego Prudhomme'a. Choć reprezentantów Francji jest najwięcej wśród literackich noblistów, to dopiero w tym roku uhonorowano po raz pierwszy Francuzkę i ledwie siedemnastą kobietę wśród stu dziewiętnastu laureatów nagrody.

Ernaux 1 września skończyła 82 lata i znana jest przede wszystkim z utworów autobiograficznych. Akademia uhonorowała ją za „odwagę i kliniczną ostrość, z jaką odkrywa korzenie, wyobcowanie i zbiorowe ograniczenia osobistej pamięci". Odpowiada na zapotrzebowanie na nową europejską wrażliwość, która nareszcie pozwala człowiekowi być kruchym i wahającym się, a nie oskarża go o to, że bywa słaby i nie jest kowalem swojego losu.

Jej proza nazywana jest „literaturą pochodzenia". Dzieciństwo i wczesną młodość spędziła w normandzkim Yvetot, w robotniczej dzielnicy, coraz mocniej czując, że przynależność klasowa ją krępuje. Środkiem emancypacji stało się dla niej wykształcenie (studia w Rouen i Bordeaux), a po latach zakwestionowanie przeznaczonego dla kobiet jedynego życiowego szlaku, prowadzącego do małżeństwa i pełnego poświęceń macierzyństwa. Inspirowały ją także lektury socjologiczne – odpowiedzi na wiele pytań znalazła w pracach Pierre'a Bourdieu o reprodukcji różnic klasowych. Droga do własnej twórczości była jednak długa. Od połowy lat 60. nauczała francuskiego i pomagała pisać innym, ale dopiero dekadę później opublikowała pierwszą powieść pt. „Les Armoires vides" („Puste szafki"), o moralnym łańcuchu, jaki noszą na szyi dziewczęta z klasy niższej. Opisuje to wszystko ponownie w wydanych niedawno po polsku „Latach" (Czarne 2022).

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Wieczorne podjadanie naprawdę szkodzi

PRZYSŁOWIE MÓWIĄCE, by „śniadanie zjeść samemu, obiadem podzielić się z przyjacielem, a kolację oddać wrogowi", często służy dietetykom jako przestroga przed wieczornym i nocnym podjadaniem, które uważa się za czynnik ryzyka rozwoju nadwagi i otyłości. Z części badań obserwacyjnych wynika, że u osób, które posiłki jadają późno, ryzyko otyłości jest wyraźnie większe. I nie tłumaczy tego wyłącznie zwiększona podaż kalorii w ciągu doby. Dokładniejszych mechanizmów tego zjawiska dostarcza badanie opisane w „Cell Metabolism".

Zespół Niny Vujović skontrolował 16 osób z nadwagą lub otyłością podzielonych na dwie grupy, z których jedna ostatni posiłek jadła przed 18, a druga po 21 (minimum 2,5 godz. przed snem). Okazuje się, że w drugiej grupie w ciągu kolejnej doby od ostatniego posiłku zmniejszona była ilość leptyny – związku produkowanego przez tkankę tłuszczową, nazywanego hormonem sytości, bo oddziałuje w podwzgórzu, hamując głód. Poza tym zaobserwowano u nich zmiany ekspresji genów w komórkach tłuszczowych, skutkujące nasilonym gromadzeniem tłuszczów i zmniejszeniem wydatku energetycznego w ciągu dnia. To wszystko prowadzi do dodatniego bilansu kalorycznego i sprzyja rozwojowi otyłości.

Przypadek Włoch, gdzie jada się obfite i późne kolacje, a wskaźniki otyłości są jednymi z najniższych w Europie, sugeruje jednak, że pora nie jest czynnikiem najważniejszym.

© BARTOSZ KABAŁA

PÓŁ ROKU TEMU, po tylu latach nieprzerwanej obecności, przyszły tygodnie i miesiące bez edytorialu redaktora-seniora ks. Adama Bonieckiego na trzeciej stronie „Tygodnika Powszechnego". Wciąż objęty bezsensownym zakazem publicznych wypowiedzi, przypominał w tym miejscu, jak silnie wybrzmiewa głos, który jest uzależniony jedynie od doświadczenia prawdy. I milczący, gdy ta go przekracza. Ale w kwietniu przymus milczenia przyszedł skądinąd. Nasz komunikat był wtedy zwięzły i lakoniczny. Tym bardziej dziękuję teraz Czytelnikom, że Wasza troska i zainteresowanie były przez ten czas tak czułe, wyrozumiałe i nieprzerwane. Staraliśmy się zapewnić Adamowi najlepszą opiekę i dyskretnie chronić przed próżną ciekawością. Wierzyliśmy od początku, że najlepszym sposobem na opowiedzenie tej historii będzie głos samego redaktora-seniora. Teraz zdecydowaliśmy wspólnie, że przyszła pora, byście też mogli go wysłuchać.

PIOTR MUCHARSKI
redaktor naczelny
„Tygodnika Powszechnego"

Anna Goc z ks. Adamem.
Kraków, wrzesień 2022 r.

TEMAT TYGODNIKA

WRACAM DO SIEBIE

KS. ADAM BONIECKI:

Pan Bóg jest w moim życiu ciągle. Może tylko dyskretniejszy, niż był przedtem.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

ANNA GOC: Prowadzisz pamiętnik?

KS. ADAM BONIECKI: Nie, choć dostałem takie zadanie od pani, z którą ćwiczę pamięć. (*Wstaje po zeszyt w czarnej oprawie, podpisany „Pamiętnik księdza Adama Bonieckiego”. Przewraca pierwsze strony*).

Widzę, że jakieś zapiski są.

Wpisuję tu słowa, których uczę się na nowo. Dzisiaj rano usiłowałem do ciebie zadzwonić. Pamiętałem doskonale, jak wyglądasz, wspólną pracę nad książką. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć, jak się nazywasz.

Zadzwoniłeś.

Szukałem twojego nazwiska w książce telefonicznej przez godzinę. Przesuwałem nazwisko za nazwiskiem, aż w końcu trafiłem na „Anię Goc”. Już wiedziałem, że to ty. Wspomnienia się zachowały. Z mojej pamięci wymazały się tylko niektóre słowa. Cała praca polega na tym, by je wbić w pamięć na nowo. Na przykład to, który mamy rok. 2022, tak?

Tak.

Długo to powtarzałem, nim wróciło. Słowa, których teraz się uczę, wpisuję do notesu. Dlatego, wybacz... („*Ania Goc” – zapisuje*).

Pół roku temu, tuż po udarze, opowiadałeś mi, że teraz z Twoją pamięcią jest tak jak z podróżą przez ciemny las. Taki, w którym już kiedyś byłeś. Poruszasz się jeszcze trochę po omacku, ale jeśli trafisz na właściwą ścieżkę, idziesz dalej pewnie.

To, co działo się z moją pamięcią, trudno mi porównać do czegokolwiek innego. Mała, i na szczęście nieodpowiadająca za codzienne funkcjonowanie, część mojego mózgu została wyłączona. Przez cały czas próbuję ją uruchomić. Udaje się, tak przynajmniej twierdzi pani, z którą pracuję. Latem pojechałem z Klubem „Tygodnika” na krótkie wakacje na Podlasie. Mogłem więc trochę przetestować moją pamięć w nowych okolicznościach.

Przez kilka tygodni po udarze byłeś w szpitalu rehabilitacyjnym. Zapukałyśmy z Grażyną Makarą, ↦

↦ **naszą fotografką i edytorką, do Twojego pokoju. Cisza. Szukałyśmy na piętrze, ale nikt Cię od dłuższej chwili nie widział. „Ks. Adam Boniecki? Pewnie jest ze swoimi parafiankami" – powiedziała nam pielęgniarka. Byłeś w kaplicy, odprawiałeś mszę.**

Miałem z tym na początku problem, mam tylko nadzieję, że niczego ważnego nie pominąłem. Jest taki moment w liturgii, gdy ksiądz modli się za biskupa miejsca i wymienia jego imię. Musi to zrobić z pamięci. Powtarzałem więc przed mszą, a potem – zapomniałem. Matko... Moje problemy z pamięcią, o których mówię, mogą teraz wyglądać jak manifestacja, po tym naszym tekście o nim. Ale ja tuż po udarze naprawdę zapomniałem.

Do konfesjonału też szedłem wtedy niepewnie. Poruszałem się po omacku. Obawiałem się, że pomylę formułę spowiedzi. Założyłem stułę, czekałem. Ktoś podszedł, zaczął mówić. I wtedy trafiłem na właściwą ścieżkę, nie miałem problemu z tym, co dalej.

Opowiadasz o tym tak, jakbyś – w pewnym sensie – musiał od nowa nauczyć się bycia księdzem.

Jedna rzecz była w ostatnich miesiącach znamienna. Zastanawiam się, czy warto o niej pisać. Wydarzyła się tuż po tym, jak trafiłem do szpitala. Zresztą tamtego dnia... To był koniec marca, tak?

Tak.

Tamtego dnia, gdy byliśmy w drodze do Rzeszowa na spotkanie z czytelnikami, a ja zamiast na nie trafiłem na SOR, też dokładnie nie pamiętam.

Do busa, którym zwykle podróżujemy, wsiadłeś przy swoim krakowskim mieszkaniu, a my, kilka osób z redakcji, dosiedliśmy chwilę później. Zajmowałeś swoje stałe miejsce, przeglądałeś coś w telefonie.

Od rana czułem się gorzej, wszystko robiłem dłużej niż zwykle – to pamiętam. I co było dalej?

Ktoś Cię o coś zapytał, a Ty odpowiedziałeś ciszej niż zwykle, głosem delikatnie zmienionym. Pojechaliśmy prosto do Szpitala Uniwersyteckiego.

Plany? Mam prawie dziewięćdziesiąt lat! Ale lepiej chodzę, mam zapewnioną świetną rehabilitację. Jak wszystko pójdzie dobrze, wrócę do mojego mieszkania.

Wahałeś się, chciałeś jechać na zaplanowane spotkanie.

Chciałem jechać, naprawdę? Tego nie byłem świadom. Chyba trochę udawałem, że jest lepiej, niż było. Z pobytu w szpitalu nie pamiętam właściwie nic. Rozmowy z lekarzami, badania – to się wytarło z mojej pamięci. Wiem tylko, że odwiedziła mnie moja siostra. Jacek Ślusarczyk z „Tygodnika" był tam ze mną prawie stale, potem zresztą też. Ale kilka tygodni w szpitalu rehabilitacyjnym już lepiej pamiętam.

Tuż po udarze myślałem, że prawdopodobnie niebawem umrę. Nie czułem żadnej trwogi, grozy przemijania. Zatrzymanie mózgu. Koniec. I właśnie wtedy zdarzyła się dziwna rzecz. Nie mówiłem o niej dotąd nikomu. I wciąż zastanawiam się, czy warto...

Wiara w niebo, w zbawienie – wszystko to znikło. Byłem świadom tego, że dzieje się coś nowego. I że ten dziwny stan, w którym nie ma nic więcej, trwa.

Patrzysz na mnie zdziwiona.

Ty się wtedy nie zdziwiłeś?

Myślałem, że umrę. I wtedy ten stan obojętności... Bardzo silny, przynajmniej na początku. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżyłem. Miewałem wątpliwości związane z wiarą, różne jej etapy. Ale to nie był etap, to było coś zupełnie nowego.

„Dobrze" – pomyślałem. Żyłem długo, teraz trzeba umrzeć. Umrze się i spokój. Nie było w tym ani radości, ani smutku. Zanik wiary... Nic się z nim nie da zrobić. Jest w środku, w człowieku.

Pustka?

Nie, nie odczuwałem tego jako pustki. Powiedziałbym raczej, że jako stan, w którym pewna kategoria rzeczy zostaje wymazana.

Myślałeś, że na zawsze?

Wtedy nie wiedziałem, co może znaczyć „zawsze". Nie podejmowałem żadnych wysiłków, żeby wróciła. Powoli różne funkcje życiowe wracały, mózg się budził. Zaczęła wracać też wiara. Ale chyba trochę inna.

Więc to było ciekawe doświadczenie religijne. Ale czy aby religijne? Jako dziennikarze piszemy o różnych formach religijności. Są to sprawy ważne. Zgoda. Co jednak z ludźmi, którzy tracą wiarę? – myślę teraz. Jestem szczególnym przypadkiem, bo poznałem ten stan ze względów neurologicznych. Ale takie doświadczenie może przytrafić się każdemu. Spotykamy przez całe życie wierzących, niewierzących, i nagle ta druga kategoria staje się absolutnie nasza. Czy mamy o tym nie rozmawiać?

Ludzie się czasem obwiniają, że tracą wiarę.

Znałem takich ludzi. Wiem, że niektórzy nie potrafili sobie z tym poradzić. Bywało, że przychodzili z tym do księdza. Sam się tak nie czułem, nie obwiniałem się.

Mnie bardziej intrygowało to, że wiara wraca. Ale co właściwie wraca? Czy mózg wyławia coś ze starych nawyków, sposobów myślenia i to podsuwa? Trudno powiedzieć, co się zatarło, a co możemy odzyskać. Może takie chwile też są potrzebne? Potem człowiek podchodzi do wielu spraw z większym dystansem.

Co innego staje się ważne?

Nie wiem, czy co innego. Po prostu żyje się, ale bez tego, co zostało wymazane.

Gdy pracowaliśmy nad naszą książką „Boniecki. Rozmowy o życiu", wspominałeś o samotności. Wracasz do pustego mieszkania, wiesz jednak, że jest On.

Kiedy zostaje się księdzem, chyba nie myśli się o samotności. To przychodzi dopiero po jakimś czasie. Moment, kiedy zdajesz sobie sprawę, że jednak nie będziesz miał rodziny ani dzieci. Pamiętam, jak o tym rozmawialiśmy, ale jeśli jakaś część mózgu zamiera, dużo się zmienia. Próbuje się odtworzyć dawny sposób myślenia, tyle że to już nie jest – i nie może być – to samo. Przypominam sobie różne rzeczy, mało mnie one jednak teraz poruszają.

On jest?

Ks. Adam Boniecki po swoich 88. urodzinach. Redakcja „Tygodnika Powszechnego", lipiec 2022 r.

Jeśli pytasz o moją relację z Bogiem, to ona wraca, ale na pewno jest w niej jakaś zmiana. Właściwie trudno to nazwać zmianą. Ostatni etap może? Taki, kiedy człowiek godzi się na Tajemnicę. Pan Bóg jest w moim życiu ciągle, może tylko dyskretniejszy, niż był przedtem.

Wiara to wiara. Nie da się jej do końca obronić albo udowodnić. Patrząc na to, jak byłem formowany w seminarium i jak myślę dzisiaj, widzę, że pewne sprawy wcale nie są takie łatwe i oczywiste. Proste sformułowania, które wypowiadałem, już się nie sprawdzają. Stara teologia była bardzo rygorystyczna i pewna siebie. A przecież właściwie wszystko to, o czym rozmawiamy, sprowadza się do rzeczy bardzo ludzkiej: jak najlepiej odpowiedzieć na oczekiwania Pana Boga.

Mówisz o ostatnim etapie. Co w nim jest innego?

Człowiek coraz mniej się mądrzy. Ja przynajmniej tak mam. Liczne spory i kłótnie uczą tego, że zwykle nie mają sensu. Bywa, że lepiej coś zostawić, z nadzieją, że może ktoś będzie z czasem myślał inaczej. Obawiam się na starość obcowania z ludźmi przemądrzałymi, którzy wszystko wiedzą. To po nic.

Kilka lat temu powiedziałeś mi, że czujesz czasami obecność Twojej matki. Wiesz, że ona gdzieś jest.

Moja mama chorowała, przypuszczaliśmy, że to może być koniec. Mieszkałem wtedy w Rzymie, byłem redaktorem naczelnym polskiej edycji „L'Osservatore Romano". Pamiętam, że przygotowywaliśmy do druku tekst papieża, jego medytację drogi krzyżowej. Pracowałem nad tekstem tłumaczenia, co było bardzo absorbujące. Już prawie kończyliśmy, lada moment miałem wrócić do Polski. Nie zdążyłem. Moja mama umarła.

Pamiętam tamten czas bardzo dobrze. Bezradność. Człowiek myśli, że można było zrobić wspólnie to czy tamto. Więcej czasu poświęcić bliskim. Po prostu być.

Czujesz, że mieliście wspólny czas?

Gdy byłem w Rzymie, mama przyjeżdżała tam czasem na wakacje. Mieszkała wtedy u sióstr urszulanek w Scauri, w domu tuż nad morzem. Z tego czasu pamiętam przede wszystkim moją matkę – była wtedy szczęśliwa. To był ważny okres dla niej, czuła się tam dobrze.

Takich momentów pięknych i wspaniałych uzbierało się przez moje długie życie, to jest niewątpliwe. Są one jednak zrównoważone tym, czego wolałoby się nie pamiętać. Niedawno umarła moja siostra. Znowu ta sama myśl, że miałem dla niej za mało czasu.

Nie sprosta się wszystkiemu...

W każdym razie dobrze, że się życie kończy. Wcale nie myślę o tym z przerażeniem, raczej z zadowoleniem. Kiedyś robiliśmy rozmowy o życiu, to teraz będą rozmowy o śmierci?

Jest tylu ludzi, którzy chcą, żebyś był. To ma znaczenie?

Dość szybko nauczyłem się, że nie należy ludzi trzymać za wszelką cenę przy sobie. Nie szarpałem się, by kogokolwiek zatrzymywać. Jeśli będą chcieli, znajdą mnie. A jeśli umrę? Ludzie pamiętają, pamiętają, a potem zapominają. Długie jest to moje życie. Tak właściwie żyję i żyję. Bardzo dużo ludzi z mojego bliskiego otoczenia już umarło. Los starych ludzi. Przychodzi moment w życiu, kiedy człowiek sobie mówi, że taki jest porządek świata, i się z tym godzi. Nie da się od tego uciec.

Co innego, gdy ktoś umiera młodo. Mój ojciec został bardzo wcześnie zamordowany. Dobrze pamiętam gestapowców, którzy po niego przyszli. ↦

Pierwszy raz w naszej redakcji po wyjściu ze szpitala, 12 maja 2022 r.

↦ **„Jeden z nich miał na policzku dziwny rumień w kształcie litery L. »Znajdę cię po tym L, jak dorosnę« – myślałem wtedy" – mówiłeś w naszych rozmowach.**

Miałem wtedy zaledwie dziesięć lat. Choć i tak byłem w lepszej sytuacji niż moje rodzeństwo, bo mój najmłodszy brat ojca właściwie nie pamięta.

Brakowało Ci go potem?

Brakowało mi go zawsze, teraz to widzę. Jako dziecko przywykłem, że jest mama, moje rodzeństwo, stryj, najbliżsi krewni. Bardzo nie chciałem, żeby mama wyszła drugi raz za mąż, właściwie myślałem o tym z przerażeniem.

W szpitalu, tuż po udarze, po raz pierwszy pomyślałem, że ludzie odchodzą, nie ma ich, koniec. Nawet gdy się kogoś kocha, nie ma co go za wszelką cenę zatrzymywać. Człowiek jest zawsze takim niewypłacalnym dłużnikiem.

Trudno się pogodzić z tym, że kogoś tracimy.

W młodości nie bardzo się zauważa, że życie się zmienia. Ludzie wokół są starsi, młodsi, ale są. Teraz jestem na takim etapie, że życie się zmienia i musi się zmieniać. Człowiek czuje, że powoli przestaje pasować do życia, które jest wokół. Imponują mi ludzie, którzy mimo wieku wciąż pasują. Oni w gruncie rzeczy muszą wkładać mnóstwo energii w to, żeby pasować.

Pisanie jest dobrym sprawdzianem. Człowiek widzi, jaki zrobił się straszliwie rozwlekły. Bierzesz starą książkę, którą napisałeś dwadzieścia lat temu, i już wiesz, co minęło.

Pamiętam Twoje teksty, na przykład o kobiecie, która zostawiła swoje dziecko i listę osób, u których szukała pomocy, a potem rzuciła się pod pociąg. „Nigdy się na takiej liście nie znaleźć" – napisałeś.

Bardzo dobrze pamiętam ten tekst i czas w Paryżu, kiedy go pisałem. Ale teraz – być może to jest zasługa mojego mózgowego wylewu – mam takie wrażenie, jakbym to nie ja był jego autorem. Przejmująca historia kobiety, która szukała pomocy i jej nie znalazła. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jakby jej historię opisał jakiś inny facet. Nie ja. Dziwne uczucie, gdy się swoją przeszłość wspomina i nie jest się pewnym, czy wszystko się z niej pamięta. Przeszłość i tożsamość.

Miesiąc temu przyniosłam Ci książkę „Duch puszczy" z Twojego dzieciństwa – opowiadałeś mi o niej wiele razy.

Ty mi ją podarowałaś? Nie mogłem sobie przypomnieć, jak się u mnie znalazła. Miałem sześć lub siedem lat, gdy dostałem ją od rodziców pod choinkę. Chyba nawet to samo wydanie... Pierwsza książka, którą samodzielnie przeczytałem. Zapamiętałem sceny, które są tam zaledwie zaznaczone, drugorzędne postaci, mało ważne dla fabuły. Być może na to, co zapamiętujemy z książek, nakłada się to, co sobie wyobrażamy czytając je? Na pewno wtedy była ciekawa, dziś niekoniecznie.

Wróciłbyś do czasu dzieciństwa?

Dobre rzeczy w różnych okresach wszędzie się zdarzały. Miłe momenty, ludzie kochani, ale takiego wspaniałego okresu, którego bym sobie jeszcze raz życzył, nie mam.

Moje dzieciństwo było bardzo piękne, nie znałem wtedy problemów dorosłych. A one przecież były. Miałem sześć lat, gdy wybuchła wojna. Ludzie chyba znów żyją w przeświadczeniu, że za chwilę może być wojna? Także u nas.

Myślę, że wielu się tego obawia.

Niby jesteśmy w Unii Europejskiej, niby jest wolność. Wiadomo jednak, że wszystko wisi na włosku. Co to będzie, powiedz?

Ludzi, którzy pamiętają wojnę i jej okropności, jest coraz mniej. Pamiętam Miłosza, co to była za postać! Olśniewająca. Zrobiłem mu kiedyś chyba przyjemność, bo poprosiłem, żeby wpisał mi dedykację w środku tomu, pod wierszem, który wybrałem. Miłosz właściwie zawsze o coś pytał. Męczył mnie czasem o fragmenty z Pisma Świętego. Herling-Grudziński bywał w „Kulturze", gdzie go spotykałem. Trzeba było z nim uważać, bo nigdy nie było wiadomo, co z naszych rozmów właduje później do swoich zapisków. No i Giedroyc. Giedroyc to był Giedroyc. Dla niego zawsze najważniejsze były problemy Europy. „A dobrze, że ksiądz przyjechał, mam tu sześć zarzutów: dwa do Turowicza, trzy do papieża i jeden..." – mówił.

Na starość człowiek jednak inaczej odbiera różne rzeczy. Myślę, że mnie będzie dosyć łatwo umierać, bo nie mam czegoś takiego, za czym bym tęsknił. Czasów, które chciałbym, żeby się wróciły.

Jakie plany na teraz?

Plany? Mam prawie dziewięćdziesiąt lat! Wracam powoli do siebie. Widzę, że wszystko, co u mnie w ostatnich miesiącach się wydarzyło, teraz już łagodnieje.

Lepiej chodzę, jeszcze niezupełnie dobrze, ale coraz lepiej. Mam zapewnioną świetną rehabilitację. Jak wszystko pójdzie dobrze, wrócę do mojego mieszkania.

Wchodząc tu do Ciebie od razu pomyślałam, że tu jest Twój chwilowo rozbity namiot. „Trzeba mieć duszę koczownika. Rozstawiam namiot, jutro go zwijam, idę dalej... Wtedy nie da się mieć zbyt wielu rzeczy" – mówiłeś w naszych rozmowach.

Tak poczułaś? Fajnie. Wnętrze, jak widzisz, kompletnie nie jest moje. Tylko trochę swoich rzeczy, które przywieźli mi Jacek Ślusarczyk z Olkiem Kardysiem z Fundacji Tygodnika. To, co najpotrzebniejsze. Tak, myślę, że teraz tu, choć jednak przez chwilę, jestem u siebie. Nie czuję się jeszcze zupełnie zdrowy, ale widzę, że mogło być dużo gorzej. Są dni, kiedy człowiek czuje się dobrze, a potem nagle – jeden dzień i tyle się zmienia.

Mnie się chyba jednak udało, ciągle przychodzą przyjaciele z redakcji. Wiele osób, które tutaj mieszkają, mogą czuć, że to nie jest dla nich najlepsze wyjście. Ale realnie – jest. Ktoś ich odwiedza, zabiera do domu na święta. Biedni są ci, którzy nie mają żadnej łączności z domem.

Być może nie mają nikogo bliskiego.

Niektórzy, widzę to codziennie, siedzą w ogrodzie, niedaleko furtki.

> Człowiek coraz mniej się mądrzy. Ja przynajmniej tak mam. Liczne spory i kłótnie uczą tego, że zwykle nie mają sensu.

Ciągle czekają. Spotykam tu ludzi chorych, bardzo biednych. I bardzo, bardzo nieszczęśliwych. Bywa, że są tu od kilkunastu lat. Mówią, że w ich życiu nic się nie dzieje, ciągle to samo. Niektórzy chcieliby być w domu, tęsknią za takim ludzkim domem. Niektórzy wiedzą, że to jest ich ostatni dom.

Mówią o tym?

Rzadko. Myślę, że jest łaska chwili. Żeby mieć dla kogoś spotkanego dobre słowo. W budynku obok, na ostatnim piętrze, mieszkają najbardziej chorzy. Byłem tam ostatnio. Od pokoju do pokoju, do ostatniego już nie wszedłem. Miałem wrażenie, że wkraczam w czyjąś przestrzeń, bardzo intymną.

Poszedłeś tam jako ksiądz?

Nie, chciałem odebrać spodnie z prania. Wiedziałem, że panią, która zabrała je do pralni, można spotkać właśnie tam. To ona zaproponowała, że oprowadzi mnie po pokojach. Nasze rozmowy z chorymi były krótkie. Ktoś źle się czuł, ktoś był zmęczony. Są tu też ludzie, którym – tak czuję – jestem potrzebny. Wiem, że dla wielu z nich ważne są msze, które odprawiam codziennie w kaplicy, tuż obok. Spotykamy się na gimnastyce. Przychodzą tam też ci, którzy wcześniej nie chodzili wcale, przywraca się im zdolność poruszania się, ale nie u wszystkich się to udaje.

To, co mnie się przydarzyło, może spotkać każdego. Każdego. Dobrze, że tamtego dnia wsiadłem z wami do busa...

No i chciałbym wrócić do pisania.

To kiedy?

Przed udarem pisałem jeden tekst w tygodniu. Zajmował mi zawsze trochę czasu, ale bez przesady. Raz szybciej, raz dłużej, ale pisałem. W końcu jestem chyba najstarszy w redakcji? Dziś napisałem kazanie na komputerze, którego obsługa sprawiała mi po udarze kłopot. Więc...

Widzę, że masz tu nową książkę Hanny Krall.

Dostałem właśnie z dedykacją. Hanka jest świetna. Czytam jej książki, raz, drugi, trzeci – żeby wychwycić wszystko. Ona się tak ciągle dziwi i dziwi. Właściwie, trochę jak ja.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Wybierz życie

Żydowskie anioły mają tylko jedną nogę. „A nogi ich są prostą nogą” – tak dosłownie opisuje to prorok Ezechiel, roztaczając swoją wizję skrzydlatych stworzeń. Rabin Izaak Cylkow oddaje to jako „a nogi ich tworzyły udo proste” (Ez 1, 7), uświadamiając nam brak kolana. Anioły są li tylko posłańcami spełniającymi Bożą misję. Zbyt blisko Najwyższego, by posiadać własną wolę. Góra–dół, góra–dół – oto ich cała trajektoria. Zgoła inaczej porusza się dwunożna korona stworzenia: człowiek, jako chodzący, posiada wolną wolę. „Życie i śmierć składam przed tobą, błogosławieństwo i przekleństwo; wybierz życie” (Pwt 30, 19) – ustami Mojżesza mówi nam Wiekuisty.

Przy stwarzaniu człowieka Najwyższy stwierdza: „Uczyńmy ludzi na obraz Nasz i podług podobieństwa Naszego” (Rdz 1, 26). Po zjedzeniu przez Ewę i Adama zakazanego owocu Bóg konstatuje: „Oto człowiek stał się jako jeden z Nas, co do wiedzy dobrego i złego” (3, 22). Wiekuisty wiedział, jak nasi protoplaści postąpią. Ograniczeni ludzkimi kategoriami, w pierwszym odruchu śmiemy imputować determinizm: „czyżby Pan nie dociekł tego, wszak On zna skrytości serca” (Ps 44, 22) – skoro wie, gdzie tu miejsce dla wolnej woli? Jeden z najwybitniejszych rabinów, Akiwa, żyjący w I i II w. ery chrześcijańskiej, nie jest w stanie powiedzieć więcej niż ponad: „wszystko jest z góry przewidziane, ale pozwolenie zostało dane”. Wiekuisty przekazuje nam przez proroka Izajasza: „Bo nie są myśli Moje jako myśli wasze, ani drogi wasze jako drogi Moje”. Ogarniana przez nas umysłem czasoprzestrzeń ma cztery wymiary, w teorii strun zaś wymiarów jest tyle, ile Bożych emanacji. Fizycy nie zatrzymują się na dziesiątce – pada też liczba 26, która stanowi również wartość numeryczną Bożego Imienia. Twór Bożej woli owej woli niespełniający? Rzecze rabin Chanina: „Wszystko jest w rękach Nieba, poza bojaźnią Bożą”. Czas skapitulować: „Co tajne należy do Wiekuistego, Boga naszego; ale co jawne – do nas i do synów naszych na wieki” (Pwt 29, 28).

Midrasz opowiada o napotkanym na szlaku staruszku. Od szlaku odchodziły dwie drogi: jedna pełna cierni na początku, ale na końcu gładka, druga zaś – gładka na początku, lecz pełna cierni na końcu. Staruszek siadł na rozwidleniu dróg i ostrzegał przechodniów, mówiąc: „Choć początek tej drogi jest pełen cierni, idźcie nią, bo na końcu stanie się gładka”. Kto postąpił rozsądnie i – posłuchawszy staruszka – poszedł tą drogą, niewątpliwie na początku trochę się zmęczył, ale szedł i doszedł w pokoju. Ci, którzy go nie posłuchali, wybierając drugą drogę, w końcu pobłądzili. Tak też było z Mojżeszem, który powiedział Izraelowi otwarcie: „Życie i śmierć składam przed tobą, błogosławieństwo i przekleństwo; wybierz życie”. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Nie ma albo-albo

„Nie chwytaj dnia, chwytaj Boga”, „Bóg sam wystarczy” – słyszymy z wielu stron. W takim razie, dlaczego ten najdoskonalszy Absolut zapragnął zostać człowiekiem? I czy rzeczywiście, stając się nim, „uniżył siebie”? A może przeciwnie, „wywyższył siebie”, udowodniając, że nie jest wyłącznie Bogiem zamieszkującym w słowach, nie żyje ponad światem, ale w świecie. Jeśli dzisiaj jedni cierpią, a drudzy nie posiadają się z radości z powodu stanu, w jakim znalazło się chrześcijaństwo, to być może jest w tym kryzysie palec Boży – Bóg dopomina się o swoje prawo do życia w świecie, a nie ponad światem. Bóg chrześcijan nie jest wszechmocnym do entej potęgi, wszechwiedzącym samotnikiem, który sam sobie wystarcza i niczego do szczęścia nie potrzebuje.

Prof. Aleksander Bańka, omawiając „krajową syntezę synodalną”, mówi: „Jest wiele zarzutów do tego, że księża często się alienują, że mają nie do końca realne rozumienie czy przeżywanie rzeczywistości, w której żyją świeccy. Mówiono często o arogancji, o bucie, a nawet pysze. To są mocne słowa, ale one często padały pod adresem wielu prezbiterów. Z drugiej strony, pod adresem świeckich padały słowa dotyczące pewnego utylitaryzmu, poszukiwania w Kościele tylko swoich korzyści, swoich doraźnych potrzeb, traktowania Kościoła jako instytucji usługowej, czasem z pretensjonalnością”. To są objawy choroby Kościoła, a przyczyna?

A może jest tak, że po prostu zawalił się nam dotychczasowy obraz Boga i nie ma w tym niczego dziwnego. A może Bóg, w którego wciąż usiłujemy wierzyć i o którym mówimy, jest Bogiem przestarzałym, niemającym współczesnemu człowiekowi nic do powiedzenia. Tradycja podpowiada, że jest to możliwe. Biblia jest na to dowodem: „Pan rzekł do Mojżesza (...) Żaden człowiek, który jest poświęcony dla Pana jako cherem, nie może być wykupiony. Musi on być zabity”. Był więc czas, kiedy nasz Bóg pochwalał mordowanie ludzi. Przypomnijmy jeszcze Jeftego czy Abrahama.

W przypowieści o sędzi, „który nie bał się Boga i nie szanował ludzi”, Jezus pyta: „Czy Syn Człowieczy znajdzie wiarę na ziemi, gdy przyjdzie?”. Jezus przewidział, że będzie dla wielu „problemem”, również dzisiaj. Łamiemy sobie głowy i język mówieniem o transsubstancjacji, konsekracji, przeistoczeniu, transfiguracji i transsignifikacji, choć mamy „mocniejszą mowę”. Trudno bowiem przyjąć, że z jakiegoś powodu Syn Człowieczy zmienił zdanie i wyniósł się ze świata. Owszem, jak nasi ojcowie, tak i my wciąż na nowo posyłamy Jezusa na krzyż, ale tak samo nieskutecznie. Bóg, który jest miłością, odejść nie potrafi – jest wszechmocny. A skoro jesteśmy Jego ciałem i słowem, pozwólmy Jezusowi, żeby nadal żył jak człowiek i mówił po ludzku. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Zaufanie mimo klęsk

„Wszystko ma swój czas – pisze Kohelet. – Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia, czas burzenia i czas budowania, czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas pląsów, czas rzucania kamieni i czas ich zbierania, czas pieszczot cielesnych i czas wstrzymywania się od nich, czas szukania i czas tracenia, czas zachowania i czas wyrzucania, czas rozdzierania i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia, czas...” (Koh 3, 1-8). Czyta się to łatwo, bo to jeden z piękniejszych przykładów biblijnej poezji. Zdecydowanie jednak trudniej się przeżywa, gdyż trudno jest się na co dzień odnaleźć w takiej mieszaninie życia i śmierci.

Trudno jest żyć, kiedy widzisz, że to, co z takim trudem budowałeś, właśnie obraca się w gruzy; przez lata budowałeś pokój, a doczekałeś się powszechnej wojny. Zszywałeś – ile tylko potrafiłeś, ale za tobą zaraz postępowali ci, którzy rozpruwali. Na twoją miłość odpowiedziano nienawiścią, a tam, gdzie usiłowałeś gromadzić, ktoś inny siał podziały. Nie sposób – doświadczywszy tego wszystkiego – nie zapytać tak, jak Kaznodzieja: „Cóż przyjdzie pracującemu z trudu, jaki sobie zadaje?”. Jaki ma sens nasz wysiłek? Niszczony lub marnotrawiony przez innych. Albo nawet przez nas samych. Po co było się szarpać?

Pośrodku takich pytań Kohelet słyszy naraz – i zapisuje – Bożą odpowiedź: „On [Bóg] czyni wszystko właściwym/pięknym w odpowiednim czasie, i chociaż dał nam świadomość przemijania czasu, nie możemy poznać ani początku, ani celu tego, co Bóg czyni” (tłumaczenie własne za Biblią Jerozolimską).

Jest Bóg ponad zmiennością tego świata. I to On zna bieg i sens wszystkich wydarzeń. My odnotowujemy zmiany – jesteśmy ich świadomi, ale nie pojmujemy zamysłów Boga – ani w ich punkcie wyjścia, ani dojścia. Ta niewiedza (a więc i – w jakimś stopniu – bezradność) może w nas zaowocować dwiema postawami: albo buntem/protestem i poczuciem bezsensu, albo zaufaniem i powierzeniem się Temu, który wie, prowadzi dzieje świata, i godzien jest, aby Mu wierzono.

To zaufanie jest ostatecznie rzecz biorąc wyznaniem wiary w logikę i dyscyplinę tajemnicy paschalnej: to Jezus – w samym środku rozwijającego się życia – musiał wejść w śmierć („i to śmierć na krzyżu” – Flp 2, 8); ale pośrodku niej znalazł Dłoń Ojca podnoszącego Go z grobu do zmartwychwstania, w mocy Ducha Świętego.

Kiedy już nic nie rozumiemy z potrzeby umierania w samym środku atrakcyjnie rozkwitającego życia – zostaje nam bezsens lub sens – paschalny. ©

Nadzieja złożona
w Bogu poszerza serce,
a troska doczesna
zawęża je.

MAREK EREMITA

Trzeba odróżnić
dwie rzeczy:
dobro i to,
co dopiero musi
stać się dobrem.

HAZRAT MUDŻNUDIN CZISZTI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (16 –23 X)

29. niedziela zwykła: Wj 17, 8-13; Ps 121; 2 Tm 3, 14 – 4, 2; Łk 18, 1-8;
Poniedziałek: Ef 2, 1-10; Ps 100; Łk 12, 13-21;
Wtorek: 2 Tm 4, 9-17a; Ps 145; Łk 10, 1-9;
Środa: Ef 3, 2-12; Ps: Iz 12, 2-6; Łk 12, 39-48;
Czwartek: Ef 3, 14-21; Ps 33; Łk 12, 49-53;
Piątek: Ef 4, 1-6; Ps 24; Łk 12, 54-59;
Sobota: Ef 4, 7-16; Ps 122; Łk 13, 1-9;
30. niedziela zwykła: Syr 35, 12-14. 16-18; Ps 34; 2 Tm 4, 6-9. 16-18; Łk 18, 9-14.

RATUJ SIĘ, KTO MOŻE

Sześciolatki zaciekle bronione niemal dekadę temu przed szkołą właśnie kończą podstawówki.
I kolejny raz słono płacą za reformatorski chaos.
Poza rodzicami ich los nikogo już nie obchodzi.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Marta i Paweł, mieszkający pod Krakowem rodzice 15-letniej Ewy (imiona zmienione), uratowali córkę przed przewlekłym rekrutacyjnym stresem i zawodówką – zapisali ją do prywatnego liceum. Spokój będzie ich kosztował tysiąc złotych miesięcznie. Przez następne cztery lata.

19-letnia Wiktoria Korzecka z Wrocławia będzie ratować swoją 13-letnią siostrę przed szkołą, zastępując tę instytucję nauczaniem domowym. Wierzy, że siostra ucząca się pod jej okiem przygotuje się do egzaminów skuteczniej i bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym.

Chodzi o trzy roczniki dzieci upchnięte w dwóch latach szkolnych: sześciolatki i siedmiolatki, które poszły do pierwszych klas w 2014 i 2015 r. Pierwsi zaczęli ponad miesiąc temu naukę w liceach i innych szkołach ponadpodstawowych, drudzy rozpoczną ją za niecałe jedenaście miesięcy. O ile standardowo polskie podstawówki wypuszczały ostatnimi laty trzysta kilkadziesiąt tysięcy uczniów rocznie, o tyle w tym i przyszłym roku będzie to pół miliona z okładem. A to oznacza półtora raza intensywniejszą konkurencję o miejsca w licealnych ławkach.

Dzieci z tych roczników, mówią rodzice, są jak doświadczalne chomiki, których kołowrotki kręciły się wcześniej bardzo szybko, ale ktoś postanowił sprawdzić, czy da się tempo jeszcze zwiększyć.

Roczniki wyklęte

Snute w 2009 r. założenia brzmiały sensownie: sześciolatki w szkołach miały oznaczać wyrównanie szans – zgodnie z zasadą, że im wcześniej dziecko z niskim kapitałem kulturowym spotka się z rówieśnikiem mającym w swojej rodzinie lepsze możliwości rozwoju, tym większa szansa na zniwelowanie różnic.

Tyle że wszystko, co działo się później, zbliżało autorów reformy z PO do politycznej klęski – z każdym rokiem rosła w siłę wymyślona przez Karolinę i Tomasza Elbanowskich akcja protestacyjna „Ratuj Maluchy", słabła zaś idea zmiany, której realizację wciąż przekładano. Wreszcie w 2014 r. do szkół – wraz z całym rocznikiem urodzonych w 2007 r. siedmiolatków – powędrowały „starsze sześciolatki" (urodzone między styczniem a czerwcem 2008 r.). Rok później w ławkach zasiadła połowa rocznika siedmiolatków, a także pełen rocznik sześciolatków, tych urodzonych w roku 2009.

Nowo wybrana w 2015 r. władza nie miała ochoty ulepszać źle przygotowanych przez poprzedników zmian – wolała wyrzucić reformę do kosza, wprowadzając równocześnie własną. PiS zlikwidował gimnazja i powiększył podstawówki, mnożąc tym samym chaos i ścisk.

O dwóch „wyklętych rocznikach" zapomnieli już właściwie wszyscy poza rodzicami tych dzieci. Także twórcy akcji „Ratuj Maluchy". Dziś ich Fundacja Rzecznik Praw Rodziców zajmuje się innymi sprawami; w zakładce „Aktualności" na stronie internetowej jako ostatnie jest ostrzeżenie przed zeszytami w czerwone linie.

– To mogła być korzystna zmiana – uważa Zofia Grudzińska, nauczycielka i działaczka edukacyjna. – Tyle że była obciążona grzechem wszystkich reform: nikt nie pomyślał, co się stanie po ośmiu latach. Tymczasem każda dobra reforma potrzebuje spojrzenia w przyszłość.

Przyszłość nadeszła w czerwcu i wrześniu roku 2022.

Bilans strat

– Rok ciężkiej jak nigdy pracy, średnia 5,0 i świadectwo z paskiem – relacjonują Marta i Paweł, rodzice 15-letniej Ewy. – Złożyliśmy papiery do siedemnastu liceów, dopuszczając myśl, że Ewa może się nie dostać do najlepszego spośród nich. Utwierdziliśmy się w tym, gdy 1 lipca ogłoszono wyniki egzaminu ósmoklasisty: słabszy wynik z angielskiego, za to niemal 80 procent z polskiego i prawie 90 z matematyki.

Ale gdy krakowskie placówki ogłaszają wyniki pierwszego etapu rekrutacji, Marta i Paweł nie mogą się otrząsnąć: Ewa nie dostała się do żadnej z siedemnastu szkół. Obok ponad 2,5 tys. uczniów, którzy zostali bez placówki w Krakowie. W poprzednim roku „bezszkolnych" dzieci było na tym etapie o tysiąc mniej.

– Czułam się bardzo dziwnie, trochę jak bezdomna, już po podstawówce, a jeszcze bez żadnego liceum – opowiada Ewa.

Drugi, sierpniowy etap rekrutacji – znowu rozczarowanie. Marta z Ewą jeżdżą od szkoły do szkoły, by składać ponownie papiery (tylko pierwszy etap odbywał się online), odbijając się od kolejnych drzwi. – Najbardziej zdołował mnie wtedy widok innych dzieci i ich rodziców – opowiada dziś Marta. – Niepewność, panika, płacz. Udało mi się wejść do gabinetu dyrektorki jednego z liceów. Na pytanie, co zrobić, odpowiedziała, że są jeszcze zawodówki. A gdy spytałam, czy uważa, że to odpowiednia szkoła dla dziecka z czerwonym paskiem, rzuciła, że te „czerwone paski" w pierwszej klasie będą miały ledwie oceny dopuszczające. Wyszłam z gabinetu, popłakałam się.

Choć Marta i Paweł wiedzieli, że niepowodzenie w drugim etapie to nie koniec (zdecydowana większość „bezszkolnych" ostatecznie znajdzie jakąś placówkę we wrześniu), nie chcieli przedłużać stresu córce. Podpisali jeszcze w sierpniu umowę z prywatnym liceum.

– Jaki jest dla was bilans? – pytam.

– To dobra szkoła, więc może dobrze się stało – mówi nie bez wahania Marta.

– Tylko że poszłaś na dodatkowe pół etatu, by spiąć budżet – wtrąca Paweł. ↦

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Rozpoczęcie roku szkolnego w I LO w Łomży. 1 września 2022 r.

↦ – A i tak największe są koszty emocjonalne – dodaje jego żona. – Ewa miała ciężki rok, dała z siebie wszystko. Miała masę nauki, psychologa. Nie zasłużyła sobie na ten stres.

Podobne emocje targały w czasie wakacji rodzicami dzieci z Wielkopolski. Anna z Poznania, której dwaj synowie należą do obu feralnych roczników (ten starszy dostał się do liceum jako laureat olimpiady), opowiada: – W klasie mojego syna 90 procent nie dostało się tam, gdzie chciało, bo trzeba było mieć za świadectwo i egzaminy kilkadziesiąt punktów więcej niż rok wcześniej. Były nerwy, a na forach rodzice przelewali swoje frustracje na Bogu ducha winne dzieci ukraińskie, których nie było zresztą dużo.

Ponad siedemset przystępujących do egzaminu w całej Wielkopolsce ukraińskich uczniów stanowiło nieco ponad 1 proc. całej puli, czyli prawie nic w porównaniu z „sześciolatkowym", wynoszącym aż 16 tys. uczniów naddatkiem ósmoklasistów (w 2021 r. niecałe 36 tys., w 2022 ponad 52 tys.). W połowie sierpnia bez szkoły pozostawało niemal 1300 dzieci z Poznania i okolic, a władze miasta obwiniały o kryzys powiat poznański twierdząc, że nie bierze on w dostateczny sposób odpowiedzialności za los „swoich" uczniów. Efekt: dzieci pozostające bez szkoły już w trakcie trwania roku szkolnego.

I nawet jeśli w Poznaniu i innych miastach udało się już znaleźć miejsce dla większości z nich, bilans strat jest duży. Nie tylko emocjonalnych: dla tysięcy dzieci najbliższe cztery lata to nauka w gorszych szkołach niż te, do których dostałyby się w normalnym roczniku. To także liczniejsze klasy w bardziej przepełnionych placówkach.

Szkoły jak tramwaje

Ministerstwo Edukacji i Nauki problemu nie widzi. Po pierwsze, tłumaczy w mailu nadesłanym do „Tygodnika" rzeczniczka prasowa resortu Adrianna Całus-Polak, bywały już w historii znacznie liczniejsze roczniki (od 2000 r. liczba ogółu uczniów w Polsce spadła aż o 35 proc.). Po drugie, zwiększona pula osób w szkołach ponadpodstawowych „może być dla wielu samorządów szansą na utrzymanie szkół i etatów nauczycieli". Po trzecie, liczba uczniów nieprzyjętych po dwóch etapach rekrutacji do żadnej z placówek wynosiła według MEiN ok. 45 tys. uczniów, a liczba miejsc, którą samorządy przygotowały w ramach rekrutacji uzupełniającej, to niemal 58 tys.

> Dzieci z tych roczników są jak chomiki, których kołowrotki **kręciły się wcześniej bardzo szybko, ale ktoś postanowił to tempo zwiększyć.**

Te dane dobrze wyglądają tylko na papierze: nawet jeśli zgadza się ogólny bilans, niedobory wystąpiły w dużych miastach. W Krakowie absolwentów podstawówek było w tym roku 8600, a miasto przygotowało 10 047 miejsc w szkołach ponadpodstawowych. Co z tego, skoro o miejsca ubiegało się dodatkowo 5000 uczniów spoza Krakowa?

– Nie dało się tego przewidzieć? – pytam Dariusza Domajewskiego, wicedyrektora Wydziału Edukacji Urzędu Miasta Krakowa.

– Nigdy nie wiemy, ile w danym roku trafi do nas dzieci mieszkających poza miastem. Na szczęście są jeszcze szkoły niesamorządowe, i tylko część z nich jest płatna – mówi Domajewski.

Ale gdy pytam w trzecim tygodniu września, czy są nadal dzieci, które zostały bez szkoły, urzędnik odpowiada z rozbrajającą szczerością: – Nie wiem.

Wszystko przez zawikłany system rekrutacji. Np. uczeń X z dobrym dorobkiem punktów mógł nie uzyskać wstępu do żadnej z dwudziestu szkół, do których aplikował, jeśli przeszacował swoje możliwości. A Y z dorobkiem przeciętnym mógł dostać się do kilku naraz, o ile złożył dokumenty do placówek na miarę swojego egzaminacyjnego wyniku. Niby logiczne i sprawiedliwe: do każdej ze szkół dostawali się najlepsi spośród tych, którzy się zgłosili. Pytanie tylko, na jakiej podstawie rodzice mieli oceniać szanse swojego dziecka na wstęp do danej placówki, skoro progi punktowe z poprzednich lat straciły sens?

– Szkoły jeszcze we wrześniu były jak tramwaje – mówi Dariusz Domajewski, pytany o efekt tego chaosu. – Jedni wsiadali, drudzy wysiadali, dyrektorzy nie mieli pojęcia, ilu będzie uczniów. Wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby ministerstwo stworzyło ogólnopolski rejestr, w którym kandydat mógłby na bieżąco śledzić dostępność miejsc. Wtedy uniknęlibyśmy nerwów i chaosu.

Także tego, który czeka nas w przyszłym roku.

Strategie ucieczki

Anna z Poznania napisała na jednym z forów, że aby uchronić swoje dziecko przed przyszłoroczną rekrutacją, gotowa jest nawet ukryć je w bunkrze. Jej drugi syn, w odróżnieniu od pierwszego, raczej nie ma co liczyć na laury w olimpiadach. – Ma nerwicę w związku z ósmą klasą – mówi Anna, gdy łączymy się w połowie września. – Przed sprawdzianem nie może spać. Moje dzieci nigdy nie chodziły na korepetycje, a teraz zapisałam młodszego na polski, matematykę i angielski, z miesięcznym kosztem sięgającym nawet tysiąca złotych. To będzie szalony rok.

By uniknąć podobnego szaleństwa, 19-letnia Wiktoria Korzecka z Wrocławia zdecydowała się wraz z rodzicami na radykalny krok: okres nauki w ósmej klasie jej siostra „przeczeka" na nauczaniu domowym, przygotowując się do egzaminów wyłącznie z jej pomocą (i na jej oraz rodziców odpowiedzialność: w tej formie nauki opiekunowie w stu procentach zastępują tradycyjną szkołę).

– Moja siostra poszła do szkoły jako sześciolatka, a potem chodziła do trzech różnych podstawówek, przy czym z każdą był jakiś problem – opowiada Wiktoria, będąca też aktywistką edukacyjną. – Czarę goryczy przelała sprawa licznego rocznika. Zostawiając moją siostrę w domu, chcieliśmy zwiększyć jej szanse na dobry wynik na egzaminie.

– Wie pani, jak to brzmi i co to mówi o systemie? – pytam Wiktorię Korzecką.

– Naturalnie, że wiem: to mówi nam, że formuła tradycyjnej szkoły się wyczerpała, i że stała się ona ośmiogodzinną przechowalnią dzieci – odpowiada 19-latka. – A zastąpiły ją korepetycje, które bierze w tej chwili prawie każdy uczeń. Po kilku tygodniach nauki w domu widzę już nie tylko, czego szkoła nie daje, ale też co odbiera. Moja siostra przez ten krótki czas odkryła, że fascynuje ją wiedza o społeczeństwie. Dziecko, które przez cały okres chodzenia do szkoły kombinowało, jak tu nie iść na lekcję wuefu, teraz wyciąga mnie na ściankę wspinaczkową i rolki. Chce iść na taniec, pianino. A my, planując dzień, będziemy te czynności brać pod uwagę – opowiada Wiktoria Korzecka.

Jakie strategie przetrwania planują inni? – Mój młodszy syn podejdzie do egzaminu ósmoklasisty, ale pierwszy rok

liceum odbędzie w edukacji domowej – opowiada Anna z Poznania. – A we wrześniu 2024 r. mógłby przystąpić ponownie do rekrutacji licealnej już normalnie, czyli z pojedynczym rocznikiem. Myślałam też o zapisaniu go do klasy zerowej w szkole z międzynarodową maturą, co też przesunęłoby o rok rekrutację.

– Które z tych strategii są sensowne i dopuszczalne? – pytam Zofię Grudzińską.

– Nie od rzeczy, w razie prawdziwych i uzasadnionych obaw rodziców, byłoby pozostawienie dziecka na drugi rok w ósmej klasie. Tyle że prawo oświatowe tego nie przewiduje. W odniesieniu do klas 1-3 jest przepis, według którego w wyjątkowych sytuacjach, na wniosek wychowawcy lub rodziców, można pozostawić dziecko w klasie. W odniesieniu do dalszych etapów nauki ten przepis znika. A co do innych opcji, np. rocznego nauczania domowego czy wysłania do klasy zerowej, są legalne i sensowne. Polecałabym do przemyślenia jeszcze jedną strategię: „Będzie, co będzie, jestem przy tobie. Nie dostaniesz się w tym roku, uda się w następnym".

Liceum nie dla wszystkich

Przy okazji tegorocznej rekrutacji nie zabrakło też przewrotnych głosów, że mówi ona wiele nie tylko o szkolnictwie, ale też o rodzicach. – Jestem przeciwna źle wprowadzonym reformom, a kumulację roczników uważam za problem – zastrzega Zofia Grudzińska. – Równocześnie jednak żyjemy w świecie, w którym wpaja się dzieciom, że świat jest po to, by spełniać ich marzenia, i że one się ziszczą, jeśli tylko chcemy. Nie mówię, czy to dobrze czy źle, po prostu przechyliło się wahadło rodzicielskich postaw, co ma jeden minus: dzieci są coraz gorzej przygotowane na porażki.

– Licea nigdy nie były dla wszystkich – mówi z kolei Dariusz Domajewski z Urzędu Miasta Krakowa. – Choć w ostatnich dwóch dekadach nauczyliśmy się łatwego do nich dostępu. W Krakowie mamy 5 tys. miejsc w liceach, a 900 w branżówkach, przy czym chętnych do nich jest tylko 300 uczniów. Wiem, że wszyscy są już poobrażani na te szkoły, i że wszyscy chcą do LO. Ale być może te przepełnione roczniki to również lekcja, że w innych szkołach odbywa się dobra, a dla niektórych uczniów nawet lepsza edukacja.

Pytanie tylko, czy system jest od tego, by wytykać nastolatkom „błędne" aspiracje czy ułatwiać ich spełnienie. Na to drugie w tym i kolejnym roku raczej nie ma co liczyć.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

MARIUSZ GACZYNSKI / EAST NEWS

Demonstracja frankowiczów przed Belwederem. Warszawa, 10 września 2016 r.

Historia negatywna

MAREK RABIJ

Gdy brał kredyt, w banku pokazano mu symulację rat, gdyby kurs franka wzrósł o 20 proc. Nikt nie ostrzegał, że to symulacje oparte na szczątkowych danych. Dziś wmawia się mu, że wszystko mógł przewidzieć.

Pierwsza kluczowa liczba – pięć. Pod koniec września kurs franka do złotego po raz pierwszy w dziejach przekroczył na dłużej próg 5 zł, z czym wiąże się od razu inna ważna liczba. Sto. W trakcie 15 lat, jakie minęły od chwili, kiedy zainteresowanie kredytami frankowymi osiągnęło w Polsce apogeum, szwajcarska waluta umocniła się do złotego dokładnie o 100 proc. W efekcie klienci, którzy regularnie spłacali rosnące ↦

↦ z miesiąca na miesiąc raty, często mają dziś do oddania dokładnie tyle pieniędzy, ile pożyczyli przed 15 laty. A wkrótce może nawet więcej – bo szwajcarski bank centralny już dwukrotnie w tym roku podniósł nieruszane od ponad dekady stopy procentowe. To kolejna fatalna wiadomość dla 370 tys. polskich frankowiczów.

Podczas gdy posiadacze złotówkowych długów bankowych mogą liczyć na wakacje kredytowe, on – statystyczny polski frankowicz – ma miesięczną ratę już dwukrotnie wyższą od początkowej, bez prawa do wakacji. Odmówiono mu ich, bo należy do grupy społecznie niejednorodnej i wyborczo nieprzewidywalnej, dlatego polscy politycy dawno skreślili ich z agendy. Jak ujął to prezes Jarosław Kaczyński, powinni „wziąć sprawy we własne ręce i walczyć w sądach".

370 000

Tyle kredytów hipotecznych we frankach szwajcarskich mają Polacy

95 000

Tyle pozwów frankowiczów wobec banków trafiło już do sądów powszechnych

Niepoważne państwo

No to walczą. Jak wynika z ostatnich danych Związku Banków Polskich, przed sądami toczy się aktualnie batalia o zakwestionowanie 95 tys. umów frankowych. Około pięciu tysięcy takich spraw – to już statystyki biura Rzecznika Finansowego – dotarło do drugiej instancji. W ubiegłym roku ponad tysiąc pozwów frankowych zakończyło się prawomocnym wyrokiem. Najczęściej na korzyść frankowiczów.

Za osnowę tego tekstu niech posłuży historia jednego kredytu. Jego posiadacz również wybiera się do sądu. Nie może dłużej czekać na mityczne „systemowe rozwiązanie problemu frankowiczów". Bank, do którego jego kredyt trafił w końcu po serii fuzji i przejęć, nie oferuje kart kredytowych, nie można w nim nawet założyć konta czy lokaty. Nie wyszedł, jak inne, z propozycją ugody i przewalutowania kredytu po korzystniejszym dla klienta kursie. Prawnicy mówią, że to wydmuszka wydzielona z innego banku po to, żeby toksyczne frankowe aktywa odseparować od zdrowej reszty.

Frankowi klienci coraz chętniej idą do sądu, zazwyczaj wygrywają i łatwo odzyskują nadpłacone pieniądze z większości banków. Nasz bohater jest jednak wraz z wieloma innymi kredytobiorcami w specyficznej sytuacji. Gdyby ich umów frankowych nie „zaparkowano", jak mówią prawnicy, w banku wydmuszce, pokrzywdzeni mogliby ściągać należności z całego, wielomiliardowego majątku banku. Kilka lat temu wszystkie hipoteki frankowe banku znalazły się jednak w wydzielonej spółce i wygrani frankowicze będą odzyskiwać pieniądze dopóty, dopóki z tytułu pozostałych, jeszcze niezakwestionowanych przed sądem umów spływać będą do zaskarżanego banku dostatecznie wysokie wpłaty w kolejnych ratach. Kiedy suma zobowiązań przekroczy te wpływy, wydmuszka ogłosi upadłość. Wówczas nawet z prawomocnym wyrokiem i nakazem komorniczym można będzie najwyżej ustawić się na końcu długiej kolejki roszczeń. Bez szans na ich zaspokojenie – bo upadły bank nie posiada przecież majątku. Dziś nawet siedzibę ma w wynajętym biurowcu.

Kiedy nasz bohater pyta swojego prawnika, czy to normalne, że w majestacie prawa można wykiwać ludzi, których wcześniej naraziło się na niekorzystne rozporządzenie mieniem, mecenas wzrusza ramionami. W sprawie frankowiczów – odpowiada – Polska mogła dawno zrobić porządek. Choćby, jak to uczyniono w Chorwacji, zmusić banki do przewalutowania kredytów po kursie satysfakcjonującym obie strony. Albo – jak w Austrii w 2008 r. – zawczasu zakazać powszechnego udzielania pożyczek hipotecznych w obcej walucie. Wobec kredytów frankowych polskie państwo od lat okazuje jednak dziecięcą bezradność. „Skontrolowane podmioty administracji publicznej nie zapewniły właściwego egzekwowania praw kredytobiorców oraz zbyt późno lub w nieodpowiednim stopniu przeciwdziałały zagrożeniom, wynikającym z charakteru tych kredytów oraz z nieuczciwych praktyk banków" – podsumowała w 2018 r. Najwyższa Izba Kontroli.

Instytucje polskiego państwa nie zadbały o prawa ludzi zadłużonych. Nawet Sąd Najwyższy w tej kwestii nie potrafi zająć jednoznacznego stanowiska. Za kilka dni Trybunał Sprawiedliwości UE odpowie na pytanie, czy polski bank, który przegrał sprawę frankową, może potem żądać od klienta opłaty za korzystanie z przekazanego mu kapitału. Nierzadko chodzi o dziesiątki tysięcy złotych.

Mecenas nie rozumie, dlaczego do takiej sprawy włączono aż TSUE. Wystarczy, jak twierdzi, przeczytać polskie kodeksy, żeby wiedzieć, iż instytucja, która podsuwa klientom do podpisu felerne umowy, nie może jednocześnie uznać się za poszkodowaną z tego samego tytułu.

Włoska robota

Przystępując około 2005 r. do frankowej ofensywy, polscy bankowcy powinni byli zdawać sobie sprawę, że umowy indeksowane kursem obcej waluty są bublem prawnym. Musieli też wiedzieć, na jakie ryzyko narażają klientów. Znamienne, że wśród banków oferujących lekką ręką kredyty we franku nie było Pekao S.A., należącego wówczas do włoskiej grupy UniCredit. Jej menedżerowie świetnie pamiętali jednak kryzys, w jaki kilkanaście lat wcześniej ich rodzimy rynek bankowy wpadł właśnie za sprawą kredytów walutowych.

Na przełomie lat 80. i 90. różnica wysokości głównych stóp dla włoskiego lira i franka przekraczała 11 punktów procentowych. Niższe oprocentowanie kredytów indeksowanych kursem szwajcarskiej waluty pozwalało pożyczyć więcej, rosła też, w porównaniu z pożyczką w lirach, zdolność kredytowa klientów. W rezultacie Włosi masowo rzucili się na tańsze kredyty walutowe. Od połowy 1988 r. do połowy 1991 r. wartość pożyczek dla gospodarstw domowych wzrosła trzykrotnie. Zarazem od stycznia 1990 r. do września 1992 r. ceny włoskich nieruchomości skoczyły aż 25 proc.

Ryzyko kursowe wydawało się niewielkie. Wahania lira do głównych walut Europy jeszcze w 1979 r. ograniczono do 6 proc. w ramach Europejskiego Systemu Walutowego. We wrześniu 1992 r. wspólnotowy mechanizm kursowy załamał się jednak pod ciężarem ataku spekulacyjnego na funta i problemów budżetowych wielu krajów, z Włochami na czele. Lir gwałtownie osłabł do franka i marki. Klienci, którym sprzedano wizję bezpiecznej pożyczki w obcej walucie, znaleźli się w pułapce.

„Megastabilna waluta”

Tymczasem gdy tylko w krajach Europy Środkowo-Wschodniej zaistniały zbliżone warunki makroekonomiczne (wejście państw regionu do UE plus duża różnica wysokości stóp procentowych, a także umocnienie lokalnych walut do franka, dolara oraz euro), banki gremialnie ruszyły z ofertą kredytów walutowych – jak gdyby chciały przećwiczyć włoski scenariusz na innym podwórku. Momentem przełomowym zdaje się marzec 2005 r. Anemiczna do tej pory dynamika wzrostu liczby udzielanych kredytów walutowych nagle wystrzeliła w Polsce z kwartału na kwartał o jakieś 10 punktów procentowych. I analogicznie – w niemal takim samym tempie skurczyła się liczba udzielanych pożyczek złotówkowych. Zbieżność tak duża, że aż nasuwają się podejrzenia o rynkową zmowę, ale można wytłumaczyć to również danymi NBP.

W 2005 r. pożyczenie 250 tys. zł na 30 lat wiązało się z zawarciem umowy oprocentowanej na 5,3 proc. w skali roku – w przypadku kredytu złotówkowego. Przy umowie frankowej oprocentowanie spadało do 1,8 proc. rocznie. Był to więc wybór między ratą w wysokości 1430 a 930 zł miesięcznie, często zresztą czysto hipotetyczny, bo przy tak dużej różnicy wysokości stóp procentowych wielu klientów już podczas pierwszej wizyty w banku dowiadywało się, że mogą pożyczyć na mieszkanie jedynie „we frankach”.

Po latach, zeznając przed sądem w sprawach o unieważnienie umów walutowych, pracownicy banków opowiadali, jak celowo zawyżali zdolność kredytową klientów we franku, przyjmując za podstawę do jej obliczenia średni kurs tej waluty w NBP – a nie wyższy kurs jej zakupu. Dlaczego? Bo za sprzedany kredyt frankowy bank dawał im znacznie wyższą premię niż za złotówkowy.

Nasz bohater pamięta, jak sam próbował zadłużyć się najpierw w złotym. Wizyta w prowadzącym jego rachunek oddziale Pekao S.A. latem 2006 r. skończyła się jednak rozczarowaniem: bank gotów był dać mu w złotówkach o 40 proc. mniej, niż potrzebował. Upatrzone mieszkanie ktoś w każdej chwili mógł sprzątnąć mu sprzed nosa, bo popyt był wtedy tak duży, iż na pniu sprzedawały się nawet inwestycje na etapie przysłowiowej „dziury w ziemi”. Pod presją okoliczności postanowił więc sprawdzić ofertę frankową, którą polecali znajomi – i rzeczywiście, w GE Money Banku zgodę na kredyt, do tego w kwocie wystarczającej na sfinansowanie planowanej inwestycji, dostał właściwie od ręki. Pierwsza z 360 rat opiewała na nieco ponad 1,9 tys. zł. Była to niespełna jedna czwarta jego ówczesnej pensji.

Zadłużeni w złotówkach mogą liczyć na wakacje kredytowe, ale polscy frankowicze są tego prawa pozbawieni. Jednocześnie wielu z nich ma miesięczną ratę już dwukrotnie wyższą od początkowej.

Pracownica w banku ze zdziwieniem przyjęła prośbę o przeliczenie raty przy założeniu, że kurs franka wzrośnie o 300 proc. Wprowadzona kilka miesięcy wcześniej rekomendacja kazała jej wszak pokazać klientom scenariusz zakładający wzrost jedynie o 20 proc. „Zresztą to i tak takie dmuchanie na zimne. Frank to megastabilna waluta” – podkreślała.

Dwa lata później upadł bank Lehman Brothers. Z raty nieco poniżej 2 tys. zł nagle zrobiło się 2,2 tys. zł. W styczniu 2009 r. – już 2,4 tys. A gdy 15 stycznia 2015 r. szwajcarski bank centralny przestał bronić franka przed dalszym umocnieniem (wcześniejszy atak Rosji na Krym i wschód Ukrainy zwiększył zapotrzebowanie na bezpieczne waluty), kurs wybił chwilowo aż do 5,19 zł i ostatecznie ustabilizował się w okolicach 4,31 zł.

Pracownica banku w pewnym sensie mówiła prawdę. Frank to przewidywalna waluta, bo za każdym razem, gdy na świecie dzieje się źle, natychmiast umacnia się do innych. W ten sposób staje się jednak pułapką dla każdego, kto chciałby się w nim zadłużyć, jednocześnie zarabiając w innej walucie. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi pożyczka na długi czas.

Biała księga

Gdy w 2007 r. polski rynek bankowy bił rekord blisko 200 tys. udzielonych kredytów walutowych, kurs franka do złotego już od kilku lat zmierzał konsekwentnie w stronę 2 zł. Rok później, 31 lipca 2008 r. zjechał nawet do 1,95 zł. Wprawdzie na chwilę, ale nie przeszkodziło to popularnym ekonomistom twierdzić, że wkrótce na tabeli kursowej klienci zobaczą helwecką walutę za mniej niż 1 zł. Miast paść na deski, frank znokautował jednak kilkaset tysięcy polskich kredytobiorców. Banki umyły ręce, zapewniając, że należycie informowały o ryzyku.

Czy na pewno? W połowie pierwszej dekady XXI w. polski złoty jako pieniądz w pełni wymienialny miał zbyt krótką, ledwie sześcioletnią historię kursową, by wyczytać z niej coś więcej niż szczęście debiutanta. Bardziej przydatne byłyby historyczne kursy pokazujące np. relację franka do dolara amerykańskiego. Gdyby w 2006 i 2007 r. polska opinia publiczna mogła zapoznać się z wykresem, który pokazywał, że w ciągu poprzednich 30 lat dolar kilka razy tracił do franka nawet po 30-40 proc., krajowy rynek kredytów walutowych nie przeżyłby najpierw takiej hossy, a potem równie głębokiego załamania.

Zawiedli też polscy politycy, nierzadko ci sami, którzy dziś odsyłają frankowiczów do sądów. Właściwie żaden z nich nie zauważył w porę zagrożeń. W „Białej księdze kredytów frankowych w Polsce” Związek Banków Polskich zebrał w 2015 r. najważniejsze dokumenty i fakty związane z upowszechnieniem takich pożyczek nad Wisłą. Celem księgi jest odsunięcie odpowiedzialności od branży poprzez udowodnienie, że to same banki broniły się przed kredytowaniem Polaków w obcych walutach, a jeśli im to nie wyszło, to głównie z powodu presji politycznej. I trzeba przyznać, że w jednym punkcie ta argumentacja trzyma się faktów.

„Klub parlamentarny PiS z niepokojem przyjmuje zalecenia Komisji Nadzoru Bankowego (...) wprowadzające ograniczenia w dostępności do kredytów walutowych, których głównym skutkiem będzie zmniejszenie możliwości nabywania przez obywateli (szczególnie przez młode osoby) własnych mieszkań” – cytują z lubością bankierzy stanowisko posłów partii rządzącej z lipca 2006 r.

Katastrofa, jaką stały się w Polsce kredyty frankowe, ma wielu ojców. Pierwszeństwo, jakie klientom próbują w niej oddać banki, instytucje państwa i wreszcie politycy, jest doprawdy fałszywą kurtuazją.

©℗ MAREK RABIJ

Dziuplę wynajmę drogo

SZYMON ŻYŚKO

Minimalna powierzchnia miejsca parkingowego to w Polsce 12,5 metra kwadratowego, przestrzeni w schronisku dla 30-kilogramowego psa – osiem. Jak te normy mają się do 7-metrowych kawalerek, które reklamują pod wynajem właściciele?

W ogłoszeniach można przeczytać, że lokale dysponują w pełni wyposażoną kuchnią, sypialnią i łazienką. Że to „luksusowe studio" albo „loft w centrum". Nowocześnie brzmiące nazwy osładzają gorzką rzeczywistość, wypierając znienawidzone przedwojenne „garsoniery w suterenie".

Na jedno z takich ogłoszeń odpowiadam. Właściciel informuje mnie, że powinienem się spieszyć, bo chętnych jest wielu. Twierdzi, że w ciągu godziny od umieszczenia oferty miał ponad 30 telefonów. – Kto pierwszy, ten lepszy – podkreśla.

Casting na lokatora

Krakowski Salwator, dzielnica miła, znana z przedwojennych kamienic i drogich willi – ja trafiam do jednej z tych pierwszych. Na wewnętrznym podwórku w drzwiach wita mnie mężczyzna w średnim wieku. Bez zbędnej kurtuazji oprowadza po 10-metrowym mieszkaniu. W centrum mikroskopijny pokój. Kuchnia? Jedna szafka podzielona na część ze zlewem i płytą grzewczą. Sypialnia? Materac na dobudowanej nad kuchnią antresoli. O tym, że są to osobne przestrzenie użytkowe, informuje tylko zmieniający się na ścianach kolor. Dostrzegam jednak drzwi i z zadowoleniem stwierdzam, że łazienka jest oddzielona. Po wejściu okazuje się jednak, że w środku są jeszcze jedne drzwi – na klucz. – Dostęp do niej ma również najemca z mieszkania obok. Można się dogadać po sąsiedzku – informuje wynajmujący.

Wszystkie meble są nowe, typowy wystrój z Ikei. Cena: 2100 zł + media. Kaucja w wysokości podwójnego czynszu. Ogrzewanie na prąd. Nie otrzymuję zgody na zrobienie zdjęć. – Zanim pan je obejrzy i się zastanowi, mieszkanie będzie wynajęte – zapewnia i wyciąga umowę, licząc, że podpiszemy ją od razu. Odmawiam.

Kilka dni później w centrum oglądam inne mieszkanie „o podwyższonym standardzie w stylu loft". Pośrednik deklaruje w ofercie 25 metrów kwadratowych, co wypełnia ustawowy wymóg minimalnego metrażu mieszkania (i dlatego te mniejsze klitki często wynajmowane są jako lokale usługowe). Decyduję się zobaczyć lokal ze względu na zdjęcia umieszczone w ogłoszeniu. Ich perspektywa jest nienaturalna, trudno sobie zwizualizować pełną przestrzeń, tak jakby chciano coś ukryć.

Na pierwszym piętrze czeka na mnie przedstawicielka biura nieruchomości. Jej zdaniem mam szczęście, bo złapałem ją w ostatniej chwili – jutro zapadnie decyzja. Umowy nie każe mi podpisywać od razu, właściciel zastrzega sobie wybór w ramach castingu. Kluczowa będzie opinia pośredniczki, więc dobrze, jeśli udowodnię swoją wypłacalność, przedstawiając np. kopię umowy o pracę lub wyciąg z konta z regularnymi wpływami. Jest to wymaganie niezgodne z prawem, więc oczywiście obowiązuje nas tylko „umowa dżentelmeńska", ale wyrażenie na nią zgody zwiększa moje szanse.

Rozglądam się i po chwili rozumiem już, czego brakowało na zdjęciach. W rzeczywistości mieszkanie jest bardzo wysokie, a antresola imituje dodatkowe piętro. Tak powstało 25 metrów na dwóch poziomach mikroskopijnego lokalu.

Część sypialniano-biurowa nie posiada okna, ale jest klimatyzacja. Salon z aneksem kuchennym dość przytulny, upakowany wszystkimi dużymi sprzętami AGD. Łazienka ciasna, osobna i należąca wyłącznie do tego mieszkania. Odarta z tynku ceglasta ściana ma tworzyć klimat nowojorskiego loftu, ale czuć przez nią wdzierający się chłód i wilgoć. Cena: 2400 zł + prąd. Kaucja w wysokości jednomiesięcznego czynszu, tyle samo żąda biuro za pośrednictwo. Na start trzeba więc mieć 7200 zł.

Przy wyjściu zaczepia mnie niedoszły sąsiad. – Zainteresowanie może jest, ale nikt tu nie zagrzał miejsca dłużej niż 2 miesiące – ostrzega.

Wolność na kilku metrach

Jak się żyje na siedmiu metrach kwadratowych? Ani godnie, ani wygodnie. To, co miało okazać się wymarzonym pójściem na swoje, staje się po początkowym zachwycie klaustrofobiczną męką – okresem przejściowym w oczekiwaniu na znalezienie lepszej oferty.

Tak jest w przypadku Marty, która w tym roku rozstała się z partnerem. Nie stać było jej na utrzymanie dotychczasowego dwupokojowego mieszkania, a kawalerki szukała przez cztery miesiące. Była już gotowa wynająć pokój, choć w wieku 35 lat powrót do studenckiego życia uważała za porażkę. W ostatniej chwili udało jej się znaleźć samodzielne, 14-metrowe mieszkanie. – Po kilku miesiącach wiem, że to był błąd. Czuję, że się duszę. Jem, śpię i pracuję na jednej kanapie. Latem było znośnie, bo każdą wolną chwilę wykorzystywałam na ucieczki z tego „mieszkania". Spędzam jak najwięcej czasu poza kawalerką – zwierza się.

Marta dawniej lubiła gotować, ale z tym już koniec. Zapachem domowych obiadów przesiąkały wszystkie ubra-

Patrycja w kawalerce w Warszawie. 2 września 2022 r.

nia, więc teraz jada głównie odgrzewane w kuchence mikrofalowej gotowe dania. Pranie robi tylko w słoneczną pogodę, żeby móc je suszyć w oknie. Zimą będzie korzystała z pralni samoobsługowej, choć musi się przełamać, bo na razie nie wyobraża sobie jazdy komunikacją miejską z workiem brudnej bielizny.

Mikrokawalerka okazała się dla niej ostatecznym powodem, by zakończyć przeciągającą się po pandemii pracę zdalną. Wcześniej chętnie korzystała z formy hybrydowej, ale obecnie to dla niej koszmar. Tu jest jak w celi. W powrocie do biura szuka też oszczędności. – Mam biurko, internet, ogrzewanie, nie płacę za prąd, mogę wypić dobrą kawę i nie patrzeć wciąż w tę samą ścianę – podkreśla.

Marta nie jest wyjątkiem. Inflacja i problemy mieszkaniowe odwracają trend, który miał być nową rzeczywistością na rynku pracy. – Kiedy kończyłam związek, uważałam pomysł dalszego wspólnego mieszkania za patologiczny. Teraz myślę, że to nie było głupie i mogliśmy podzielić się pokojami. Sprawdzone miejsce, denerwujący, ale znany współlokator, czyli „ex" – mówi całkiem poważnie Marta. I dodaje: – Mikrokawalerka może być kryzysowym mieszkaniem, ale nie docelowym. Nawet dla singielki.

Pod koniec września „Gazeta Wyborcza" przypomniała artykuł z 2020 r., którego bohaterką była Lilka Charniuk, popularna na YouTubie dietetyczka. W wideo zatytułowanym „Jak urządzić 9m mieszkanie" opowiadała o pierwszych dniach w mikrokawalerce. Tym razem spotkała ją jednak fala krytyki ze strony internautów. Odgrzany materiał został przedstawiony w zupełnie nowym kontekście – obecnego kryzysu mieszkaniowego. Wywołana do tablicy Chraniuk postanowiła po ponad dwóch latach nagrać kolejny film ze słowami wyjaśnienia.

„Trafiłam tam, bo nie miałam pieniędzy na wynajem normalnej, ludzkiej kawalerki" – wyjaśnia. Głównym powodem wynajęcia lokum było zakończenie toksycznego związku: mikrokawalerka była jedynym, na co mogła sobie pozwolić w tamtej chwili. „Poczułam się bardziej wolna na tych 9 m kw. niż kiedykolwiek. Moja historia jest o tym, jak człowiek może się dostosować (...), a nie o tym, że reklamuję patodeweloperkę. Myślicie, że miałam wybór i się cieszyłam tymi 9 metrami?" – Chraniuk aktualnie wynajmuje większe mieszkanie, a patodeweloperstwo nazywa okrucieństwem.

Na ciekawy eksperyment zdecydował się Patryk Śmiarowski, 23-letni student Akademii Fotografii w Warszawie. W ramach pracy dyplomowej postanowił fotografować mikrokawalerki wraz z ich lokatorami. Tak powstał projekt dokumentujący polską patodeweloperkę. – Wiele osób, które się do mnie odezwało, rezygnowało potem z udziału, nie podając powodu albo mówiąc, że „landlord się nie zgadza na sesję" – mówi młody fotograf. Landlordami nazywa się właśnie właścicieli mieszkań, którzy żyją z najmu. Celem projektu Patryka jest z jednej strony wyśmianie rzeczywistości, na którą nie ma się wpływu, a z drugiej wzbudzenie gniewu i sprzeciwu społecznego wobec takich praktyk.

Dotychczas opublikowane zdjęcia wzbudziły zainteresowanie internautów, zwłaszcza urodzonych po 1990 r. – to pokolenie często skazywane na życie z rodzicami. Krytykę projektu najczęściej słychać od tzw. baby boomersów, czyli ludzi urodzonych w czasach wyżu demograficznego z przełomu lat 70. i 80.

– Wydaje mi się, że młodsze generacje spotkały się już z kulturą tzw. zapierdolu i widzą, że poza wypaleniem i depresją dużo z niej nie mają. Alternatywy nie ma, stąd frustracja rozładowywana w różny sposób. I chyba o to chodzi w moim projekcie: to twórczy sposób wyładowania się i próba zamieszania w kotle dyskusji społecznej – tłumaczy Patryk Śmiarowski, którego prace niedługo będzie można zobaczyć na wystawie. On sam podkreśla, że czuje się uprzywilejowany, bo jako jedynak może liczyć na dom w spadku po rodzicach.

Polskie kawalerki nie do życia

Postrzeganie mieszkania jako przestrzeni do życia zmieniło się w pandemii. Ludzie zamknięci w czterech ścianach podczas pierwszej fali COVID-19 dostrzegli braki, na jakie się godzili wcześniej. Nie rekompensowało ich już otoczenie, wyjścia do kawiarni czy na koncerty, bo chwilowo nie mogli korzystać z uroków miejskiego życia. To spowodowało pierwsze pęknięcie. Takiego zdania jest Magdalena Milert, urbanistka prowadząca blog „Pieing" o architekturze i gospodarce przestrzennej. – Pandemia nam uświadomiła, w jak złych warunkach żyjemy, jak bardzo nam one przeszkadzają. Według WHO polski standard kawalerki, czyli jednego pokoju jako przestrzeni całego funkcjonowania, jest niedopuszczalny i wpływa negatywnie na psychikę. Aby żyć, potrzebujemy osobnego miejsca do spania, pracy, jedzenia – mówi Milert.

Konsekwencje pandemii widać również gdzie indziej. Na rynek trafiło wiele mieszkań, które funkcjonowały ↦

↦ dotychczas w ramach najmu krótkoterminowego. Spora część właścicieli wystraszyła się wizji kolejnych lockdownów i stwierdziła, że pewniejszym zarobkiem będzie najem wielomiesięczny. Tymczasem mieszkania te co do zasady były aranżowane pod turystę lub pracownika sezonowego, który nie myśli o pozostaniu na dłużej. Nieprzystosowanie przestrzeni trzeba było jakoś ograć marketingowo, kreując popyt. Tak narodziły się modne studia i lofty. To z kolei ośmieliło właścicieli większych lokali do ich podziału na mniejsze, aby na tym zarobić.

– Dla mnie patodeweloperką są wszelkie przejawy zakłamywania, czym jest i czym powinno być mieszkanie. Uwierzyliśmy patodeweloperom, że takich właśnie mikroprzestrzeni chcemy, a to nieprawda – dodaje Magdalena Milert i przypomina, że to lokum powinno odpowiadać na nasze potrzeby, a nie my dostosowywać się do mieszkania.

Zdaniem ekspertki powinniśmy w Polsce lepiej dysponować zasobami, które już posiadamy. – Mamy największą liczbę osób w Europie na metr kwadratowy powierzchni mieszkalnej. Mimo to 11 proc. mieszkań to pustostany. Bogatsi ludzie kupują je jako lokatę, by zarobić albo nie stracić. To zmniejsza dostępność mieszkań – wyjaśnia Milert.

Badania z 2018 r. pokazały, że niemal 40 proc. Polaków znajdowało się w tzw. luce czynszowej. Nie stać ich na kredyt, a są zbyt „bogaci", by skorzystać z lokalu komunalnego i innych instrumentów wsparcia najmu. Nie ma aktualnych danych, ale zdaniem Magdaleny Milert inflacja mogła wpłynąć na wzrost tej luki do nawet 60 proc. społeczeństwa.

Według autorki bloga „Pieing" chęć posiadania mieszkania na własność jest poniekąd reliktem PRL-u. Dawniej trudno było je kupić, a posiadanie go powodowało osiągnięcie wyższego statusu społecznego. Transformacja gospodarcza i ustrojowa sprawiły, że ci, którzy mogli, nabyli prawa do zajmowanych lokali, a polskie państwo zrezygnowało z większego wpływu na mieszkalnictwo i dziś nie dysponuje odpowiednią bazą, którą można by uruchomić. Najlepszym dowodem jest kompromitacja wszystkich programów taniego mieszkalnictwa, jakimi mamił Polaków w ostatnich latach PiS. W efekcie tracą najsłabsi, wynajmując lokale za krocie lub spłacając koszmarnie drogie kredyty. – Na Zachodzie tymczasem to najem cieszy się większym zainteresowaniem, gwarantuje też większą stabilność. Umowy są podpisywane długoterminowo. Np. we Włoszech 10-letnia umowa bywa standardem. W Polsce wciąż nie ma odpowiedniej ochrony praw lokatora. Nie mamy społecznego zaufania do władzy, wynajmujących, spółdzielni. Dlatego społeczne agencje najmu, będące pomostem między tym co prywatne i publiczne, nie cieszą się dużym zainteresowaniem. A szkoda, bo są one gwarantem bezpieczeństwa – tłumaczy Magdalena Milert.

I dodaje, że potrzebujemy nowych instrumentów, które będą ułatwiać nabywanie mieszkań oraz stymulować ich dostępność. – Takim narzędziem mógłby się okazać m.in. podatek katastralny, który zniechęcałby do utrzymywania pustostanów – mówi urbanistka. Jej zdaniem dobrym pomysłem na ograniczenie nadmiernego popytu mógłby być również podatek od liczby posiadanych mieszkań, który rozróżniałby lokum na własny użytek mieszkalny i na osiąganie przychodów z najmu. Rozwój partnerstwa pomiędzy samorządami a sektorem prywatnym to również kierunek wart rozważenia. Wzorem mogą być też niektóre kraje Zachodu, gdzie obywatele często wynajmują mieszkania z licznych zasobów własnych gmin, co z kolei wpływa łagodząco na ceny na rynku.

Od góry:
Ilona na co dzień mieszka sama w kawalerce w Warszawie. 20 maja 2022 r.
Natalia w kawalerce w Krakowie. 30 kwietnia 2022 r.

Autor zdjęć **PATRYK ŚMIAROWSKI** jest studentem Akademii Fotografii. W ramach swojej pracy dyplomowej fotografuje się wspólnie z lokatorami mikrokawalerek.

Prawo i towar

Trudno przewidzieć, co nas czeka w perspektywie kilku lat. Kumulacja negatywnych zjawisk rynkowych i społecznych sprawiła, że trwa powrót do miast i nowa fala migracji zarobkowej. Dzieje się to również kosztem zagrożenia wyludnieniem Polski wiejskiej i powiatowej. Czy to szansa na odblokowanie rynku w tych regionach? Może, ale raczej nie spodziewajmy się „mieszkań po 1 euro" na terenach poza miastami, wzorem południowoeuropejskich państw.

Niezależnie od tego, czy mieszkanie jest dla nas bardziej prawem, czy jednak towarem, wszyscy uznajemy, że jest ono przede wszystkim podstawową potrzebą, bez której zaspokojenia nie da się funkcjonować.

– Rządzących proszę o jedno, by chwycili byka za rogi – podsumowuje Magdalena Milert. – Te problemy same się nie rozwiążą. Nie jesteśmy skazani na patodeweloperkę, ale możemy świadomie kreować standardy. © SZYMON ŻYŚKO

TOMASZ

Stawiszyński: *Spiskowa redukcja*

Istnieje pewna przypadłość, która od dawna nęka polską zbiorową *psyche*, a zatem nas wszystkich, społeczeństwo (wraz z jego elitami, oczywiście, a może nawet w głównej mierze z elitami). Jak ją precyzyjnie określić? Może tak: intensywny dualizm, przybierający zwłaszcza w ostatniej dekadzie rozmiary bez mała manichejskie.

Zna to dobrze każdy, kto obserwuje dyskusje toczone zarówno w radiowych czy telewizyjnych studiach, jak i w mediach społecznościowych (które stały się dzisiaj przecież – nie ma co ukrywać – odpowiednikiem starożytnej agory). Nikt nikogo nie słucha, a dialog należy do rzadkości. Obie zwaśnione strony kultywują głębokie przekonanie o własnej słuszności oraz głupocie i podłości moralnej strony przeciwnej. Wszystko, co mówią jedni, drudzy deprecjonują, panuje bowiem pogląd, że racja jest wyłącznie w „naszym" obozie, nigdy zaś, choćby ułamkowo, w obozie „tamtych". Autorytety i idole stronnictwa A są antybohaterami w stronnictwie B, i odwrotnie. Do tego bazowego zestawu symptomów doszedł w ostatnich latach jeszcze jeden, który rozpowszechnia się z niepokojącą siłą. Otóż każda frakcja rozporządza stosownymi teoriami spiskowymi, które traktuje niczym dosłowną prawdę o świecie, zarazem zaśmiewając się w głos z analogicznych teorii spiskowych wyznawanych przez antagonistów.

Oczywiście jest to nieledwie drobny fragment krajobrazu, opisanie pełnego spektrum wymagałoby objętości zdecydowanie przekraczającej tę, którą tu dysponuję. Warto jednak dodać, że na każdą próbę wskazania jakichkolwiek wspólnych elementów w ich *modus operandi* oba bloki reagują od razu alergicznie. Niezależnie od tego, jak bardzo ktoś na te podobieństwa wskazujący będzie się zarzekać, że wcale nie głosi tzw. symetryzmu – to znaczy poglądu, że w gruncie rzeczy pomiędzy skłóconymi stronnictwami nie ma żadnych istotnych ideowych czy moralnych różnic – natychmiast zostanie w poczet owych przeklętych „symetrystów" zaliczony. Ma to oczywiście swoją funkcję. Klasie politycznej pozwala sprawnie i skutecznie zrzekać się odpowiedzialności za wszelkie własne błędy i uchybienia, pozostałym natomiast uczestnikom światopoglądowej wojny – nie widzieć własnych negatywności i ciemnych stron, lecz projektować je w całości na do reszty zdemonizowanych „innych".

Rosnąca popularność teorii spiskowych po obu stronach politycznej barykady doskonale ilustruje to zjawisko. Poza wszystkimi znanymi swoimi funkcjami – niwelowaniem niepewności, tłumaczeniem niewytłumaczalnego, słowem: porządkowaniem chaosu – teorie spiskowe pomagają zredukować nieuchronne przy tak spolaryzowanej percepcji dysonanse. Choć bowiem nikt już nikogo nie słucha i niczego nie czyta, od czasu do czasu każdy konfrontuje się z tym, że jego ideowi – a to w polskich warunkach znaczy dzisiaj: egzystencjalni – przeciwnicy robią coś, co w tak oczywisty sposób falsyfikuje ich jednostronnie negatywny obraz, że wywołuje poczucie jakiegoś trudnego do wytrzymania poznawczego dyskomfortu. Np. proponują sensowne rozwiązanie jakiegoś problemu, wykazują się odwagą albo w sytuacji kryzysowej stają na wysokości zadania, co przecież jawnie kłóci się z *emploi* ludzi wyłącznie głupich, złych i zdeprawowanych.

I właśnie wówczas, jako środek niwelujący ten poznawczy dyskomfort, świetnie sprawdzają się teorie spiskowe, pozwalają bowiem zgrabnie wytłumaczyć, wydawałoby się, racjonalne czy moralnie właściwe zachowania do cna przecież irracjonalnych i niemoralnych przeciwników. Podpowiadają mianowicie uwodzicielską interpretację, że tak naprawdę są to działania pozorne, mające odwrócić uwagę od tego, co się faktycznie robi, kim się faktycznie jest i w czyim interesie faktycznie się działa. Proste? A jakie przekonujące!

Intensywność politycznego sporu trawiącego polską sferę publiczną w połączeniu z apokaliptycznym kontekstem otaczającej rzeczywistości sprawiają, że owa, nazwijmy ją, „spiskowa redukcja" staje się coraz powszechniejsza. W efekcie w naszej zbiorowej wyobraźni prowadzą dziś ze sobą walkę dwa fantomy. „Doskonale zakonspirowany agent niemiecki" walczy z „doskonale zakonspirowanym agentem rosyjskim", obaj zaś niepodzielnie władają nadwiślańską polityką. A rozpracowywanie ich machinacji oraz mimikr pochłania obu stronom tyle energii, że na niewiele innego już starcza sił. Nawiasem mówiąc – spróbujmy posmakować spiskowych uroków – byłoby to wszystko chyba na rękę jakimś faktycznym agentom czy raczej ich potężnym mocodawcom, jeśli zależałoby im na skutecznym porażeniu w Polsce resztek wzajemnego zaufania, które jest wszak zasadniczym społecznym spoiwem, nieprawdaż?

Jak z tego zaklętego kręgu wyjść? Nie po to – dodajmy – żeby w duchu jakiegoś „symetryzmu" zrównać własne pozycje i hierarchie z pozycjami i hierarchiami oponenta, ale po to, żeby realistycznie, bez fantazmatycznych zasłon, spojrzeć i na siebie, i na niego? Szczerze powiedziawszy, nie mam przekonania, że jest to jeszcze możliwe. Na razie eskalacja i polaryzacja postępują, a wzajemne oskarżenia stają się coraz bardziej odrealnione. ©

POŻEGNANIE

17 października 2022 r. odeszła do Pana

Ś.†P.

Teresa Wasiak

Jej dobroć, wrażliwość, serdeczność
zostaną w naszej pamięci

Głębokie wyrazy współczucia dla Bliskich

Warszawski Klub „Tygodnika Powszechnego"

Ks. Tomáš Halík odbiera Nagrodę „In Veritate" z rąk Michała Góry, prezesa zarządu Fundacji im. bp. Pieronka podczas zeszłorocznej Międzynarodwej Konferencji „Chrześcijanie Europy wobec kryzysów", Kraków 2021 r.

JAK WOJNA ZMIENIA EUROPĘ

MICHAŁ GÓRA, prezes zarządu Fundacji im. bp. Tadeusza Pieronka: Na razie Unia Europejska jest głównie siłą geoekonomiczną – czy powinna zmienić się bardziej w siłę geopolityczną, a co zatem idzie, także militarną?

ARTUR SPORNIAK: Rok temu Międzynarodowa Konferencja z cyklu „Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej" zaczęła się dość dramatycznie, bo projekcją tylko kilku minut niedokończonego filmu o biskupie Pieronku. Jego powstanie skutecznie storpedował abp Marek Jędraszewski. Czy w tym roku relacje organizatora konferencji – Fundacji im. bp. Tadeusza Pieronka – z metropolitą się poprawiły?

MICHAŁ GÓRA: W zeszłym roku rzeczywiście ta sytuacja wyglądała niepokojąco, ponieważ na miesiąc przed konferencją arcybiskup nakazał Uniwersytetowi Papieskiemu Jana Pawła II – od 20 lat współorganizatorowi konferencji – wycofanie się z tego projektu i doprowadził do wstrzymania produkcji filmu. Żaden też przedstawiciel kurii nie był delegowany do odprawienia organizowanej przez nas co roku mszy – zwykle z bardzo czcigodnymi gośćmi z zagranicy. Ale te działania przyniosły też pozytywny skutek, bo oczyściły sytuację. Miejscowy hierarcha nas ignoruje, a my dajemy sobie radę bez kościelnego patronatu.

Żadnych kontaktów nie będzie, mimo że gośćmi konferencji w dniach 21-22 października będą wiceprzewodniczący Rady Konferencji Episkopatów Europy bp Ladislav Német i maronicki arcybiskup Trypolisu Youssef Antoine Soueif?

Żadnej reakcji do tej pory nie było. Choć jako organizatorzy dopełniliśmy wynikających z „eklezjalnej dyplomacji" formalności. Wiceprezes fundacji Rafał Budnik wielokrotnie kontaktował się

z krakowską kurią w tej sprawie, informował o składzie gości konferencyjnych – także o tym, że do Krakowa przyjedzie zwierzchnik Prawosławnego Kościoła Ukrainy metropolita kijowski Epifaniusz.

Który otrzymuje w tym roku Nagrodę im. bp. Tadeusza Pieronka.
Po śmierci pomysłodawcy konferencji w grudniu 2018 r. jego współpracownicy powołali Fundację im. Tadeusza Pieronka i nagrodę jego imienia. Od czterech lat wręczamy ją co roku jednej lub dwóm osobom, które wskazuje kapituła nagrody pod przewodnictwem posła do Parlamentu Europejskiego Jana Olbrychta. Statuetka In Veritate (takie było biskupie zawołanie Pieronka) wędruje do jednej lub dwóch osób, które w ostatnim czasie mogły wykazać się jakimś wybitnym osiągnięciem w łączeniu wartości chrześcijańskich i europejskich w życiu publicznym. To wydarzenie, towarzyszące konferencji, w tym roku będzie miało godną oprawę – odbędzie się w Galerii Sztuki Polskiej XIX i XX w. w Sukiennicach.

Rozumiem, że metropolita Epifaniusz otrzymuje nagrodę w imieniu całej Ukrainy, która broniąc się przed rosyjską agresji, broni jednocześnie Europy.
Tak, ale rzecz jasna również broni tego, co w chrześcijaństwie bezkompromisowe. Epifaniusz uosabia obronę prawdy o prawie ludzi do życia w wolności. W ogóle tegoroczny temat konferencji z oczywistych względów odwołuje się do sytuacji w Ukrainie – będziemy się zastanawiać, jak wojna wpłynie na Europę.

Nagrodę im. Tadeusza Pieronka otrzymuje też zastępca rzecznika praw obywatelskich Hanna Machińska. Jak kapituła nagrody uzasadnia tę decyzję?
Pani dr Hanna Machińska jest osobą znaną z zaangażowania w obronę uchodźców, którzy przez granicę z Białorusią próbują dostać się do Polski. Ona pomaga bez oglądania się na to, że ci ludzie są zinstrumentalizowani politycznie przez reżim Łukaszenki, a ich sytuacja prawna w Polsce jest trudna.

W zeszłym roku konferencję zdominowało pesymistyczne pytanie: czy Unia Europejska przetrwa? Na razie wojna pozytywnie weryfikuje siłę i spójność UE, ale czy zastanawianie się, jaka będzie Unia po jej zakończeniu, nie jest przedwczesne?
Przyświeca nam co roku w zasadzie jeden cel: staramy się mówić o przyszłości Europy – diagnozować sytuację, wskazywać na niebezpieczeństwa i zastanawiać się nad najlepszymi odpowiedziami na nie. Tytuł tegorocznej konferencji „Wojna w Europie – Jaka będzie Unia Europejska?" także stawia pytanie o przyszłość. Sama wojna w Ukrainie radykalnie wywołuje nas do odpowiedzi, w jakim kierunku Unia Europejska powinna się zmieniać. Na razie jest głównie siłą geoekonomiczną – czy powinna zmienić się bardziej w siłę geopolityczną, a co za tym idzie, w siłę militarną? Instytucje europejskie i decydenci muszą na takie pytania szukać odpowiedzi. Zrobi to zapewne podczas konferencji przewodnicząca Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola.

Tematy sesji próbują diagnozować sytuację.
A ta stawia nas wobec agresywnych działań przychodzących z zewnątrz Unii, jak i z jej obszaru. Będziemy się zastanawiać nad sferą komunikacji jako polem walki. Wiemy, że populistyczni krytycy Unii często powołują się na argumenty, które w istocie wynikają z dezinformacji. Między innymi dlatego zaprosiliśmy dr Martynę Bildziukiewicz, która kieruje East StratCom Task Force – niedawno powołaną unijną instytucją zajmującą się identyfikowaniem i przeciwdziałaniem dezinformacji zewnętrznej, zwłaszcza rosyjskiej.

Zajmiemy się także pytaniem, czy rozszerzać UE i jak procesy migracyjne zmieniają Europę, bo w wyniku wojny mamy do czynienia z kolejną poważną falą migracyjną – to są przede wszystkim uchodźcy wojenni, ale przecież nie wygasła migracja zewnętrzna z innych kierunków, która się prędko nie skończy. Co będzie się działo z tożsamością kulturową Europy? Czy nastąpi i w jakim stopniu inkulturacja uchodźców zewnętrznych?

Nie chcę oczywiście przeceniać roli takiej konferencji – to bardziej platforma dyskusji niż miejsce wypracowywania gotowych odpowiedzi. Stąd zależy nam na obecności polityków europejskich.

A jaka jest rola Kościołów?
Na obecności ich przedstawicieli także nam zależy, choć czasem mam wrażenie, że to bardziej świeccy starają się o to, by Kościoły nie wypadły z dyskursu publicznego.

Stąd sesja „Postawy Kościołów wobec agresji Rosji przeciw Ukrainie"?
Tak.

Katolikom właściwie od początku wojny trudno jest powiedzieć, jakie jest stanowisko papieża.
Z tym tematem będzie musiał się chyba zmierzyć jezuita, ks. prof. Marek Blaza z warszawskiego Bobolanum, choć jest przede wszystkim specjalistą od ukraińskiego prawosławia i Kościoła grecko-katolickiego. Liczę, że dyskusję na ten temat podejmą pozostali uczestnicy konferencji.
Na pewno to bardzo interesujące, co będą mieli do powiedzenia zaproszeni przedstawiciele ukraińskich Kościołów greckokatolickiego i prawosławnego.

Czy próbowaliście zapraszać przedstawicieli Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego?
Nie. Nasi partnerzy i my zakładaliśmy, że nie będziemy tego robić. Być może jest to nasza słabość.

Rozumiem, że byłoby to oddanie głosu komuś, kto oficjalnie wspiera agresję. Ale nie ma też przedstawiciela Polskiego Kościoła Prawosławnego i Konferencji Episkopatu Polski, prawda?
Polski Kościół Prawosławny też przyjmuje dość ambiwalentną postawę w kontekście tej wojny. Do naszego episkopatu zaś wystosowaliśmy szereg zaproszeń. Bezskutecznie. Chyba jeszcze tylko w Polsce jest taki zwyczaj, że biskup z innej diecezji, a nawet biskup pełniący jakieś funkcje w episkopacie, by przyjechać w jakieś miejsce, najpierw pyta o zgodę miejscowego biskupa. Mamy potwierdzone informacje, że metropolita krakowski odwodzi różne osoby od przyjeżdżania na naszą konferencję. ©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

ANTONI WITWICKI / MATERIAŁY PRASOWE

ORGANIZATOR
Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka
Tadeusz Pieronek Foundation
fundacja.pieronek@gmail.com
WSPÓŁPRACA
HONOROWY PATRONAT
Prof. Jacka Majchrowskiego
Prezydenta Miasta Krakowa
Kraków
MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
Rola chrześcijan
w procesie integracji europejskiej

EAST NEWS / ALBUM

SOBÓR PRZEKROCZYŁ GRANICE

Dobrze przygotowany przez Watykan spektakl szybko wymknął się spod kontroli, a aktorzy odmówili gry wedle ustalonego scenariusza. Od inauguracji największego zgromadzenia biskupów minęło 60 lat.

EDWARD AUGUSTYN

Inauguracja Soboru Watykańskiego II. Watykan, 11 października 1962 r.

Była jasna, październikowa noc. Na placu św. Piotra wiwatował wielotysięczny tłum ze świecami i pochodniami. Okna Pałacu Apostolskiego były zamknięte, papież odpoczywał po męczącym dniu. „Dziś powiedziałem już wszystko" – tłumaczył sekretarzowi, ale uległ namowom i wyszedł do zgromadzonych.

„Spójrzcie tam, w górę! Nawet księżyc przyspieszył, by zobaczyć ten spektakl. Wie, że kończymy wielki dzień. Takiego spektaklu nie widziała nawet bazylika św. Piotra, choć liczy cztery wieki. Zachowajmy w sercach wspomnienie tego wieczoru. Gdy wrócicie do domów, do waszych dzieci, przytulcie je i powiedzcie, że to od papieża".

Wygłoszone spontanicznie „Przemówienie pod księżycem" było jednym z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających papieskich wystąpień. Prostota, zrozumienie i czułość nie należały do cech rozpoznawczych Kościoła. Właśnie zaczęło się to zmieniać.

Kosztowny pomysł

Spektakl, o którym mówił Jan XXIII, to otwarty tamtego dnia, 11 października 1962 r., Sobór Watykański II. Nikt się go nie spodziewał. Gdy papież ogłosił kardynałom swój pomysł, w auli bazyliki św. Pawła za Murami zapadła grobowa cisza. „Po co sobór?" – zapytał szeptem jeden z kardynałów. „Żeby jeszcze bardziej wydrenować kasę" – odpowiedział mu inny (wspomina Guido Gusso, majordomus Jana XXIII).

Nikt, włącznie z papieżem, nie wiedział, jak długo ten spektakl potrwa i czym się skończy. Planowano jedną, może dwie sesje, tymczasem z trudem zmieszczono się w czterech (sobór zakończył się 8 grudnia 1965 r.). Ale nikt nie miał wątpliwości, że jest to największe wydarzenie w historii Kościoła (w procesji otwarcia szło 2850 hierarchów) i prawdopodobnie najdroższe: samo przygotowanie bazyliki św. Piotra (budowa trybun, barów, toalet, oświetlenia i nagłośnienia) kosztowało milion dolarów. Do tego trzeba doliczyć pensje personelu oraz koszty przyjazdu i zakwaterowania niemal połowy biskupów, których nie stać było na taki wydatek. Biorąc pod uwagę, że prawie każdemu towarzyszył sekretarz, a czasem i doradca, finansowano pobyt w Rzymie ok. 3 tys. osób.

Nikt też nie podejrzewał, że tak dobrze przygotowany spektakl wymknie się spod kontroli, a aktorzy odmówią gry wedle ustalonego wcześniej scenariusza.

Pierwszy bunt

„Diabeł maczał w tym palce" – zapisał w dzienniku kard. Giuseppe Siri z Genui. W pierwszym dniu obrad, podczas wyborów do komisji roboczych, biskupi odmówili głosowania na listy wskazane przez sekretariat soboru (a w praktyce – przez Święte Oficjum) i poprosili o czas na przygotowanie własnych. Bunt przeciwko przyniesionym w teczkach kandydatom był pierwszym sygnałem, że sobór zamierza mówić własnym głosem. Następnym było przyjęcie do dalszych prac schematu o liturgii, mimo sprzeciwu Świętego Oficjum. Jeszcze kolejnym i najbardziej wymownym – krytyka schematu „Konstytucji o Objawieniu", prezentowanego przez kard. Alberta Ottavianiego, szefa najważniejszej i najpotężniejszej kongregacji.

Siri i Ottaviani byli przywódcami stronnictwa konserwatywnego, strzegącego *status quo* i broniącego niezmienności doktryny. Po przeciwnej stronie stali zwolennicy zmian, którym przewodzili kardynałowie Augustin Bea, szef nowo stworzonego Sekretariatu ds. Jedności Chrześcijan, i Léon-Joseph Suenens z Brukseli.

Zadeklarowani zwolennicy tych frakcji stanowili margines wśród uczestników soboru. Decydujący był głos milczącej większości – ponad 2 tys. biskupów o nieznanych lub nieokreślonych poglądach, których trzeba było przekonać do swych racji. Bazylika św. Piotra stała się areną walk – na argumenty, fortele prawne, retoryczne sztuczki, a nawet impertynencje. ↦

Jak do tego doszło

↦ Wydawało się, że frakcja konserwatywna ma większe szanse na wygraną. Biskupi, wychowani na XIX-wiecznych podręcznikach teologii, bali się, że najdrobniejsza zmiana w doktrynie pociągnie za sobą kolejne, co spowoduje upadek całej budowli. Odkrycia z zakresu biblistyki, patrologii czy historii Kościoła uważali za niebezpieczne nowinki. Byli związani antymodernistyczną przysięgą, którą Pius X nakazał składać wszystkim księżom (zniesioną dopiero w 1967 r.).

Tymczasem już w pierwszych dniach postępowe projekty uzyskiwały 85-90 proc. głosów. Milcząca większość stanęła po stronie zmian.

Z pewnością przyczynił się do tego Jan XXIII, zachęcając do *aggiornamento* – dostosowania nauki Kościoła do realiów współczesnego świata. Ważną rolę odegrali też kardynałowie Bea i Suenens, nie tylko wybitni mówcy, ale i rozmówcy, którzy łatwo nawiązywali kontakty, opinie formułowali jasno i spokojnie, w przeciwieństwie do wyniosłych i pewnych siebie przywódców konserwatystów, przemawiających z pozycji siły i podpierających się autorytetem urzędu.

Ważną rolę odegrali też eksperci, przywiezieni przez przywódców skrzydła postępowego lub zaproszeni przez papieża. Byli wśród nich twórcy „nowej teologii", jeszcze niedawno odsądzanej od czci i wiary, tacy jak Marie-Dominique Chenu, Jean Daniélou, Henri de Lubac, Karl Rahner, Yves Congar, Edward Schillebeeckx czy Johannes Willebrands. Nie tylko doradzali w czasie obrad, ale też prowadzili wykłady w rzymskich kościołach dla ojców soboru. „Milcząca większość" może nie była biegła w teologii, ale nie była też ciemną masą zalęknionych funkcjonariuszy Kościoła – wielu biskupów było zaciekawionych nowymi prądami, zwłaszcza teraz, gdy oczyszczono je z zarzutu nowinkarstwa i herezji. Nadrabiali zaległości na wieczorowych kursach.

Duch Vaticanum

Owocem soboru były uchwalone dokumenty: 4 konstytucje, 9 dekretów i 3 deklaracje, podejmujące zarówno kwestie fundamentalne (istota Kościoła, jego rola w świecie współczesnym, liturgia, źródła objawienia, godność człowieka, wolność religijna, ekumenizm), jak i szczegółowe (nauka w seminariach, posługa biskupów, życie zakonne i kapłańskie, katolicy świeccy, mass media). O najważniejsze spierano się nawet trzy lata, codziennie drukując tysiące stron poprawek (bez pomocy komputerów i drukarek). W efekcie nawet najtrudniejsze dokumenty zdobywały poparcie niemal wszystkich uczestników (deklarację „Dignitatis humanae" przyjęto stosunkiem głosów 2308:70, „Nostra aetate" – 2234:88). Wprawdzie jednomyślności nigdy nie uzyskano – nawet najbardziej neutralny Dekret o apostolstwie świeckich miał dwa głosy przeciwne – ale kompromis, jaki udało się osiągnąć, był imponujący.

Wrażenie robi język dokumentów, niemający nic z prawniczo-sądowniczego stylu wcześniejszych soborów, których orzeczenia przybierały albo formułę wyznania wiary, albo kanonów z anatemą. Sobór Watykański II nikogo i niczego nie potępiał (poza antysemityzmem i wojną), skupiając się na zachęcaniu i przekonywaniu. Jego dokumenty napisane są językiem narracyjnym i pozytywnym, w dodatku wszystkie – bez względu na temat i burzliwą historię – mają ten sam styl. To efekt pracy sekretariatu soboru, ale też zasługa Jana XXIII, który taki język wprowadził do Kościoła. Styl soboru nie wynikał tylko z nowej duszpasterskiej strategii, ale świadczył o zmianie dużo głębszej, sięgającej wartości i priorytetów. I wyrażał tzw. ducha soboru, na którego przez lata wszyscy się będą powoływać.

Reforma warta mszy

Skoro było tak dobrze, dlaczego wciąż słychać nawoływania do przyjęcia postanowień Vaticanum II? Jeżeli przez 60 lat nie udało się Kościołowi wprowadzić ich w życie, może coś jest nie tak – z Kościołem albo z postanowieniami?

Najlepiej obrazuje to burzliwa historia reformy liturgicznej, jedynej, jaką odczuli wszyscy rzymscy katolicy. Soborowa konstytucja o liturgii przygotowała teologiczny fundament pod reformę, decyzję o sposobie jej przeprowadzenia zostawiając papieżowi. Kompromis umożliwił szybkie i sprawne zatwierdzenie dokumentu (2147:4), ale nie zakończył dyskusji. Powołana przez papieża komisja usunęła z liturgii łacinę i zmieniła formułę mszy. W 1969 r., pomimo protestów, Paweł VI zatwierdził jej decyzje, uznając za zgodne z duchem soboru.

Wobec dalszych sprzeciwów (najgłośniejszym był bunt abp. Lefebvre'a, który założył własne bractwo księży i wyświęcił, bez zgody Watykanu, biskupów) Jan Paweł II pozwolił zwolennikom tradycji odprawiać, pod pewnymi warunkami, mszę przedsoborową (zgodnie z duchem soboru, w którym jako młody biskup uczestniczył). Na Lefebvre'a i jego biskupów nałożył ekskomunikę.

Benedykt XVI, który nie krył się z sympatią do tradycyjnej liturgii, rozszerzył

POŻEGNANIE

18 września 2022 roku w wieku 85 lat
i w 61. roku kapłaństwa zmarł

Ś.†P.

Ksiądz Prałat Andrzej Sapeta

w latach 1972-1974 diecezjalny duszpasterz akademicki,
diecezjalny wizytator katechetyczny, sędzia prosynodalny,
archidiecezjalny duszpasterz nauczycieli, w latach 1993-2010 dyrektor
Archiwum Kurii Metropolitalnej, a następnie jego Kustosz Honorowy.

Człowiek głębokiej wiary, pełen dobroci i życzliwości.

Pochowany został 26 września 2022 roku
w rodzinnych Radziechowach,
o czym ze smutkiem zawiadamiają

Rodzina i Przyjaciele

przywileje poprzednika. Przyznał, że nikt nigdy nie zakazał ani nie unieważnił „Mszału Piusa V", używanego nawet podczas soboru. Zdjął też ekskomunikę z biskupów lefebrystów. Takie były, jego zdaniem, prawdziwe intencje soboru (w którym, jako młody kapłan, uczestniczył).

Papież Franciszek, w trosce o zachowanie ducha Vaticanum II, odwołał nadane tradycjonalistom przywileje, *de facto* zakazując odprawiania przedsoborowej mszy. Odrzucenie reformy liturgicznej uznał za sprzeciw wobec całej nauki Kościoła.

Dobry i zły kompromis

Oprócz kłopotów z interpretacją ducha soboru i oddzieleniem go od litery, jedną z przyczyn braku satysfakcji z recepcji soborowych postanowień jest kompromis, który z jednej strony był wielkim sukcesem, z drugiej – powodem frustracji.

Uczestnicy soboru byli przerażeni od pierwszych dni ostrością sporu pomiędzy ideologiami i osobowościami, jak też chaosem organizacyjnym i prawnym. Źle to wróżyło obradom – kompetencje komisji pokrywały się, powodując problemy proceduralne, dyskusje ciągnęły się tygodniami (do niektórych zapisywało się ponad 300 chętnych). Jan XXIII tylko raz zaingerował w przebieg obrad, powołując specjalną komisję do prac nad zakwestionowanym projektem konstytucji o Objawieniu, co dało nadzieję na sprawniejsze procedowanie w kolejnej sesji, ale tej już nie doczekał.

W czerwcu 1963 r. papieżem został Paweł VI. Niektórzy kardynałowie radzili mu, by zamknął soborową puszkę Pandory, zanim wymkną się z niej wszystkie nieszczęścia. Papież wznowił sobór, choć mocno utemperował jego zakusy decydowania o wszystkim. Interwencje Pawła VI były częste i widoczne: teksty dokumentów czytał z czerwonym flamastrem w ręce, oficjalnie zgłaszał zastrzeżenia – własne lub osób przychodzących do niego na skargę. Najsłynniejszą ingerencją była „nota przewodnia", dopisana do gotowej już konstytucji dogmatycznej o Kościele i precyzująca zapisy o kolegialności i papieskim prymacie (na korzyść tego ostatniego).

Decyzją papieża usunięto z porządku obrad cztery najbardziej kontrowersyjne tematy: celibat, reformę Kurii Rzymskiej, regulację poczęć i kolegialność (co do ostatniej – Paweł VI sam, bez konsultacji z obradującym soborem, wprowadził nowe przepisy o synodach biskupów, które z prawdziwą kolegialnością niewiele miały wspólnego).

Fundamentalną kwestią, z którą zmagali się biskupi na Soborze Watykańskim II, **było pytanie: czy doktryna może się zmieniać?** Ono wciąż jest aktualne.

Większość biskupów przyjęła ingerencje papieża z ulgą, bo posunęły obrady do przodu i dały nadzieję na szybsze zakończenie soboru. Z czasem jednak zawarte kompromisy zaczęły ciążyć: konserwatyści uważali je za odstępstwo od doktryny i przyczynę kryzysu w Kościele, postępowcy – za zatrzymanie się w pół kroku. Dziś ani jedni, ani drudzy nie są już zainteresowani soborem.

Kwestia zasadnicza

Choć soborowe spory dotyczyły różnych spraw, jeden był problem fundamentalny, źródło wszystkich konfliktów i kryzysów. Do dziś pozostaje zresztą nierozwiązany, stanowiąc kolejną przyczynę selektywnej recepcji soboru. John C. Murray, jeden z teologicznych dysydentów zaproszonych na obrady, nazwał go „kwestią leżącą u podstaw wszystkich innych kwestii". Chodziło o pytanie, czy doktryna może się zmieniać.

Już samo *aggiornamento* (dostosowanie), do którego wzywał Jan XXIII, było trudne do zaakceptowania. Panowało przekonanie, że nie nauka Kościoła ma się dostosowywać do świata, ale świat do niej. Sobór zerwał z integryzmem, zakorzenionym w myśli katolickiej od czasów rewolucji francuskiej i oświecenia („Co raz rozstrzygnięto, nie należy ani umniejszać, ani zmieniać, ani nic do niego dodawać" – pisał papież Grzegorz XVI). Tymczasem podczas Vaticanum II niemal każdy projekt wykraczał poza dotychczasowe orzeczenia soborów i papieży, a niektóre wręcz podawały je w wątpliwość lub im przeczyły. Zasada „przyjaznego rozdziału państwa i Kościoła" (w konstytucji „Gaudium et spes") stała w sprzeczności z wypowiedziami niemal wszystkich papieży ostatniego stulecia. „Deklaracja o godności człowieka" uznawała prawo do wyboru religii, co pachniało herezją. Przyznanie, że człowiek jest wolny w swoich wyborach i powinien kierować się własnym sumieniem, zakładało zgodę na wybory „śmiertelnie złe" (np. odejście od religii katolickiej). Dla wielu biskupów ta propozycja była równie skandaliczna, jak dzisiejsze hasła *pro choice*.

Podobnie było z *ressourcement* (powrotem do źródeł), drugim filarem zmian soborowych. Kościół pozwalał na badania przeszłości tylko wtedy, gdy potwierdzały jego aktualną naukę i nie sięgały dalej niż do św. Tomasza z Akwinu. „Nowa teologia", oparta na najnowszych odkryciach biblistyki i pismach Ojców Kościoła, właśnie została odrzucona (Pius XII, „Humani generis", 1950 r.), a jej przedstawiciele ukarani.

Lęki, które towarzyszyły ojcom soborowym, nie zniknęły i wciąż czają się w Kościele. Ucieczki przed dyskusją nad celibatem czy kapłaństwem kobiet są tego przykładem. Łatwiej jest uznać soborowe dokumenty za dziedzictwo, które trzeba wciąż realizować, niż mierzyć się z „kwestią leżącą u podstaw wszystkich innych kwestii". Tymczasem duch Vaticanum II to przekraczanie ograniczeń soborowych dokumentów. A także własnych.

Sobór w kawałkach

Godzić stare z nowym nie jest łatwo, o ile w ogóle to możliwe. Rok '68 pokazał, że miesiąc miodowy między katolicyzmem a nowoczesną kulturą liberalną nie może trwać wiecznie. Odpowiedzią Kościoła na rewolucję obyczajową była encyklika „Humanae vitae".

Rozpoczęty dekadę później pontyfikat Jana Pawła II był z jednej strony realizacją soborowych reform (godność człowieka, wolność religijna, ekumenizm, walka z antysemityzmem, otwarcie na świat nauki i kultury), z drugiej – ich zaprzeczeniem, bo blokował współpracę papieża i biskupów z postępowymi teologami.

Benedykt XVI miał mniej entuzjastyczne, słodko-gorzkie podejście do soboru: doceniał teologiczne odrodzenie i odnowę Kościoła, ale krytycznie mówił o przebiegu obrad i triumfalizmie reformatorów. Posoborowe reformy obarczał winą za kryzys liturgii, który jest – jego zdaniem – przyczyną wszystkich kryzysów w Kościele.

Mimo szumnych apeli dorobek Vaticanum II popada w zapomnienie. Teologiczne rozprawy, których nikt nie czyta, ↦

↦ nie są w stanie go z niego wydobyć. Wywiady rzeki z papieżem emerytem również. Soborowego ducha nie wskrzeszą kombatanckie wspomnienia. Może poczeka na młodych teologów, którzy na nowo spróbują pogodzić sprzeczności między tradycją i nowoczesnością, zmianą i ciągłością, jednością i różnorodnością.

A papież Franciszek? Czy pierwszy papież z pokolenia posoborowych księży różni się w sposobie odczytania soboru od poprzedników?

Na pewno jego Kościół jest mniej europocentryczny i patrzy na inne – uważane dotąd za peryferyjne – regiony świata. To jedna z niezrealizowanych idei Soboru Watykańskiego II. Wyjście do ubogich jest wprowadzaniem w życie „Paktu z katakumb", podpisanego podczas ostatniej soborowej sesji przez biskupów z Ameryki Południowej (fakt mało znany). Ideę Kościoła „w drzwiach", otwartego na wszystkich, wywieść można z konstytucji „Lumen gentium". A troskę o dzieło stworzenia i koncepcję sprawiedliwego podziału dóbr – z „Gaudium et spes".

Franciszek podjął też tematy wycofane przez Pawła VI: reforma kurii właśnie się dokonuje, Papieska Akademia Życia otwiera dyskusję o antykoncepcji, celibat księży zawisł na włosku podczas synodu amazońskiego, testowana jest kolegialność, a „synod o synodzie" otworzył szeroką jak nigdy dotąd dyskusję o problemach Kościoła. Papież nie boi się wykraczać poza ustalenia swoich poprzedników (choć nie potrafi też zaakceptować faktu, że odrzucenie jednej reformy – w dodatku posoborowej – nie oznacza burzenia całej nauki Kościoła).

Na pewno mocniej niż jego poprzednicy Franciszek mierzy się z „kwestią, która jest u podstaw wszystkich kwestii", inicjując zmiany w doktrynie (komunia małżeństw niesakramentalnych) lub wprowadzając nowe tematy pod dyskusję (homoseksualizm, diakonat kobiet).

Czy to wciąż realizacja Vaticanum II, czy może krok dalej? Papież często mówi o trzeciej wojnie światowej, toczącej się „w kawałkach". Kto wie, może kolejny sobór – Watykański III – też się już toczy: w Amazonii, Niemczech... W różnych miejscach i w różny sposób. W kawałkach.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

OSSERVATORE ROMANO / EIDON / REPORTER

Nowoczesne technologie umożliwiają bliższy kontakt z chrześcijanami z odległych rejonów świata. Na zdjęciu – papież Franiczek na pokładzie statku straży przybrzeżnej. Lampedusa, lipiec 2013 r.

Koniec kościelnej piramidy

PIOTR SIKORA

Niektórzy mówią, że czas na nowy sobór. Może jednak Watykański II był ostatnim?

Czy przed chrztem należy obrzezać kandydata na chrześcijanina, który jeszcze obrzezany nie jest? Nie. Ta oczywista dla nas odpowiedź była przełomową zmianą w pojmowaniu, czym jest chrześcijaństwo dla pierwszego pokolenia uczniów Jezusa. Decyzję podjęto – mówi przekaz Dziejów Apostolskich – na zebraniu, w którym wzięły udział najważniejsze postaci ówczesnego Kościoła (por. Dz 15). Czasami mówi się o tym wydarzeniu jako o tzw. Soborze Jerozolimskim.

Spotkanie świadków

Formuła „tak zwany" wskazuje, że trudno jest porównywać sytuację niewielkich liczbowo pierwszych wspólnot chrześcijańskich do rzeczywistości zinstytucjonalizowanej, największej religii świata, o dwutysiącletniej historii, ogromnym dziedzictwie kulturowym i – bywało – wielkiej politycznej sile. Tym niemniej jest coś w jerozolimskim zgromadzeniu, co pozostaje kluczowe dla chrześcijańskiej perspektywy w poszukiwaniu prawdy i właściwych sposobów duchowej praktyki: przekonanie, że podążanie drogą takich poszukiwań w pojedynkę, albo nawet w jednej wspólnocie, bez uwzględnienia perspektywy innych osób i wspólnot, jest narażone na pomyłkę i trwanie w iluzji. Przekonanie, że dopiero spotkanie z innymi osobami, które – czerpiąc z tego samego źródła – próbują po swojemu, a więc inaczej od nas, zrozumieć ludzką relację do Boga, pozwala na zbliżenie się do lepszej, wspólnej odpowiedzi na najważniejsze pytania życia.

Takie założenie leży u podłoża kościelnej praktyki, którą można nazwać synodalno-soborową. Od pierwszych wieków Kościoły lokalne dbały o komunikację między sobą (w czasach, w których o taką komunikację było znacznie trudniej niż dzisiaj!). Gdy pojawiały się jakieś problemy odnośnie do wiary i kościelnego życia, próbowano rozwiązywać je wspólnie. W tym celu biskupi diecezji z danego regionu zjeżdżali się, by razem podejmować ważne decyzje.

Kluczowym dla tej praktyki było jeszcze jedno założenie: każdy biskup przybywa na takie synodalne zgromadzenie nie we własnym imieniu, lecz jako świadek wiary Kościoła lokalnego, którego jest biskupem. W synodalnych debatach nie powinien więc przedstawiać swojego osobistego stanowiska, lecz mówić, jak „w naszym Kościele wierzy się i postępuje". Poznanie takich świadectw miało pozwolić na rozpoznanie, jakie rozstrzygnięcie aktualnego problemu jest właściwe.

Ten sposób postępowania nie tylko pozwalał zachować jedność pomiędzy wieloma lokalnymi wspólnotami, które uważały się za cząstki jednego, powszechnego Kościoła. W pojedynkę możemy się mylić w rozpoznaniu tego, „co Duch mówi do Kościołów" (por. Ap 2, 7nn) – zwiedzeni własnymi egocentrycznymi uwarunkowaniami i interesami. Jeśli jednak otwieramy się na innych i dążąc do jedności przekraczamy własne ograniczenia, prawda staje się jawna. Dlatego właśnie za jedno z podstawowych kryteriów ortodoksji uznawano to, „w co wszyscy zawsze wierzyli".

To też jest naturalne: skoro wiara chrześcijańska opiera się w dużej mierze na wierności „początkom", warto brać pod uwagę pamięć jak największej liczby świadków owych źródłowych wydarzeń – także wtedy, gdy pamięć ta jest przechowywana we wspólnotach złożonych z kolejnych pokoleń uczniów przekazujących sobie pierwotne przesłanie. Poszczególne relacje mogą się różnić (jak zwykle różnią się zeznania świadków rozmaitych wydarzeń). Poznanie wielu perspektyw pozwala zbliżyć się do pełnego zrozumienia, co naprawdę się stało.

Wartość „spotkania" różnych perspektyw nie ogranicza się do wiedzy o przeszłości. Jest kluczowa także w zrozumieniu nowych skomplikowanych zjawisk – zwłaszcza takich, które obejmują relacje międzyludzkie.

Wiele synodów

Wcale jednak nie jest oczywiste, czy synodalne chrześcijaństwo potrzebuje kolejnego powszechnego soboru biskupów. Nie chodzi nawet o to, że zgromadzenie takie byłoby bardzo trudne do zorganizowania (w Soborze Watykańskim II brało udział niespełna 3 tys. biskupów, dzisiaj jest ich ponad 5 tys.). Idzie tu o racje znacznie głębsze.

Warto, po pierwsze, pamiętać, że przez pierwsze trzy wieki chrześcijaństwo obywało się bez takiego soboru. Odbywały się liczne synody lokalne, o większym lub mniejszym zasięgu, ale sobór powszechny został zwołany dopiero w roku 325, i to przez cesarza Konstantyna (który przewodził jego obradom, choć nie był jeszcze ochrzczony). Jak dowodzi polski patrolog ks. prof. Henryk Pietras SJ, motywy cesarza były raczej polityczne niż teologiczne. Polityczny był także motyw sformułowania jednego, powszechnie obowiązującego wyznania wiary – potrzebne było, by chrześcijaństwo mogło pełnić rolę państwowej religii spajającej imperium. Wcześniej w różnych Kościołach lokalnych wiarę formułowano w rozmaity sposób, a różnorodność ta nikomu nie przeszkadzała.

Mówi się często, że to wtedy rozpoczęła się „konstantyńska" era chrześcijaństwa – w której Kościół zrósł się ściśle z porządkiem politycznym, i że właśnie Sobór Watykański II zakończył, przynajmniej w katolicyzmie, tę erę. Można jednak postawić pytanie, czy potrzeba ujednolicenia – wprowadzenie np. jednego Credo albo powszechnie obowiązującego prawa kanonicznego (prawne kanony o powszechnym zasięgu to także jeden z rezultatów soborów powszechnych) – jest bardziej polityczna czy religijna? Może z religijnego punktu widzenia warto zachować jedność w różnorodności wyznań wiary, sposobów organizacji wspólnot, szczegółowych wskazówek moralnych – podobnie jak w jednym kanonie Nowego Testamentu obecne są cztery ewangelie portretujące Jezusa z tak różnych perspektyw, że nie sposób z tych szkiców stworzyć jednego obrazu?

Kościół długo funkcjonował w taki pluralistyczny sposób. Przy obecnych możliwościach komunikacyjnych drogą do utrzymania jedności wcale nie musi być zgromadzenie wszystkich biskupów w jednym miejscu. Niebezpieczeństwo zamknięcia się w partykularyzmie jakiejś własnej, małej, lokalnej wspólnoty można skuteczniej zażegnać na wiele innych sposobów. Mamy dziś błyskawiczny dostęp do wszelkich wyrazów wiary tworzonych przez chrześcijan niemal w każdym zakątku globu. Wystarczy niewielki wysiłek przeczytania, posłuchania, zobaczenia, jak wierzą, jak się modlą, jak żyją inni chrześcijanie – oraz otwartość, by inspirować się we własnej wierze poznaną inną interpretacją chrześcijańskiej tradycji.

Strukturalna zmiana

Oczywiście komunikacja za pomocą środków wirtualnych ma swoje ograniczenia. Nie można nie docenić wartości osobistych spotkań. Z tego powodu wydarzenia na kształt starożytnych synodów będą z pewnością ważnym elementem życia kościelnych wspólnot. I tu jednak pojawia się wątpliwość co do tego, czy miałyby być to synody (lub powszechny sobór) biskupów.

Jak wspomniałem, w przypadku synodów odbywających się w pierwotnym Kościele biskupi gromadzili się jako świadkowie wiary swoich Kościołów lokalnych. Stało za tym założenie o bardzo bliskiej więzi pomiędzy wspólnotą a jej biskupem. Miała ona duży udział w wyborze danej osoby na ten urząd. W przeciwieństwie do charyzmatycznych proroków, którzy nauczali, wędrując od gminy do gminy, biskupi byli wybierani przez wspólnotę spośród jej dobrze znanych członków – takie jest świadectwo „Didache", jednego z najstarszych tekstów chrześcijańskich.

Przez wieki Kościół zmieniał się m.in. w taki sposób, że bliski związek biskupa z Kościołem lokalnym jest czymś niezwykle rzadkim. Pokazuje to wyraźnie wiele syntez synodalnych – gorzka diagnoza, iż biskupi są odseparowani zarówno od księży swoich diecezji, jak i – jeszcze bardziej – od wiernych świeckich, że nie słuchają ich, nie znają ich problemów, to wątek, który się przewija niemal w każdym synodalnym podsumowaniu.

Problem, zapewne, jest strukturalny. Biskup bardzo często nie pochodzi z danej wspólnoty. Wspólnota nie tylko nie wybiera biskupa, ale i nie ma choćby częściowego wpływu na to, kto nim zostaje. Najczęściej nawet nie wie, jacy kandydaci są brani pod uwagę, a kto został jej narzucony, dowiaduje się z chwilą ogłoszenia odgórnej nominacji. Nominowani bywają zaś ludzie, którzy dopiero z chwilą objęcia diecezji w niej zamieszkują – często przenosząc się kolejny raz z diecezji do diecezji, z reguły z mniej do bardziej prestiżowej, pnąc się po szczeblach kościelnej kariery. Jak mogą zatem być świadkami sposobu, w jaki w tym lokalnym Kościele żyje się i wierzy?

Wśród chrześcijan przez wieki narastała mniej lub bardziej wyraźna świadomość, iż biskupi stanowią odrębny „stan" (by nie powiedzieć: kastę) w Kościele i mają władzę, ale nie bliski kontakt z resztą wspólnoty. Świadomość ta była ↦

↦ zapewne jedną z przyczyn, które sprawiły, że zmieniło się pojmowanie znaczenia biskupich synodów i soborów. Coraz rzadziej myślano o nich jako o spotkaniach, na których mogą spotkać się różne lokalne, perspektywiczne sposoby interpretacji ewangelicznego przesłania i na których, dzięki temu spotkaniu, może narodzić się głębsza synteza, łącząca na nowym poziomie tamte perspektywy. Zaczęło dominować pojmowanie synodów i soborów jako zgromadzeń tych, którzy mają władzę i mogą decydować o wierze w życiu innych, którzy owej władzy podlegają.

Kościół postsoborowy

Dzisiaj jednak ujawnia się nie tylko niewydolność, ale nawet toksyczność tak rozumianego hierarchiczno-episkopalnego kościelnego systemu. Pokazują to skandale (właśnie systemowego) tuszowania przestępstw seksualnych dokonywanych przez członków tej hierarchicznej kościelnej instytucji. Ujawnia się to także w rozmaitych historiach mobbingu, tworzenia układów służących robieniu kariery i zdobywaniu majątków – które działy się i dzieją zarówno na poziomie rzymskiej „centrali", jak i w poszczególnych diecezjach. Świat już dawno zrozumiał, że system władzy pozbawiony *checks and balances* szybko się degeneruje. W Kościele ta świadomość właśnie się rodzi.

Jak wynika z syntez konsultacji prowadzonych na całym świecie w ramach synodu o synodalności, właśnie kwestia utrzymania lub zmiany pozycji biskupów w kościelnej wspólnocie jest jednym z ważniejszych tematów, które stoją dziś przed Kościołem – a więc tematem, którym musiałby się zająć ewentualny przyszły sobór. Ale właśnie dlatego nie mógłby to być po prostu sobór biskupów. Albowiem w pytaniu o pozycję biskupa zawiera się także pytanie o to, czy to „sobór (tylko) biskupów" jest właściwym ciałem do podejmowania rozstrzygnięć dotyczących wiary i życia wszystkich katolików. Z logicznego punktu widzenia wszelkie rozstrzygnięcia tej kwestii przez „sobór biskupów" byłyby obarczone syndromem błędnego koła.

Być może najlepszym wyjściem z tej sytuacji jest świadome rozwijanie takiego sposobu funkcjonowania wspólnot Kościoła, jaki został wsparty (w niektórych miejscach) lub zainicjowany (w miejscach innych) przez konsultacje synodu o synodalności. Chodzi o wspieranie procesu, w którym każdy może wyrazić swoje rozumienie wiary, swoją etyczną intuicję czy swój pomysł na funkcjonowanie grupy oraz wysłuchać perspektyw innych osób. Chodzi też o to, by w coraz liczniejszych miejscach właśnie takie spotkanie perspektyw stawało się podstawą kształtowania wspólnotowego sposobu życia. Chodzi też o to, by rosła świadomość, że nie jest to łatwe – że wymaga wielu umiejętności, których cierpliwie trzeba się uczyć.

W kontekście synodu o synodalności warto też postawić pytanie, czy taki proces musi mieć strukturę, którą nadali mu organizatorzy synodu – mimo wszystko „piramidalną": z najwyżej położonym „centrum", w którym formułowane są pytania, z konsultacjami „na dole", syntezami na „szczeblach pośrednich", które – wreszcie – wracają „na górę", gdzie będą podejmowane ostateczne decyzje.

Czy „sobór w kawałkach" nie mógłby toczyć się stale, bez odgórnego „zwołania"? Z pytaniami, które naturalnie rodzą się tam, gdzie się rodzą, z wzajemnym słuchaniem prób odpowiedzi, które padają tam, gdzie ktoś usłyszał i potraktował jako ważne postawione pytanie? Z nieustannym spotkaniem (a nawet: konfrontowaniem) różnych perspektyw? Taki sobór nie przynosiłby nigdy jednej, ostatecznej, wszystkich obowiązującej odpowiedzi. Nie prowadziłby nigdy do zwycięstwa jednej perspektywy (która wówczas mogłaby rościć sobie pretensje, że jest wyczerpującym ujęciem obiektywnej prawdy, a nie perspektywą).

Byłby to prawdziwy koniec konstantyńskiej, imperialnej ery chrześcijaństwa. Ale nie byłaby to wcale zdrada korzeni. W kanonie Pisma są przecież cztery ewangelie.

©℗ PIOTR SIKORA

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **KRAKÓW / PIWNICA POWSZECHNA,** czwartek 13 października, spotkanie z Marianem Stalą i Andrzejem Franaszkiem, „Niezbędność krytyka" / hybrydowe /
- **KRAKÓW / ZJAZD KLUBÓW „TP",** piątek 14 października, spotkanie z Bogdanem de Barbaro, Hanną Chmielewską-Szlajfer, Grażyną Makarą i Pawłem Pieniążkiem, „Dezinformacja i jej społeczne skutki na pr-zykładzie wojny w Ukrainie" / hybrydowe /
- **KRAKÓW / ZJAZD KLUBÓW „TP",** niedziela 16 października, spotkanie z Piotrem Mucharskim i redakcją „TP" / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE,** środa 19 października, spotkanie z Tomaszem Stawiszyńskim, cykl „Piszą w Tygodniku" / online /
- **SŁUPSK,** czwartek 20 października, spotkanie z ks. Markiem Żejmą, „Czy ateizm ma przyszłość" / stacjonarne /
- **RZESZÓW,** czwartek 20 października, spotkanie z ks. Grzegorzem Strzelczykiem, „Jezus mój Brat. Jezus mój Pan" / stacjonarne /
- **WARSZAWA,** czwartek 20 października, spotkanie z Wojciechem Bonowiczem, „Historie na każdą godzinę i inne przyjemności" / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Taniec przy grobie cadyka

DOROTA BIDZIŃSKA

Kiedy przyjechali do Lelowa, mężczyzna, który otwierał synagogę, bardzo się zdziwił: Żydzi, ksiądz, muzułmanie? Pierwszy raz widzę coś takiego.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Chasydzi pielgrzymujący do grobu cadyka Dawida Bidermana. Lelów, 2 lutego 2020 r.

Byli już w Leżajsku, Kocku, Warce, Aleksandrowie i Krakowie. Wciąż odwiedzają kolejne miejsca.

– To jest tak, jakbyśmy w Polsce chodzili po duchowej żyle złota i kompletnie nie zdawali sobie z tego sprawy – mówi Mariusz Maciak, teolog i religiolog, pomysłodawca cyklicznych pielgrzymek śladem cadyków.

Sam duchowością chasydzką zainteresował się dzięki lekturom. Czytał Abrahama Joshuę Heschela i Gershoma Scholema, „Opowieści chasydów" Bubera i „Dziewięć bram" Langera. Zafascynowała go ich głęboka mądrość i uniwersalny charakter

– Jestem zadeklarowanym chrześcijaninem – mówi – ale to nie przeszkadza mi w tym, żebym szukał dla siebie duchowego natchnienia także w tradycji żydowskiej. Zawsze mnie inspirowało, że na terenie naszego kraju istniał świat głęboko duchowy, który niestety, wraz z II wojną światową i Holokaustem, zniknął z powierzchni ziemi. Mam wewnętrzny imperatyw, żeby to ogromne bogactwo na nowo przybliżyć właśnie Polakom.

Swój pomysł przedstawił bp. Rafałowi Markowskiemu, warszawskiemu biskupowi pomocniczemu i przewodniczącemu Rady KEP ds. Dialogu Religijnego oraz Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem. Idea spotkała się z aprobatą. Pielgrzymki organizowane są oficjalnie przez archidiecezję warszawską, a duszpasterską opiekę nad nimi sprawuje ks. Andrzej Tulej.

– To ważne. Nasze podróże szlakiem chasydzkim to nie są wycieczki – wyjaśnia Maciak. – Nie chodzi nam wyłącznie o poznawanie ciekawych miejsc. To są pielgrzymki. Zawsze rozpoczynamy je od Eucharystii. Wspólnie modlimy się przy grobach cadyków, często śpiewem i tańcem.

Przyznaje, że w niektórych, skrajnie tradycjonalistycznych środowiskach propozycja pielgrzymowania do grobów świętych żydowskich mężów – cadyków – budzi nie tylko rezerwę, ale jawną wrogość.

– Nieraz musiałem uspokajać księdza biskupa, żeby się tym nie przejmował – opowiada. – Zdaję sobie sprawę z tego, że choć to ja jestem pomysłodawcą i organizatorem, to on zbiera głównie baty. Może to brzmi jak abstrakcja, ale chciałbym, żeby przeciętny Polak, kiedy będzie miał duchową potrzebę, mógł iść po pracy i pomodlić się przy ohelu, grobie cadyka. Może niektórych to szokuje: „Jak to? Przecież to nie są święci katoliccy!". Ale ja czuję z nimi taką samą więź jak z naszymi świętymi.

– Na tych pielgrzymkach zawsze dziękuję Bogu za dobro, które wydarzyło się poprzez tych ludzi – mówi Adam Dylus, diakon stały i jeden z jej uczestników.

Autokarowa wspólnota

Współcześnie chasydyzm kojarzony jest przede wszystkim z ortodoksyjnymi społecznościami Me'a Sze'arim i Borough Park. Tymczasem u swych początków był to ruch charyzmatyczny, wręcz ekstatyczny, niosący powiew nowego.

– Żeby wejść w tę duchowość, potrzebowaliśmy odpowiedniego przewodnika. Nie specjalisty z akademicką wiedzą o chasydyzmie, ale kogoś, kto dotyka go duchem i sercem – tłumaczy Maciak. – Taką osobą okazał się Symcha Keller. Sam jest chasydem i ma swojego cadyka, a równocześnie nie jest typem fundamentalisty. Jest człowiekiem otwartym i polskim Żydem. Z jednej strony dobrze zna duchowość chasydzką, a z drugiej rozumie polskie realia.

Sam Keller mówi, że nie da się odtworzyć w betonowej dżungli Nowego Jorku i na pustyniach Izraela tego, co zrodziło się w polskich lasach i na polskich łąkach.

– Początkowo chasydyzm był ruchem nieokiełznanym, kompletnie wymykającym się wszelkim standardom i szufladkom – dodaje. – Dziś spotkało go to, co z czasem dzieje się ze wszystkimi ideami: stał się monotonny, mechaniczny, pozbawiony tego nieskrępowanego szaleństwa, które napędzało go w pierwszych latach istnienia. W chasydyzmie zawsze szukałem tego pierwotnego ducha.

– To chodząca encyklopedia – mówi o Kellerze Adam Dylus. – Nawet w czasie podróży autokarem między poszczególnymi miejscami uzupełnia i rozwija niektóre wątki, odpowiada na nasze pytania. Ale jego opowieści to nie tylko ogromna wiedza. Opowiada w taki sposób, że historie niejako ożywają, materializują się. Bez wątpienia ubarwione są jego osobowością. To człowiek niezwykle otwarty. Nie wiem, czy gdyby był bardziej ortodoksyjny, to udałoby mu się zbudować wokół tych pielgrzymek taką, mogę to śmiało powiedzieć, wspólnotę. ↦

↦ „Za każdym razem podczas takich spotkań otrzymuję od uczestników potężny zastrzyk dobrej energii i wiary, że słowa płynące z serca trafiają do serc – pisze Keller w relacji z jednej z wypraw na swoim profilu facebookowym. – Nieważne, skąd pochodzimy, ważne, ile człowieczeństwa w sobie nosimy i na ile jesteśmy otwarci na cały świat, bo jak mówił Widzący z Lublina: cóż to byłby za Bóg, do którego prowadziłaby tylko jedna droga".

Uczestnicy pielgrzymek to bez wątpienia żywy dowód tej wielości.

Muzułmańska kipa

– Pochodzę z miasta Konya. To bardzo tradycyjny i religijny region w Turcji – opowiada Mustafa Aydogdu. – Dopóki tam żyłem, wydawało mi się, że wszyscy ludzie na świecie są Turkami i muzułmanami. Potem przyjechałem do Polski i przekonałem się, że jest inaczej. Ludzie są różni i jeśli chcemy żyć w pokoju, musimy nauczyć się ze sobą rozmawiać. Dlatego zainteresowałem się dialogiem międzyreligijnym.

Z Mustafą i Huseyinem spotykam się w warszawskiej siedzibie organizacji Dunaj Instytut Dialogu. Obaj aktywnie angażują się w jej działania, pochodzą z Turcji i jeżdżą na pielgrzymki śladami cadyków.

– Prawdę mówiąc, wcześniej niewiele wiedziałem na temat chasydyzmu – mówi Huseyin Celik, student dziennikarstwa. – Zaskoczyło mnie, że Baal Szem Tow, założyciel tego ruchu, podróżował do Turcji i tam zapoznał się z sufizmem, który wpłynął na jego doktrynę.

Mówią, że inni uczestnicy pielgrzymki często zwracają na nich uwagę, są zaintrygowani i zaciekawieni.

– Mamy ciemną skórę i czarne włosy, od razu widać, że nie jesteśmy Polakami. Sporo osób dopytywało nas, kim jesteśmy i co tu robimy – mówi Mustafa. – Kiedy wchodziliśmy do synagogi i trzeba było zakryć głowę, zakładaliśmy nasze czapki, którymi zakrywamy włosy w trakcie modlitwy. To też budziło zainteresowanie.

– Większość osób miała współczesne czapki i kapelusze, a my nasze tradycyjne nakrycia głowy – dopowiada Huseyin. – Niektórzy nas pytali: czy to wasze muzułmańskie kipy?

– Uczestnicy pielgrzymek to ludzie bardzo otwarci – zauważa Mustafa. – W innych sytuacjach nie zawsze czujemy, że możemy opowiadać o swojej religii. Tu byliśmy chętnie słuchani. Równocześnie śmiało mogliśmy zadawać pytania dotyczące chrześcijaństwa i judaizmu.

– Grupa muzułmanów pozytywnie mnie zaskoczyła – przyznaje Adam Dylus. – To, z jakim szacunkiem wypowiadają się o Abrahamie, Jakubie, nawet o, w ich mniemaniu, proroku Jezusie. Te pielgrzymki łączą ludzi wielu nurtów. Dla mnie jest to rzecz fenomenalna, zwłaszcza obecnie, gdy tak wyraźne są podziały społeczne. To dobra lekcja szacunku dla różnorodności.

Pytam chłopaków, jak ich rodzime środowisko zapatruje się na udział w chrześcijańskich pielgrzymkach do grobów żydowskich świętych.

– Część kolegów przyganiała mi w żartach: Jak to? Jeszcze nie odbyłeś pielgrzymki do Mekki, a jeździsz na pielgrzymki żydowskie? – śmieje się Huseyin.

– My muzułmanie mamy tylko jedną pielgrzymkę, do Mekki – wyjaśnia Mustafa. – Podróży do miejsc innych religii nie traktujemy jak pielgrzymki, choć na pewno one także pogłębiają naszą wiarę. Gdybym powiedział mojej babci, która nie jest wyedukowana i jest bardzo konserwatywna, że byłem w kościele lub synagodze, to trudno by to było jej zrozumieć. Moi rodzice są już na to bardziej otwarci.

– Ale jeśli ktoś dobrze czyta i rozumie religię, to wie, że nie robimy nic złego – podsumowuje Huseyin. – Musimy rozmawiać z ludźmi różnych religii i kultur, żeby żyć w pokoju. Wierzę, że bez dialogu nie moglibyśmy dobrze żyć. Tak, jak chce tego od nas nasz Bóg.

Za biblijną Rut

Motywacje uczestników do udziału w pielgrzymce są różne.

– Poruszyła mnie historia pewnej starszej pani – opowiada Mariusz Maciak. – W czasie wojny była małą dziewczynką, a jej rodzice ukrywali u siebie w domu młodą Żydówkę. Szybko się z nią zaprzyjaźniła. Po wojnie dziewczyna wyjechała do Izraela. Ta pani wzięła udział w pielgrzymce dlatego, że chciała doświadczyć świata, który reprezentowała jej dawna przyjaciółka.

Beata Dylus, żona Adama, mówi, że przyciąga ją modlitwa poprzez taniec – taka, w której także jej ciało oddaje chwałę Bogu.

– Dla mnie szczególnie cenne jest pokazanie hebrajskiego sposobu czytania i rozumienia Pisma Świętego – zauważa Adam Dylus. – W powszechnej mentalności związek Jezusa z Izraelem jest często pomijany. Co Jezus miał wspólnego z Izraelem? No jak to co? Wszystko! Wejście w ten żydowski kontekst historyczny, językowy i kulturowy sprawia, że Biblia ożywa, a osoba Jezusa objawia się jeszcze wspanialsza.

– Wychowany jestem w nurcie chrześcijaństwa otwartego na duchowość żydowską – mówi Mariusz Maciak. – W synagodze rzymskiej Jan Paweł II powiedział, że „religia żydowska nie jest dla naszej religii »zewnętrzna«, lecz w pewien sposób »wewnętrzna«". Dla mnie to nie kurtuazja, ale wypowiedź doniosła teologicznie, która tłumaczy moją więź z cadykami. Po prostu istnieje między chrześcijaństwem i judaizmem wspólna przestrzeń łaski bożej, w którą bez obaw się zanurzam. Towarzyszą mi słowa biblijnej Rut, która zwraca się do Noemi: „Twój Bóg jest moim Bogiem, twój naród jest moim narodem". Ja dodaję jeszcze od siebie: twoi święci (cadycy, a tłumacząc dosłownie: sprawiedliwi) są moimi świętymi.

© DOROTA BIDZIŃSKA

POŻEGNANIE

Panu prof. Stanisławowi Okońskiemu
oraz
Panu red. Michałowi Okońskiemu
kondolencje i najszczersze wyrazy współczucia
z powodu śmierci
żony i mamy
składają
Wanda i Andrzej Sułkowscy

ZUZANNA

Radzik:
Religijne nakrycie głowy

Idąc na międzyreligijne spotkanie, spodziewam się tego, co zwykle: paru emerytów i fascynatów tematu, pewnie profesorów, którzy uczą tego w teorii, a robią w czasie wolnym w praktyce. Zastaję jednak spotkanie na szczycie. Są kardynał i arcybiskup, przedstawiciel anglikanów ds. dialogu, przedstawiciele innych Kościołów chrześcijańskich wyznaczeni do kontaktów międzyreligijnych. Naczelny rabin miasta, rabin liberalny. Jak na religijnym spotkaniu na szczycie – mężczyźni. Z kobiet jest pani sekretarz całego przedsięwzięcia i trzy Żydówki z Brukseli i Antwerpii. Tak się przedstawiają: Żydówka z Antwerpii, Żydówka z Brukseli. Bo wobec tytułów poprzedników ciężko coś dodać. Siadłyśmy zresztą jakoś tak odruchowo dalej od arcybiskupa i głównego rabina i wyszło tak, że w ostatnich rzędach. Jak w tradycyjnej synagodze, szepcze któraś, i wszystkie się chyba zawstydzamy, bo w sumie nikt nie powiedział, że musimy siedzieć właśnie tu i tak.

Podziały na kobiecy balkon i męski front rozbił dopiero wspólny posiłek. Ale obserwacja, że w dialogu jest jak w tych dialogujących religiach, nie jest zupełnie od rzeczy. Nasze religie bowiem toczą dużo dialogów na szczytach, kontaktów tych decyzyjnych z decyzyjnymi. I jakoś tak się składa, że kończy się najczęściej spotkaniem facetów. Bo na tych szczytach rządzą religiami wciąż głównie mężczyźni. Owszem, spokój męskiego klubu zakłócają czasem pastorki, luterańskie biskupki czy reformowane rabinki. Ale wciąż za rzadko i nie wszędzie.

Czy kobiety w dialogu muszą milczeć? Czy dialog kobiet wyglądałby jakoś inaczej? Pytam sama siebie i wraca wspomnienie spotkania kobiecego w Jerozolimie, palestyńsko-izraelskiego, międzyreligijnego, które ukazało symboliczną siłę zmieszania. Gdy spotykają się same kobiety, bez mężczyzn, jest jak w domu, mogą zdjąć nakrycia głowy. Wszystkie te burki, toczki, hidżaby, kapelusze, bereciki – wszystko znika wraz z wizualnym podziałem i pokój konfiguruje się inaczej, każda zaczyna reprezentować sama siebie. Za długo mieszkałam w Jerozolimie, by uwierzyć, że wprawne oko nie rozpozna po stroju, makijażu, cięciu włosów, rodzaju biżuterii. Że różnica, skąd przychodzisz, jakoś się nie ujawni, ale symbolicznie rozumiem. Zdjęcie emblematów religijnej przynależności intuicyjnie zbliża, choć ostatecznie spotkamy się w tym, co ważne; jeśli religia jest ważna, to i w niej. Ale to niezaznaczenie różnicy być może obniża trudność przełamania bariery.

„Czy kobiety w dialogu międzyreligijnym mogą mówić?" – zadaje pytanie badawcze w tytule swojego artykułu prof. Judith Gruber. Czyli nie tylko mnie status kobiet w dialogach męczy. Że feminizm jest brakującym wymiarem dialogu religii, dwadzieścia lat temu obserwowała brytyjska teolożka Ursula King. Trudne jest też to, że wchodząc w międzyreligijny dialog jako feministki, często już boksujemy się z naszymi tradycjami, jesteśmy krytyczne wobec ich androcentryzmu. Jak tu je reprezentować, gdy pierwszym odruchem jest otrzeć łzy siostry, która ma tak samo w swojej wspólnocie? Dialog peryferii i marginesu to wciąż dialog. Inny jednak. Czasem to wymiana notatek z pola walki o równość.

Wracając do myśli o braku wizualnych podziałów, to również bez żadnych symboli zjechałyśmy się na kobiece rekolekcje ekumeniczne. Dwa wspólne mianowniki uczestniczek to miejsce zamieszkania i chrześcijaństwo. Chrześcijaństwo w swej różnorodności. Choć fakt, to pytanie – do którego chodzisz kościoła? – jest pierwszym, które zadajemy, żeby zagaić rozmowę. Ale do wizytówek z naszymi imionami nie dopisano, skąd przychodzimy. Szybko orientuję się, że ciągle trafiam na parafianki z anglikańskiej parafii, które przyjechały tu ze swoją ksiądz. Inna dziewczyna na obiedzie tłumaczy, że choć przynależy właśnie tam, jeśli gdziekolwiek, to tak naprawdę najlepiej czuje się ostatnio u kwakrów. Kolejna sugeruje: „Może pójdziemy razem, podobało mi się tam, nawet jeśli to katolicki kościół?".

A ja myślę, jak jej wytłumaczyć, że młodzieżowa, charyzmatyczna msza u franciszkanów pewnie nie jest czymś, co wybiorę. Inna opowiada, że misjonarskie ziarno jej Kościoła zasiano w Kolorado... Tak, wyczytuję z drobiazgów, skąd i z czym mogą przychodzić, ale ostatecznie, czy to takie ważne? Roztapiam się we wspólnym mianowniku, we wspólnym czytaniu Psalmów i medytacji. Jesteśmy w różnym wieku i przychodzimy w różnych momentach życia, tak szczęśliwe, jak i potrzaskane. Wdzięczne i obolałe. Zdejmuję swoje nieistniejące nakrycie głowy. W końcu bycie przy tej obok w modlitwie ważniejsze jest niż to, do którego się chodzi kościoła. ©

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Katarzyna Łopuska

z d. Woźniakowska

urodzona 18 października 1921 r. we Lwowie
zmarła 4 października 2022 r. w Gdyni
Odeszła nasza Mama, Babcia i Prababcia.

Sanitariuszka i żołnierz Armii Krajowej w wojennej Warszawie oraz Obwodzie AK Mielec, więziona przez UB i NKWD, zesłana do łagru w Stalinogorsku, uhonorowana Krzyżem AK i Krzyżem Partyzanckim AK.

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w sobotę 15 października o godz. 13.00 w kościele św. Jakuba w Oliwie, pogrzeb odbędzie się bezpośrednio po mszy św., o godz. 14.00 na cmentarzu w Oliwie. Zamiast kwiatów prosimy o ofiarę na Hospicjum Domowe św. Faustyny w Sopocie.

Córki i Syn z rodzinami

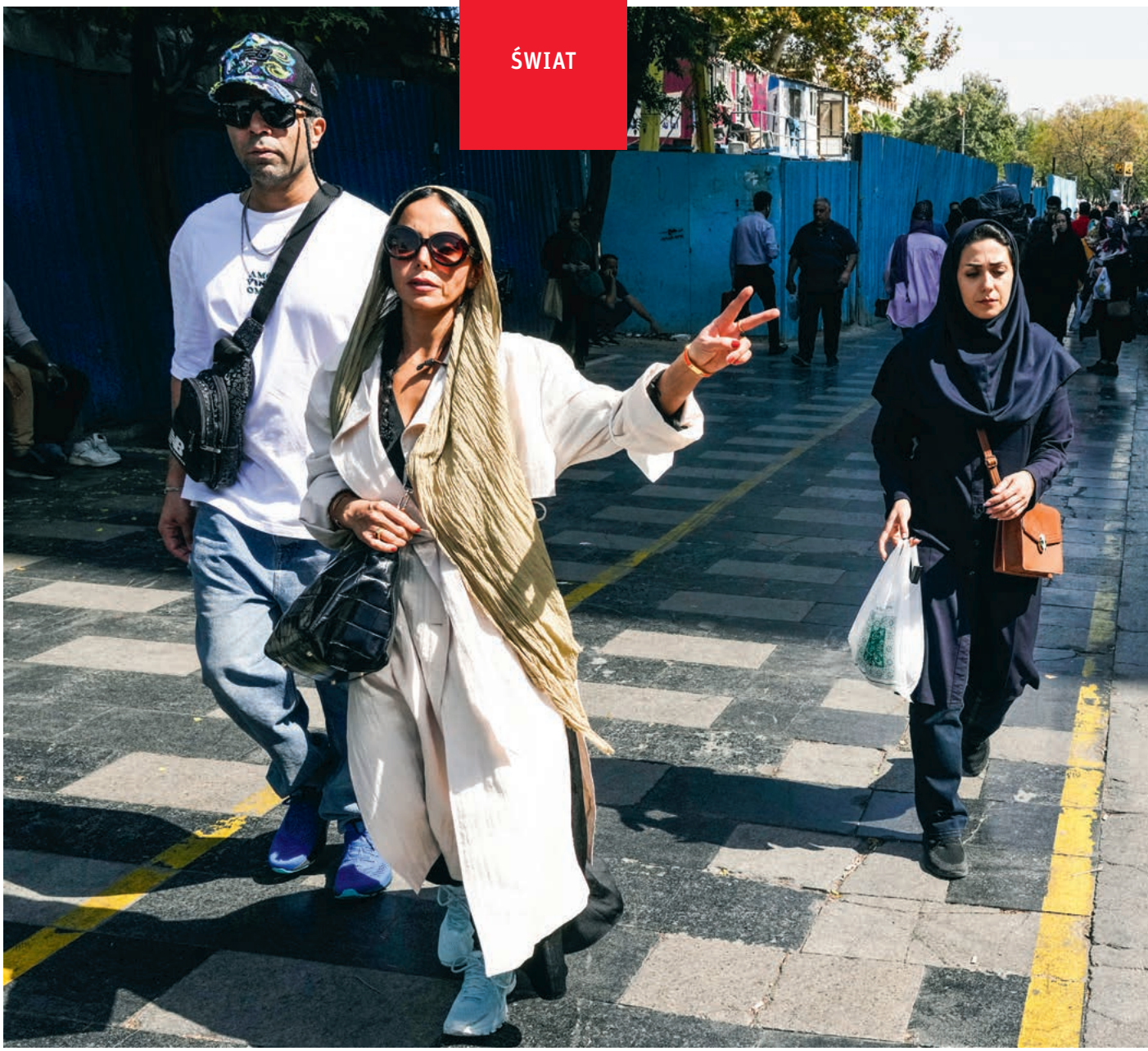

SELFIE BEZ HIDŻABU

Przykład Iranu pokazuje, że swobodny dostęp do internetu jest dziś niezbędny, aby można było mówić o wolności słowa.

NATALIA MILESZYK

Kobiety, życie, wolność – słowa te słychać w całym Iranie od połowy września, kiedy to za zbyt luźno noszoną chustę zginęła 22-letnia Mahsa Amini, irańska Kurdyjka. Od tego dnia nie mam też pewności, czy moi przyjaciele odpiszą na wiadomości wysyłane przez Signala i WhatsAppa.

Zgodnie ze znaną od lat taktyką rząd w Teheranie sięga po represje – podczas demonstracji zginęło około stu osób – oraz blokuje dostęp do internetu, aby mieć kontrolę nad ulicami i uciszyć głosy sprzeciwu.

Bo nie jest to precedens. W listopadzie 2019 r. byłam w Iranie, gdy ogłoszono podwyżkę ceny benzyny. Ludzie wyszli na ulice, władza odpowiedziała represjami,

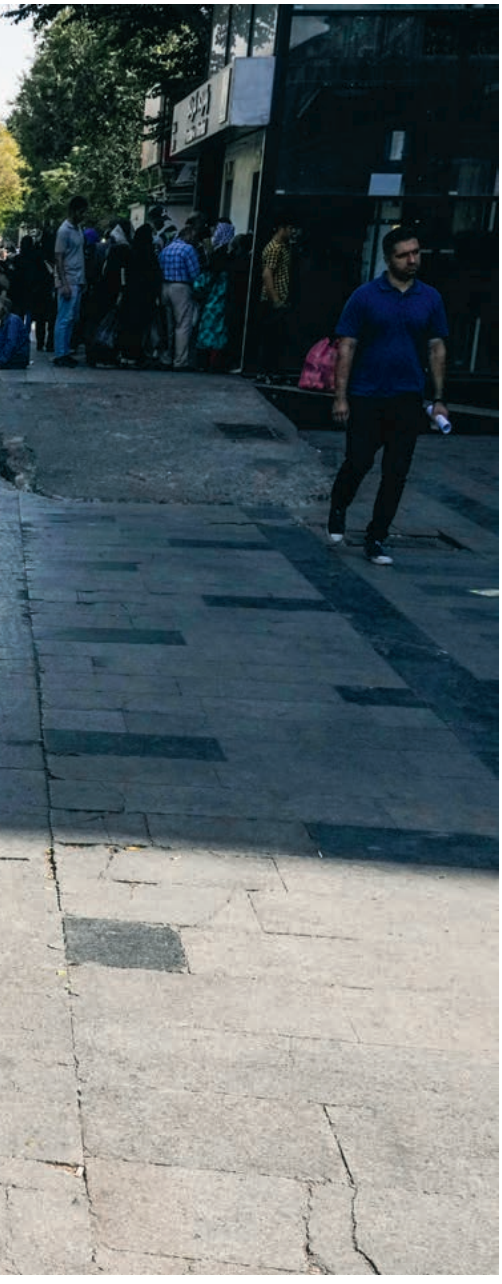

VAHID SALEMI / AP / EAST NEWS

Od połowy września Irańczycy w całym kraju protestują po śmierci 22-letniej Mahsy Amini, zatrzymanej przez policję obyczajową. Bazar w Teheranie, 1 października 2022 r.

z godziny na godzinę rosła liczba ofiar. Ograniczono też możliwość korzystania z sieci, by utrudnić komunikowanie się protestującym: początkowo sygnał stał się na tyle słaby, że niemożliwe było uruchomienie VPN-a (to narzędzie jest niezbędne, aby mieć dostęp do stron blokowanych przez rządy – Iranu, Rosji itd.), potem dostępne były tylko strony rządowe. Na końcu internet w ogóle przestał działać i niemożliwe było korzystanie z komunikatorów, zamawianie taksówki online czy dostęp do bankowości internetowej.

Siedziałam więc w Beludżystanie, regionie na pograniczu z Pakistanem, paliłam fajkę wodną, nazywaną tam ǧalyān, a jedynym źródłem wiedzy o tym, co dzieje się w kraju, była telewizja BBC Iran – nadająca z Londynu i w kraju zakazana, którą oglądaliśmy u sąsiada moich przyjaciół.

Zaprzyjaźnieni z internetem

Według Banku Światowego aż 84 proc. spośród 85 mln mieszkańców Iranu to użytkownicy internetu. Młoda i dynamiczna populacja tego kraju jest zaprzyjaźniona z cyfrowymi narzędziami, korzysta z komunikatorów i często wykorzystuje internet nie tylko do pozyskiwania wiedzy o świecie, ale do zaspokajania codziennych potrzeb – od zakupów po randkowanie. Jednak pod względem średniej szybkości połączenia Iran zajmuje 113. miejsce na świecie (wyprzedza wprawdzie pod tym względem Irak, Liberię i Białoruś, ale pozostaje w tyle za Filipinami, Indonezją i Argentyną).

Internet w Iranie daje na co dzień poczucie wolności. Dzięki VPN (ang. *virtual private networks*) można mieć dostęp do zablokowanych stron internetowych, takich jak Facebook, BBC, YouTube, Deutsche Welle, Netflix, Internet Archive (a także, jeśli kogoś to interesuje, strony pornograficzne). Co znamienne, w Iranie blokowana jest też platforma Couchsurfing, ułatwiająca nieodpłatne goszczenie podróżników przez mieszkańców danego kraju.

Wolność w internecie ma tu różne odsłony. Jeden z moich przyjaciół, który nigdy nie był poza Teheranem, ma bardzo amerykański akcent, gdy mówi po angielsku. Na pytanie, jak to się stało, odparł: „Kocham Baracka Obamę, oglądam jego wszystkie przemówienia".

To historia indywidualna. W skali makro prawie 1,7 mln firm internetowych w Iranie działa za pośrednictwem samego Instagrama – w tym dostawcy artykułów spożywczych, kosmetyków, sprzętów gospodarstwa domowego i oczywiście ubrań i kosmetyków. Takie szacunki przedstawia BETA Research Center, prywatny instytut analizy danych z siedzibą w Teheranie. Oszacował też, iż zatrudnienie i źródło utrzymania co najmniej 11 mln Irańczyków są bezpośrednio zależne od działalności w internecie.

W sieci (prawie) tacy sami

Na tym nie koniec oczywiście. Irańczycy piszczą z emocji, oglądając nagrania koreańskiego boysbandu BTS czy aktora Timothée Chalameta. Kobiety publikują *selfies* na Instagramie bez hidżabu, tj. bez zasłoniętych włosów.

Miliony śledzą najpopularniejsze modelki irańskiego pochodzenia, pozujące w bikini. Miliony mogą oglądać też filmy pokazujące przerażające warunki w irańskich więzieniach, przeglądać zdjęcia luksusowego życia, jakie prowadzą dzieci wysokich urzędników za granicą, gdy w kraju gospodarka się załamuje, czytać o łamaniu praw człowieka, zasypywać polityków pytaniami na Twitterze i anonimowo wyśmiewać najwyższych przywódców państwowych i religijnych.

– W sieci Irańczycy nie są różni od innych obywateli świata – mówi dr Jakub Gajda, iranista i politolog z Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego. – Jako naród z natury rodzinny i ceniący sobie relacje z innymi, dużo korzystają oni z komunikatorów takich jak WhatsApp, Telegram, IMO czy Viber oraz z serwisów społecznościowych, z których najpopularniejszy wydaje się Instagram. Dodawane zdjęcia, często zupełnie oderwane od irańskiej codzienności, m.in. przez eksponowanie prozachodnich upodobań w sferze obyczajowej, to norma i rodzaj odreagowania na tęsknotę do swobodnego stylu życia.

– Jednak nie wszyscy Irańczycy żyją zapatrzeni w globalne trendy – dodaje Gajda. – W irańskich realiach z internetu chętnie korzystają też gorliwi muzułmanie, którzy doceniają aplikacje przypominające o codziennych modlitwach i podsuwające w odpowiednich porach dnia wersety z Koranu.

Pod rządami Ebrahima Raisiego – nowego (od sierpnia 2021 r.) ultrakonserwatywnego prezydenta Iranu – w kraju nasiliła się cenzura, zakłócając działanie VPN, utrudniając szyfrowanie w aplikacjach do przesyłania wiadomości i ograniczając wyszukiwanie w Google do *Safe Search* (tzw. bezpiecznego wyszukiwania, które pokazuje tylko treści odpowiednie dla wieku dzieci poniżej 13. roku życia). W sierpniu tego roku prezydent podpisał dekret zwiększający karę dla kobiet, które zamieszczają w internecie treści wymierzone w obowiązek noszenia hidżabu. ↦

Pomysł na „irański internet"

Jednym z flagowych projektów władz w Teheranie jest stworzenie własnej wewnętrznej sieci internetowej, na wzór tych, które funkcjonują już w Chinach i Rosji.

Krajowa sieć informacyjna (ang. National Information Network) już dziś umożliwia podział irańskiej cyberprzestrzeni na dwa równoległe światy, wewnętrzny i globalny, które dla przeciętnego użytkownika wyglądają uderzająco podobnie. Sieć krajowa, za której pośrednictwem działają ważne usługi publiczne, a z której muszą korzystać banki i firmy, jest tańsza i szybsza, bo wspierana przez rząd. Jest też bardziej narażona na inwigilację. Z kolei dostęp do globalnej sieci może zostać w każdej chwili odcięty przez Teheran.

Administracja prezydenta Raisiego i parlament pracują obecnie nad projektem „ustawy o ochronie" (po persku zwanej *Tarh-e Sianat*). Ma ona kryminalizować korzystanie ze wspomnianych wirtualnych sieci prywatnych (VPN), wykorzystywanych do przeglądania zablokowanych stron.

Projekt nakłada też na międzynarodowe firmy technologiczne wymóg posiadania przedstawiciela prawnego w Iranie, przestrzegania irańskiego prawa i wymóg współpracy z rządem w zakresie inwigilacji użytkowników oraz cenzurowania przestrzeni internetowej. Odmowa zastosowania się do tych wymogów będzie skutkować całkowitym zablokowaniem danej strony. W praktyce międzynarodowe firmy nie będą zapewne mogły spełnić tych wymagań, ze względu na amerykańskie sankcje wobec Iranu.

Przewiduje się, że w przypadku wejścia w życie tej ustawy (obecnie parlament nad nią debatuje) wyłączone zostaną też podstawowe usługi, jak Google, Gmail, Instagram czy WhatsApp. Zamknie to dostęp do globalnego internetu – i stworzy dodatkowe zagrożenie nie tylko dla członków społeczeństwa obywatelskiego, ale dla całej klasy średniej w Iranie, będącej motorem zmian. To ją rząd chce ściśle inwigilować.

Jak na ironię, większość najwyższych przedstawicieli władz rządowych i wojskowych oraz konserwatywnych parlamentarzystów popierających „ustawę o ochronie" sama korzysta z VPN, by prowadzić konta na Twitterze i Facebooku. Używają Twittera, by Irańczykom głosić kazania o niemoralności i próżności internetu – co ich oponenci punktują jako niekonsekwencję.

Kobiety, życie, wolność: te słowa słychać w całym Iranie od połowy września, kiedy to **za zbyt luźno noszoną chustę zginęła 22-letnia Mahsa Amini.**

Film z Twittera ma moc

W porównaniu do roku 2019 dzisiejsze działania rządu, ograniczające dostęp do internetu, są bardziej subtelne. Co nie znaczy, że mniej skuteczne. Rząd decyduje się na czasowe blokady, które mają też charakter regionalny (zwykle w Teheranie i Kurdystanie). Niemożliwy jest dostęp do WhatsAppa i Instagrama, które na co dzień są głównym narzędziem komunikacji wielu Irańczyków. Wiele oprogramowań VPN zostało zhakowanych przez programistów powiązanych z rządem. Sygnał internetowy i telefoniczny jest słabszy od czwartej po południu do północy – bo protesty przybierają na sile po godzinach pracy.

Isik Mater z NetBlocks mówił BBC: „Blokowanie internetu jest jednym z najskuteczniejszych narzędzi, jakie władze Iranu dostały w swoje ręce, gdy na ulicach wybuchają niepokoje".

Pomimo to o wielu nagraniach z Iranu dowiedział się świat. Symbolem obecnych protestów stał się film z Twittera, pokazujący kobiety palące swoje hidżaby. Krótkie nagranie ma niesamowitą moc: oglądając je, Iranki nie czują się same, stają się odważniejsze, uświadamiają sobie, że walka o prawa kobiet w ich kraju to nie kwestia pojedynczego incydentu, lecz ruch, z którym coraz więcej kobiet się utożsamia. I z tej mocy, a także z zagrożenia dla systemu, władze zdają sobie sprawę.

– Komunikatory internetowe od kilku lat odgrywają coraz większą rolę w organizowaniu antyrządowych protestów w Iranie i obawa w tej materii jest motorem działań władz – ocenia dr Jakub Gajda.

„Nałożono ograniczenia"

– Irańskie społeczeństwo jest jak na bliskowschodnie standardy silnie scyfryzowane – dodaje Gajda. – Wyłączenie internetu jest zatem ciosem w jedną z najbardziej wrażliwych sfer Irańczyków. Podobnie byłoby zresztą w większej części świata. Jednak nie wszędzie władze czują się na tyle zagrożone przez własne społeczeństwo, by posuwać się do tak drastycznych ruchów. W Iranie burzliwe nastroje społeczne związane z brakiem dostępu do sieci są potęgowane faktem, że mimo rutynowych prób filtrowania treści przez władze, Irańczycy przez serwery VPN uczynili z wirtualnej przestrzeni swoje okno na świat. Ten świat, który nie jest rządzony przez konserwatystów i surowe prawa szariatu.

Minister komunikacji Isa Zarepour przyznał, że „nałożono ograniczenia na niektóre platformy internetowe, bo stały się narzędziem do przekazywania wiadomości przez protestujących". Podkreślił, że będą one trwać, dopóki ludzie będą protestować.

Odpowiadając na obawy dotyczące szkód, jakie blokada internetu może wyrządzić setkom tysięcy firm, Zarepour zasugerował, że irańskie firmy nie powinny korzystać z zagranicznych aplikacji. I dodał, że ministerstwo stara się opracować irańskie aplikacje, które będą wykorzystywane przez przedsiębiorców.

To obietnica, którą irańscy urzędnicy składają od 2009 r., kiedy to blokowanie mediów społecznościowych zostało po raz pierwszy wdrożone przez Teheran. Jednak kilka aplikacji, które powstały do tej pory, nie zdobyło popularności – ludzie im nie ufają, boją się, że służą one także do pozyskiwania ich danych.

Musk, niedoszły wybawiciel

Administracja USA zdaje sobie sprawę, że ograniczony dostęp do internetu może wpłynąć na dynamikę protestów. Po raz pierwszy w historii zdecydowała się na tymczasową zmianę przepisów, ułatwiając amerykańskim firmom technologicznym oferowanie wybranych usług Irańczykom bez naruszana sankcji nałożonych przez USA na Iran.

Zaraz po tym miliarder i przedsiębiorca Elon Musk w charakterystyczny dla siebie sposób ogłosił na Twitterze: „*Activating Starlink*" (Uruchamiamy Starlinka), tj. system satelitarny budowany przez SpaceX, firmę Muska (po rosyjskiej inwazji na

Ukrainę Musk umożliwił w ten sposób Ukraińcom dostęp do sieci w regionach, gdzie trwały walki).

Była to reakcja na głos Erfana Kasraiego – ten urodzony w Iranie dziennikarz zajmujący się nauką stwierdził, że nieograniczony dostęp do internetu w Iranie zmieni wszystko, jeśli chodzi o protesty po śmierci Kurdyjki. Musk postanowił zadziałać. Ale na razie na słowach się skończyło, gdyż spełnienie jego obietnicy nie jest takie proste.

System telekomunikacyjny Starlink działa bowiem na takiej zasadzie, że konstelacja ok. 2,5 tys. satelitów (ich liczba stale rośnie), które krążą na niskiej orbicie (ok. 550 km), łączy się z terminalami satelitarnymi użytkowników na Ziemi. I tak jak satelitów musi być dużo, tak dużo musi być też stacji naziemnych, które umożliwiają łączność z internetem.

W Ukrainie nie był to problem, firma Muska dostarczyła tam 15 tys. terminali, a stacje naziemne zostały rozlokowane w porozumieniu z rządem. Natomiast zapewnienie w ten sposób łączności w Iranie jest niemożliwe: o ile można wyobrazić sobie starlinki w niskiej orbicie nad Iranem, o tyle rozmieszczenie na Ziemi licznych stacji nie wchodzi w grę. Irański rząd ponadto uznaje terminale satelitarne za zagrożenie dla bezpieczeństwa – musiałyby one zostać wwiezione do kraju nielegalnie (dodajmy, że niezależnie od tych wyzwań sprzętowych, takie działanie Muska bez zgody Iranu byłoby nielegalne w świetle prawa międzynarodowego).

Jak na razie, zamieszanie wokół Starlinka wykorzystali hakerzy, rozpowszechniając wirusy poprzez strony mające zawierać instrukcje dla Irańczyków dotyczące Starlinka.

Te same prawa

W Iranie, gdzie wszystkie stacje telewizyjne są państwowe, internet przejął funkcję wolnych mediów. Dzięki dostępności smartfonów i mediów społecznościowych każdy może wykorzystać swój telefon do dokumentowania problemów społecznych: bezdomności i ubóstwa, złego traktowania afgańskich uchodźców, nadużywania władzy przez urzędników, nękania kobiet przez policję za ich ubiór czy innej przemocy z jej strony.

Bez internetu wiele tych zjawisk pozostałoby w ukryciu, gdyż nikt w publicznym obiegu informacji ich nie dokumentuje. Internet umożliwia też krytyczną debatę gospodarczą i polityczną w kraju, gdzie drzwi do takiej publicznej dyskusji są zamknięte.

– Zarówno w prawie międzynarodowym, jak i w orzecznictwie sądów krajowych, m.in. USA, Kostaryki czy Grecji, pojawia się prawo dostępu do internetu. Zgodnie z wytycznymi ONZ z 2016 r. rządy państw powinny się powstrzymać od blokowania, spowalniania czy ograniczenia w inny sposób dostępu do sieci – ocenia Dominika Bychawska-Siniarska, prawniczka z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

– Jeśli Iran będzie kontynuował blokady internetu, rozbudowując przy tym swoją, w pełni kontrolowaną sieć, dołączy do Chin czy Rosji – uważa ekspertka. – Te same prawa, jakie przysługują w świecie realnym, w tym dostęp do informacji, prawo do wyrażania opinii czy do swobodnej komunikacji, przysługują też w świecie cyfrowym.

Autorytarne rządy na świecie coraz częściej stosują taktykę odcinania ludzi od globalnej sieci – w celu powstrzymania protestów, cenzurowania, kontrolowania wyborów i uciszania obywateli. Iran był odpowiedzialny za pięć z 23 wyłączeń internetu udokumentowanych na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej w 2021 r. (według Access Now: organizacji, która monitoruje naruszenia wolności internetu). Tym sposobem zajął miejsce na podium tego niechlubnego rankingu – więcej wyłączeń było tylko w Indiach (106) i Birmie (15).

■■■

Do dziś nie wiadomo, ilu ludzi zginęło w trakcie Krwawego Abanu – jak nazywa się (od miesiąca w kalendarzu perskim) protesty zapoczątkowane w listopadzie 2019 r. Ministerstwo spraw wewnętrznych mówi o 215 ofiarach śmiertelnych, Agencja Reutera o półtora tysiąca. Blokada internetu utrudniła dokumentowanie tych protestów.

Teraz jest tak samo. Z perspektywy bezpiecznej Warszawy śledzenie intensywności użycia hasztagu „#Mahsa_Amini" w różnych mediach społecznościowych dobrze pokazuje, kiedy Irańczycy mają teraz dostęp do internetu, a kiedy jest on ograniczony.

I kiedy można mieć nadzieję, że moi przyjaciele wreszcie mi odpiszą.

© NATALIA MILESZYK

Autorka, prawniczka i absolwentka Central European University, zajmuje się public affairs w tematach cyfrowych. Współpracuje z organizacjami pozarządowymi działającymi na rzecz praw użytkowników w internecie. Propagatorka podróżowania wśród kobiet, czterokrotnie była w Iranie.

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

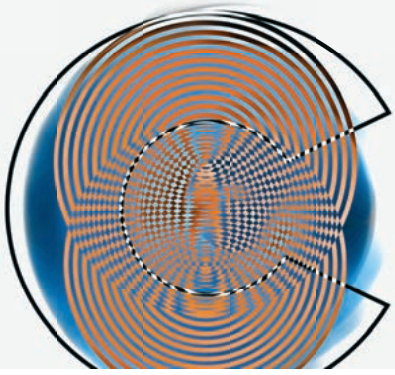

MAGAZYN CONRAD

Przedstawiamy wybranych gości i gościnie Festiwalu. Wśród nich:

- **Artur Domosławski**
- **Mariana Enríquez**
- **Oscar Martínez**
- **Andrzej Stasiuk**
- **Ayfer Tunç**

CONRADFESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W sieci seksbiznesu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII

Hiszpania przyjęła 125 tys. osób uciekających z Ukrainy, głównie kobiety. Niektóre z nich padły ofiarą handlarzy ludźmi. Oto ich historie.

EUROPA PRESS NEWS / GETTY IMAGES

Uchodźcy z Ukrainy w drodze na Fuerteventurę, jedną z Wysp Kanaryjskich. 11 marca 2022 r.

Jest koniec marca, rosyjska inwazja przeciwko Ukrainie trwa od miesiąca. Dwie dziewczyny, 15-latka i 16-latka, uciekają z Chersonia, który Rosjanie zdobyli już na początku marca. Ich rodzice wierzą, że w Hiszpanii będą mieć szansę na rozwój i edukację z dala od bomb. Celem nastolatek jest Malaga, półmilionowe miasto na południu kraju.

W Warszawie wsiadają do autobusu, który jedzie do Madrytu. Towarzyszy im 41-letni Hiszpan. Wzbudza podejrzenia jednego z wolontariuszy. Ten o swoich wątpliwościach informuje policję w Kordobie, a ta kolegów ze stolicy.

Hiszpańscy policjanci zatrzymują autobus 1 kwietnia na stacji Madryt Południe. Nastolatki twierdzą, że podróżują z wujkiem, ale po krótkiej rozmowie i sprawdzeniu dokumentów policjanci wykluczają tę możliwość. W końcu 16-latka przyznaje, że mężczyzna jest jej partnerem i że oboje namówili jej koleżankę do przyjazdu do Hiszpanii.

Policjanci widzą, że dziewczyny są zastraszone. Podczas rozmowy nie potrafią przypomnieć sobie podstawowych informacji czy opisać swojego domu rodzinnego. 41-letni mężczyzna w trakcie przesłuchania staje się agresywny i rzuca się na policjantów z pięściami. Okazuje się, że w walizce przewozi 4,3 tys. euro w gotówce, narkotyki i biżuterię. Później zostanie mu udowodnione, że jeszcze podczas podróży z Polski do Hiszpanii wykorzystywał seksualnie 16-latkę.

Z ustaleń policji wynika, że Hiszpan sprowadził Ukrainki, bo planował zmusić je do prostytucji. Nie wiadomo, czy działał sam, czy w zorganizowanej grupie. Usłyszał zarzuty, a obie dziewczyny trafiły pod opiekę placówki na terenie Madrytu.

W roli modelki

Wiadomo, że to nie jest odosobniony przypadek. Ale jedyny, który do tej pory został oficjalnie potwierdzony przez hiszpańską policję (dlatego, że udało się zatrzymać podejrzanego). Swoje działania przeciw handlowi ludźmi na terenie Unii prowadzi też Europol. Akcje ekspertów opierają się na współpracy z organami ścigania krajów unijnych i koncentrują się na stronach internetowych i mediach społecznościowych, gdzie zwykle handlarze ludźmi próbują zwabić uciekinierki z Ukrainy. Częstym procederem stało się oferowanie im pracy modelki przy sesjach zdjęciowych wraz z zakwaterowaniem.

23 maja Europol poinformował o zidentyfikowaniu dziewięciu Ukrainek, potencjalnych ofiar handlarzy ludźmi, które miały być zmuszane do prostytucji. Z kolei na początku września przy współpracy funkcjonariuszy z 20 krajów unijnych, w tym Polski i Hiszpanii, udało się dotrzeć do 25 potencjalnych ofiar, także narodowości ukraińskiej.

O zagrożeniu handlem ludźmi, w celu wykorzystywania seksualnego, od początku rosyjskiej inwazji alarmowało wiele instytucji, w tym ONZ, UE, Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji i Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Łatwy cel

Jeszcze przed inwazją Ukraińcy byli w gronie pięciu narodowości najczęściej sprowadzanych do Unii Europejskiej przez handlarzy ludźmi – mówiła w kwietniu w Parlamencie Europejskim Diane Schmitt, koordynatorka UE ds. przeciwdziałania handlowi ludźmi. Schmitt podkreślała, że to dowód, iż na długo przed 24 lutego istniały dobrze zorganizowane sieci zajmujące się handlem ludźmi z Ukrainy. „Możemy tylko przypuszczać, że teraz będą szukać nowych ofiar do pracy przymusowej i wykorzystywania seksualnego" – ostrzegała.

Już rok temu ówczesna prokurator generalna Ukrainy Iryna Wenediktowa twierdziła, że w ciągu minionych 30 lat ponad 260 tys. osób z Ukrainy padło ofiarami handlu ludźmi.

Diane Schmitt mówiła teraz, że handlarze ludźmi zwykle operują w miejscach, do których docierają uchodźcy zaraz po przekroczeniu granicy, na stacjach kolejowych czy autobusowych. Ponieważ

ogromna większość uciekających to kobiety i dzieci, często straumatyzowane i bez środków do życia, są łatwiejszym celem handlarzy ludźmi.

Prostytucja w mieszkaniu

W maju hiszpańskie Stowarzyszenie na rzecz Profilaktyki, Reintegracji i Opieki nad Prostytutkami (APRAMP) poinformowało, że odkryło mieszkanie, w którym pięć kobiet z Ukrainy było zmuszanych do prostytucji. Procederem tym miała kierować Ukrainka, która od dłuższego czasu mieszkała w Hiszpanii i miała tu pozwolenie na pobyt i pracę.

– Kobiety, które są werbowane przez mafię, nie są głupie. Czasem wydaje nam się, że pochodzą z innej galaktyki. Zapominamy, że zawsze obok nich jest ktoś, kto je zachęca i namawia do wyjazdu. Obecnie używają zwłaszcza mediów społecznościowych, gdzie kontaktują się z potencjalnymi ofiarami – mówi mi Rocío Mora, dyrektorka APRAMP.

Mora przyznaje, że wciąż odkrywają nowe ofiary handlu ludźmi, ale postanowili, że nie będą już upubliczniać tych informacji. – Nie mogę powiedzieć, ilu Ukrainkom pomogliśmy. W ostatnim czasie jesteśmy bardzo atakowani przez osoby, które zajmują się eksploatacją kobiet. Nie chodzi tylko o ataki w mediach społecznościowych, ale także na naszych pracowników i centra pomocy kobietom – mówi Mora.

Dług do spłacenia

W 2021 r. APRAMP pomogło w Hiszpanii 4,4 tys. kobiet 59 narodowości, które zmuszano do prostytucji. To konkretne osoby i ich dramaty.

Z każdym rokiem sytuacja jest bardziej skomplikowana. Prostytucja coraz częściej odbywa się w prywatnych mieszkaniach, a nie w klubach czy na ulicach. Nawet jeśli kobiety udaje się wydostać, na wolności pozostają ich stręczyciele. To sprawia, że hiszpańska policja nie chce informować o kolejnych etapach śledztw, bo „sprawa jest rozwojowa".

Prócz Ukrainek do Hiszpanii zwabiane są też często Nigeryjki, Brazylijki, Kolumbijki czy Rumunki. Zwodzone są ofertami legalnej pracy, obietnicą poprawy ich sytuacji ekonomicznej. Tymczasem wkrótce po dotarciu do Hiszpanii odbierany jest im paszport i dowiadują się, że mają do spłacenia nawet 20-30 tys. euro rzekomego długu za pomoc w podróży, i że jedyną możliwością zapłaty jest prostytucja.

Kobiety pilnowane są przez mafie, nierzadko oznaczane tatuażami, izolowane, śledzone i zastraszane, dlatego wydostanie ich z rąk handlarzy ludźmi to kwestia miesięcy, a nawet lat. A kiedy są odbierane mafiom, nie mają nic. – Nawet dokumentu, który mówi, jak się nazywają. Pracę z nimi zaczynamy od zera. To, ile czasu potrzebują na uzyskanie dokumentów, nauczenie się języka, zdobycie pracy czy uporanie się z traumą, zależy od tego, jak długo były przetrzymywane i wykorzystywane – mówi Rocío Mora.

Ogłoszenia

Od lutego do sierpnia Hiszpania przyjęła 125 tys. osób z Ukrainy, głównie kobiety i dzieci. Na trop wykorzystywanych seksualnie Ukrainek policja i APRAMP trafiają często przez ulotki i ogłoszenia takich usług w internecie. Oczywiście nie wszystkie muszą świadczyć, że kobiety są zmuszane do prostytucji. – Jednak dla mnie sama forma tych ogłoszeń to już eksploatacja kobiet. Jeśli to nie eksploatacja, to co nią jest? – mówi Rocío Mora.

Flor Fondón z organizacji zajmującej się prawami człowieka ze Wspólnoty Autonomicznej Extremadura policzyła, że tylko w ciągu pierwszych dziesięciu dni od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji „poszukiwania na portalach z pornografią wzrosły o 750 proc. w przypadku pornografii ukraińskiej i rosyjskiej". O podobnym zjawisku informowało też Krajowe Obserwatorium ds. Przemocy względem Kobiet.

Od lutego pojawiają się też w języku hiszpańskim specjalne strony internetowe pokazujące ogłoszenia seksualne, ale tylko z ofertami „młodych kobiet z Ukrainy, które dopiero co dotarły do Hiszpanii" – dokładnie taki jest ich opis. Większość pochodzi z Barcelony i Madrytu, a wszystkie opatrzone są imionami, zdjęciami, opisem wyglądu, charakteru, oferowanych usług, a nawet recenzji danej kobiety.

Dziennikarz radia RNE postanowił zadzwonić i uzyskać więcej informacji w sprawie dwóch takich ogłoszeń. W pierwszym przypadku telefon odebrała dziewczyna, która słabo mówiła po hiszpańsku, bo, jak przyznała, przyjechała niedawno i dopiero uczy się języka. W drugim przypadku zgłosiła się kobieta mówiąca po hiszpańsku ze wschodnim akcentem, która, jak twierdziła, odbiera telefony swojej koleżanki z Ukrainy, bo ta dopiero przyjechała i nie rozumie hiszpańskiego. Zaoferowała przysłanie dodatkowych zdjęć i lokalizacji mieszkania w komunikatorze WhatsApp.

Nocne interwencje

– Hiszpanie od początku inwazji okazywali dużą solidarność z Ukrainą i pomagali na różne sposoby. Ale nie wszyscy mieli takie podejście – mówi mi María Kapanayko Zvir, która pracuje dla organizacji Ucranianos en España (Ukraińcy w Hiszpanii).

Kilka lat temu Maria przeniosła się z rodzinnego Lwowa do Madrytu. Organizacja, dla której pracuje, jest największą wśród tych, które pomagają w Hiszpanii Ukraińcom. Jej działalność była szczególnie ważna na początku, gdy państwowe strony internetowe z informacjami dla obywateli Ukrainy nie działały z powodu ataków hakerskich.

Maria: – Już w pierwszych dniach dostaliśmy mnóstwo wiadomości od prywatnych osób, głównie starszych mężczyzn. Szokowało mnie, gdy widziałam tak wiele wiadomości od mężczyzn w wieku 60 lat i więcej, którzy mieli wyraźnie sprecyzowane oczekiwania względem wyglądu kobiet, które mogą przyjąć pod swój dach albo zaoferować im transport.

– Jesteśmy poważną organizacją, a tymczasem niektórzy z tych mężczyzn pisali do nas w mailu, że przyjmą „ładną Ukrainkę, najlepiej bez dzieci, do 40 lat", oraz wysyłali zdjęcia swojego domu – mówi Maria. – Po dokładnych opisach było widać, że bardziej potrzebują niewolnicy czy kochanki, a nie, że chcą naprawdę pomóc.

Na stronie ich organizacji rodziny mogły oferować, za pomocą specjalnego formularza, zakwaterowanie uciekającym przed wojną. Następnie wolontariusze z Ucranianos en España weryfikowali te oferty. Dwukrotnie musieli interweniować w nocy wraz z policją, gdy okazywało się, że oferujący pomoc Hiszpan oczekiwał „czegoś w zamian" za nocleg.

Hiszpania w czołówce

Handel ludźmi to kupno, sprzedaż i eksploatacja osób, której celem może być wykorzystanie seksualne, praca przymusowa czy zdobycie organów. 75 proc. ofiar ↦

↦ handlu ludźmi to kobiety, a 92 proc. z osób wykorzystywanych seksualnie to kobiety i dzieci.

Z raportu ONZ za rok 2011 wynika, że Hiszpania jest głównym krajem w Unii Europejskiej, jeśli chodzi o handel ludźmi i eksploatację kobiet. Prostytucja nie jest tutaj ani zakazana, ani też zalegalizowana – jest poniekąd w prawnej szarej strefie.

Zdaniem unijnej koordynatorki ds. przeciwdziałania handlowi ludźmi sposobem na zmniejszenie problemu wykorzystywania Ukrainek może być zapewnienie im statusu ochrony tymczasowej i dostęp do rynku pracy, ochrony zdrowia i edukacji w krajach Unii. Pomóc miał też obowiązek rejestracji osób przewożących uchodźców z Ukrainy czy nakaz noszenia opasek identyfikujących dla kierowców.

Bez skrupułów

– To nie jest biznes jak każdy inny – mówi mi Milagro z Dominikany (imię zmienione, kobieta chce pozostać anonimowa). Przed laty udało się ją wydostać z rąk handlarzy ludźmi. – Prostytucja to jedno, ale wiąże się ona z handlem bronią i narkotykami. Jeśli któraś z kobiet chciałaby tak po prostu odejść czy złożyć donos na swoich stręczycieli, to normalne, że zginie – mówi Milagro.

Jej historia jest taka: gdy miała 26 lat, zachorował jej ojciec, a matka straciła pracę. Dziewczyna miała na utrzymaniu nie tylko ich, ale też dwóch młodszych braci i własną córkę. Do przyjazdu do Hiszpanii namówiła ją inna kobieta z Dominikany, która obiecywała legalną pracę na trzy miesiące. Kiedy Milagro tu dotarła, zabrano jej paszport, zamknięto w pokoju z kratami i kazano pracować, aby spłacić „dług".

Głos Milagro reprezentuje tysiące kobiet każdego dnia zmuszanych do prostytucji. Praktyka pokazuje, że handlarze ludźmi zmieniają taktykę. Teraz swoje poszukiwania koncentrują w internecie, wybierają coraz młodsze kobiety – i bez skrupułów wykorzystują ofiary wojny.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Kogo Ameryka nienawidzi bardziej

MARTA ZDZIEBORSKA

Tuż przed wyborami „połówkowymi" większość obywateli USA żyje w dwóch równoległych światach. Są zgodni, że demokracja jest zagrożona – i że winna temu jest druga strona.

Prezydent Joe Biden dobrze wie, dlaczego dwa lata temu, jesienią 2020 r., to on wygrał: 81 mln Amerykanów oddało na niego głos, bo panicznie bało się reelekcji Donalda Trumpa.

Ten sam strach – strach przed pogrążającym Stany trumpowskim populizmem – Biden wykorzystuje dziś, przed zaplanowanymi na listopad wyborami. Zwane są „połówkowymi", gdyż odbywają się w połowie kadencji prezydenckiej. Ich wynik przesądzi o układzie sił w parlamentach stanowych oraz o utrzymaniu przez Demokratów przewagi w obu izbach Kongresu – wybierani są w nich bowiem wszyscy członkowie Izby Reprezentantów i jedna trzecia senatorów.

W grze o tak wysoką stawkę Biden nie mówi już o jednoczeniu narodu, lecz dzieli go – jak niegdyś Trump. Podczas niedawnych wieców poparcia dla kandydatów Partii Demokratycznej prezydent określał zwolenników Trumpa mianem „półfaszystów" i sugerował, że są zagrożeniem dla demokracji. „Ruch Make America Great Again [zaplecze Trumpa –

EVAN VUCCI / AP / EAST NEWS

Prezydent Joe Biden przemawia na wiecu Partii Demokratycznej. Waszyngton, 23 września 2022 r.

red.] chce powrotu do zacofanej Ameryki, gdzie kobiety nie mają prawa do aborcji i antykoncepcji, a osoby ze społeczności LGBTQ nie mogą wziąć ślubu" – mówił na spotkaniu w Filadelfii. Zaatakował tam również tych, którzy nie widzą nic złego w słynnym szturmie zwolenników Trumpa na Kapitol 6 stycznia 2021 r. „Nie można popierać tamtych wydarzeń i jednocześnie być patriotą. To się wyklucza" – grzmiał prezydent.

Wystąpienia Bidena nie chciały emitować czołowe stacje telewizyjne, jak ABC, NBC czy CBS. Przesłany im z wyprzedzeniem tekst uznały za zbyt upolityczniony. Wolały przeznaczyć najlepszy czas antenowy na powtórki popularnych seriali, jak „Prawo i porządek" czy „Młody Sheldon".

Ile kosztują jajka na bekonie

Biden robi wszystko, aby przypadające na 8 listopada wybory nie zamieniły się w referendum nad jego rządami. Zwłaszcza że zazwyczaj w wyniku wyborów „połówkowych" partia urzędującego prezydenta traci miejsca w Kongresie – tak było ostatnio za rządów George'a W. Busha, Baracka Obamy i Donalda Trumpa (temu ostatniemu posłuszeństwo wypowiedziały zwłaszcza konserwatywne mieszkanki przedmieść).

Dziś Biden obawia się porażki podwójnie, bo w kraju zmagającym się z wysoką inflacją jego rządy popiera zaledwie 39 proc. Amerykanów – od roku 1978 to jeden z najniższych wyników urzędującego prezydenta na tym etapie kadencji. W Wisconsin i Georgii – stanach, gdzie zapowiada się wyrównana walka o miejsca w Senacie – większość wyborców deklaruje, że ich głównym zmartwieniem jest właśnie inflacja.

We wrześniowym ogólnokrajowym sondażu Siena/Times podobnej odpowiedzi udzieliło 49 proc. respondentów, wskazując też na problemy związane z rynkiem pracy, podatkami i kosztami życia. Jedynie 31 proc. deklarowało, że decydująca dla ich preferencji wyborczych jest kondycja amerykańskiej demokracji albo stosunek danej partii do aborcji czy w kwestii dostępu do broni palnej.

Nastroje wykorzystują politycy republikańscy. Walcząca o reelekcję kongresmenka z Karoliny Południowej, Nancy Mace, wylicza przed kamerą, ile kosztuje dziś przygotowanie na śniadanie jajek na bekonie, klasycznej potrawy na początek dnia. Z kolei kandydat na senatora w Michigan, Tom Barrett, straszy Amerykanów, iż w skali roku inflacja pochłonie równowartość jednej miesięcznej pensji. Jeśli wierzyć sondażom, skupienie uwagi wyborców na gospodarce może dać Republikanom 6 punktów procentowych przewagi w rywalizacji do Kongresu.

Kolejne problemy Trumpa

Nie jest jednak tak, że politycy Partii Republikańskiej mają zwycięstwo w kieszeni. Podczas gdy jeszcze kilka miesięcy temu sondaże dawały im spore szanse na odbicie obu izb Kongresu, dziś prognozuje się, że Demokraci zdołają utrzymać większość w Senacie.

Nieoczekiwanie szansą dla partii Bidena stało się zamieszanie wokół osoby Trumpa, któremu w sierpniu śledczy FBI przeszukali dom na Florydzie. Jak się okazało, przetrzymywał tam – jak twierdzi FBI, bezprawnie – tajne dokumenty z czasów swego urzędowania.

Wokół Trumpa zaciska się też inna pętla: grożą mu zarzuty o utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, a także o oszustwa finansowe. Pod koniec września nastąpił bowiem przełom w śledztwie dotyczącym jego rodzinnego imperium deweloperskiego Trump Organization. Byłego prezydenta i troje jego dzieci – Ivankę, Donalda Jr. i Erica – oskarżono o zawyżanie cen nieruchomości w celu otrzymania korzystnych pożyczek; jednocześnie mieli zaniżać te wartości w dokumentach dla fiskusa.

W sprawie Trumpa toczy się też śledztwo Departamentu Sprawiedliwości i specjalnej komisji w Kongresie – pod lupą jest jego współudział w szturmie na Kapitol i próbie podważenia wyniku wyborów z 2020 r.

„Obudziliście giganta"

Prawne kłopoty Trumpa sprawiają, że to on, a nie urzędujący prezydent, skupia na sobie w większym stopniu uwagę opinii publicznej. Jak wynika z danych cytowanych przez CNN, przez miesiąc od rewizji FBI aż 60 proc. zapytań internautów dotyczących byłych lub obecnych przywódców USA dotyczyło Trumpa. To absolutny precedens – przykładowo na tym etapie kadencji Obama był obiektem aż 90 proc. zapytań w sieci, a jego poprzednik Bush zaledwie 10 proc.

Donald Trump sam pcha się na nagłówki gazet. Dwa dni po tym, jak Biden nazwał jego zwolenników „półfaszystami", były prezydent wyzwał go od wrogów publicznych, powtarzał tezę o rzekomo skradzionych wyborach w 2020 r. i oznajmił, że śledczy FBI są „bezlitosnymi potworami".

„To jeden z najbardziej szokujących przypadków nadużycia władzy w amerykańskiej historii. Najechano nie tylko na mój dom, ale także na nadzieje i marzenia każdego obywatela, dla którego walczyłem od momentu ogłoszenia w 2015 r. mojego startu w kampanii prezydenckiej" – wołał Trump na wiecu w Pensylwanii. Zamiast skupić się na poparciu dla tamtejszych republikańskich kandydatów, mówił głównie o sobie.

Podobnie było na spotkaniu z wyborcami w Youngstown w stanie Ohio, gdzie rozegra się jedna z decydujących bitew w walce o kontrolę nad Senatem. Dużą część wiecu Trump poświęcił na rozliczanie politycznych oponentów i na tyrady o nalocie FBI. „Ci złodzieje i tyrani ↦

PIERRE CROM / GETTY IMAGES

Donald Trump na spotkaniu z sympatykami, członkami National Golf Club, w miasteczku Bedminster w stanie New Jersey, 29 lipca 2022 r.

↦ atakujący ruch Make America Great Again nie zdają sobie sprawy, że obudzili właśnie śpiącego giganta" – grzmiał rozwścieczony.

Jego słowa przypominały tamto agresywne wystąpienie, które zaserwował swoim zwolennikom przed atakiem na Kapitol. Konserwatywny prawnik George Conway przekonywał w CNN, że przedstawiając w ten sposób siebie w roli ofiary, Trump po raz kolejny może skłonić wiernych fanów do przemocy. Były prezydent zaczyna nawet grozić: podczas wywiadu dla konserwatywnego radiowca Hugh Hewitta wypalił, że w przypadku postawienia go w stan oskarżenia Stany czekają „poważne problemy", jakich nikt jeszcze nie widział.

Zemsta na nielojalnych

Republikanie już wcześniej obawiali się, że zbyt mocne zaangażowanie Trumpa w ich kampanię może utrudnić im pozyskanie wyborców umiarkowanych. Tym bardziej że były prezydent robi, co zechce, i sam wprasza się na wiece.

Tak było w Ohio, gdzie – rozwścieczony brakiem zaproszenia ze strony sztabu miejscowego kandydata Jamesa Davida Vance'a – upokorzył go na jego własnym wiecu. „Łasi się do mnie, tak bardzo potrzebuje mojego poparcia" – kpił Trump, który wciąż ma silną pozycję w Partii Republikańskiej. Szacuje się, że aż 92 proc. popartych przez niego kandydatów wygrało prawybory, będące przepustką do listopadowej walki o miejsca w Kongresie. Większość wybrańców Trumpa to lojalni mu politycy, rozsiewający kłamstwa na temat „skradzionych" wyborów w 2020 r. Niektórzy z nich głosowali w Kongresie przeciw formalnemu zatwierdzeniu zwycięstwa Bidena.

Na liście faworytów Trumpa znaleźli się też polityczni nowicjusze, jak lekarz-celebryta z Pensylwanii Mehmet Öz, były piłkarz Bo Hines, 25-letnia była urzędniczka w Białym Domu Karoline Leavitt czy prawniczka z Wyoming Harriet Hageman. Ta ostatnia wygrały prawybory z kongresmenką Liz Cheney, która w oczach Trumpa zdradziła go, głosując za jego impeachmentem i zasiadając w komisji badającej okoliczności szturmu na Kapitol.

Wysoką cenę za brak lojalności wobec Trumpa zapłacili też kongresmeni Tom Rice, Jaime Herrera Beutler i Peter Meijer. Ten ostatni przegrał republikańskie prawybory z programistą Johnem Gibbsem, który głosi teorię, jakoby dawny szef kampanii Hillary Clinton był satanistą.

Wesprzeć, aby pokonać

Takich politycznych skrajności jest więcej. Republikańskie prawybory do Senatu w New Hampshire wygrał były wojskowy Don Bolduc, który przekonuje, że szczepionki na covid zawierają mikrochipy. Z kolei kandydat na gubernatora Illinois Darren Bailey głosi, że aborcja jest gorsza od Holokaustu, a Dan Cox z Maryland porównuje nalot FBI na dom Trumpa do działalności Stasi, tajnej policji z czasów komunistycznych Niemiec Wschodnich.

Co ciekawe, wszyscy ci kandydaci zwyciężyli prawybory także dzięki wsparciu... Partii Demokratycznej. Demokraci, którzy wydali na ten cel co najmniej 44 mln dolarów, kierują się przewrotną logiką: że im bardziej kontrowersyjni będą ich republikańscy rywale, tym łatwiej będzie ich pokonać w dniu listopadowych wyborów.

Demokraci liczą po cichu na powtórkę scenariusza z 2012 r., gdy ich ówczesna kandydatka do Senatu Claire McCaskill sekretnie wspierała w republikańskich prawyborach kampanię kontrowersyjnego oponenta Todda Akina. Jej strategia przyniosła zamierzony efekt: Akin sam siebie pogrążył, mówiąc w jednym z wywiadów, że „jeśli dochodzi do gwałtu, kobieta ma swoje sposoby, by do niego nie dopuścić". Ostatecznie przegrał z McCaskill, zdobywając zaledwie 39 proc. głosów.

Aborcja w kampanii

Takiego scenariusza obawiają się dziś ci republikańscy politycy, którzy w czerwcu świętowali wyrok Sądu Najwyższego znoszący federalne prawo do aborcji. Ich ówczesny triumf wywołał mobilizację wyborców liberalnych, zwłaszcza kobiet. Szacuje się, że miesiąc po tym orzeczeniu w kluczowych dla wyborów stanach – m.in. Ohio, Pensylwanii czy Florydzie – kobiety stanowiły już średnio 55 proc. nowo zarejestrowanych wyborców.

To strach przed aborcyjnymi restrykcjami sprawia, że coraz więcej konserwatywnych Amerykanek rejestruje się jako wyborczynie Partii Demokratycznej. Np. po czerwcowym wyroku Sądu Najwyższego liczba kobiet zarejestrowanych jako Demokratki wzrosła w Pensylwanii z 46 do 62 proc. Obawiają się one zwycięstwa republikańskiego kandydata na gubernatora Douga Mastriano. Napisał on projekt ustawy zakazującej aborcji od momentu wykrycia bicia serca płodu, także w przypadku ciąży będącej wynikiem gwałtu i kazirodztwa.

To, że konserwatywna Ameryka nie jest gotowa na tak daleko idące restrykcje, pokazał przypadek Kansas. W sierpniu większością głosów – 59 do 41 proc. – mieszkańcy tego stanu nie zgodzili się na wykreślenie ze stanowej konstytucji zapisu o prawie do aborcji. Podobne referenda odbędą się 8 listopada w Montanie i Kentucky. Z kolei mieszkańcy Vermont, Kalifornii i Michigan zdecydują, czy chcą zawarcia w stanowej konstytucji przepisów gwarantujących prawo do przerywania ciąży.

Dylemat Republikanów

Aborcja stała się tak gorącą kwestią, że na reklamy telewizyjne na ten temat Demokraci wydali już 124 mln dolarów – dwadzieścia razy więcej niż w wyborach „połówkowych" w 2018 r. Najwięcej w swojej historii, bo aż 50 mln, planuje wydać na kampanię Demokratów Planned Parenthood – organizacja, która w swoich klinikach przeprowadza aborcje.

Z kolei im bliżej wyborów, tym politycy Partii Republikańskiej ostrożniej wypowiadają się na ten temat. Wielu wycofuje się z poparcia dla restrykcyjnych przepisów w rodzimych stanach i dystansuje się od kolegi, senatora Lindseya Grahama, postulującego zakazanie w całym kraju aborcji po 15. tygodniu ciąży. Krok w tył robi nawet lider Republikanów w Senacie Mitch McConnell, który konsekwentnie walczył o zaostrzenie prawa aborcyjnego.

Simon Rosenberg, zajmujący się polityczną strategią, przekonuje w rozmowie z dziennikiem „Financial Times", że temat aborcji uwypuklił rozłam w Partii Republikańskiej. Podczas gdy wytrawni politycy, jak McConnell, skupiają się na słabym punkcie Bidena, czyli inflacji i gospodarce, zwolennicy ruchu MAGA wciąż eksponują temat aborcji.

Wiceprezydentka ma gości

Tematem łączącym obie republikańskie frakcje jest kryzys na granicy USA–Meksyk, gdzie od początku roku zatrzymano rekordowe ponad 2 mln migrantów. W krążących po sieci filmach Republikanie straszą „inwazją na Amerykę" i przekonują, że „dzikie hordy" nakręcają przemyt narkotyków i przestępczość.

> Podczas gdy Amerykanów najbardziej martwi wysoka inflacja, Biden obawia się, że listopadowe wybory **staną się referendum nad jego rządami.**

Republikanie atakują przy tym Bidena, sugerując, że stosuje politykę „otwartych drzwi" i rzekomo chce ściągnąć do Stanów 20 mln nielegalnych imigrantów. Na finiszu kampanii emocje sięgają zenitu za sprawą gubernatorów Teksasu, Arizony i Florydy, którzy wysyłają autobusy z imigrantami do rządzonych przez Demokratów miast: Nowego Jorku, Chicago i Waszyngtonu.

Do stolicy, gdzie jeden z takich transportów dotarł pod dom wiceprezydentki Kamali Harris, napłynęły już tysiące imigrantów, co skłoniło władze miasta do ogłoszenia stanu zagrożenia zdrowia publicznego. „New York Times" ocenia, że po raz pierwszy od czerwcowego wyroku Sądu Najwyższego to właśnie temat migracji i gospodarki dominuje w sieci wśród internautów.

Mobilizacja i determinacja

Na niespełna miesiąc przed wyborami „połówkowymi" nie brakuje głosów, iż ośrodki sondażowe po raz kolejny nie doszacowały elektoratu Republikanów, i że Demokraci nie mają pewnej wygranej w wyścigu do Senatu. A gra toczy się o wysoką stawkę: wystarczy utrata jednego miejsca w stuosobowej izbie, aby Republikanie uzyskali większość.

To sprawia, że na kampanie w dziesięciu najbardziej gorących okręgach senackich obie partie wydały już ponad 850 mln dolarów. Mobilizacja panuje też wśród elektoratu: z danych cytowanych przez „Washington Post" wynika, że pójście do urn 8 listopada deklaruje trzech na czterech zwolenników Demokratów i ośmiu na dziesięciu sympatyków Republikanów.

Determinacja jest duża, bo Amerykanie co do jednego są zgodni: aż 69 proc. zwolenników obu partii uważa, że amerykańska demokracja jest zagrożona. Tylko przyczyną widzą gdzie indziej: o ile liberałowie o erozję państwa oskarżają Trumpa i jego zaplecze, o tyle druga strona winą za to obarcza Bidena i „socjalistycznych" Demokratów. Pogłębiająca się polaryzacja i lata obecności Trumpa w polityce zrobiły swoje.

© MARTA ZDZIEBORSKA

„TYGODNIK" NA KONFERENCJI SEKSON

TYGODNIK POWSZECHNY
ciało się udało
UPRAWIA SPORT I JE, PRZEŻYWA ROZKOSZ
I PRACUJE, MENSTRUUJE I RODZI,
ŚNI I MEDYTUJE, JEST ROZBIERANE I UBIERANE,
STARZEJE SIĘ, UMIERA
I MARZY O NIEŚMIERTELNOŚCI...
ODKRYJCIE FENOMEN LUDZKIEJ CIELESNOŚCI

W weekend 15-16 października już po raz czwarty odbędzie się konferencja poświęcona seksualności i rodzicielstwu osób z niepełnosprawnością ruchową Sekson. Tematem przewodnim będą ciało i cielesność.

W niedzielę w panelu *Media a reprezentacja osób z niepełnosprawnościami* o godz. 12.30 udział weźmie Ewelina Burda, autorka m.in. tekstu „I niech mówią, co chcą" – powszech.net/lovestory, przedstawiająca historię Wojtka Sawickiego i Agaty Tomaszewskiej. Czy media mogą być szansą dla równościowej, niedyskryminującej reprezentacji osób z niepełnosprawnościami?

Zapraszamy do udziału zdalnego w tym i innych panelach bogatego programu konferencji – streaming będzie dostępny na profilu facebookowym Projektu Sekson i Fundacji Avalon, YouTube Fundacji Avalon i za pośrednictwem www.sekson.pl.

Organizator: fundacja avalon, avalon sekson

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dwie Brazylie

DOMA MATEJKO

Wiele musiało się stać, aby ten kraj aż tak się podzielił. Przed drugą turą wyborów prezydenckich historia, zawiść i frustracje wypływają na powierzchnię.

Każdy naród ma swojego zbawiciela. Brazylia ma ich dwóch. Obaj zbawiają na swój sposób, powołują odmienną grupę wiernych, zapewniają, że jeszcze będzie dobrze. Mimo to do raju jest jeszcze wszystkim bardzo daleko.

W niedzielę 2 października odbyła się tu pierwsza tura wyborów prezydenckich, uważanych za jedne z ważniejszych w tym roku w skali globalnej. Choć powinniśmy się już przyzwyczaić do faktu, że skrajne antagonizmy i polaryzacja społeczeństwa są dziś normą, to Brazylijczycy głosują tak, że można odnieść wrażenie, iż Brazylie są dwie, a między nimi widnieje przepaść i nic więcej.

Sondaże wskazywały na zwycięstwo kandydata lewicy. Lula da Silva, który już dwukrotnie był prezydentem, miał zdobyć ponad 50 proc. głosów i to by wystarczyło, aby pierwsza tura rozstrzygnęła o dalszym losie Brazylii. Ale tak się nie stało. Brazylijczyków czekają teraz dni pełne napięć i rodzinnych kłótni, które zakończą się – szczęśliwie tylko dla niektórych – w niedzielę 30 października, kiedy to Lula da Silva, który zdobył w pierwszej turze prawie 48 proc. głosów, stanie do walki z aktualnym prezydentem, reprezentantem skrajnej prawicy Jairem Bolsonaro, którego wskazało prawie 44 proc. głosujących.

METALURG OPOZYCJONISTA | Można by sprawę uprościć. Powiedzieć, że Brazylia przechodzi przez kryzys gospodarczy, wiele osób głoduje, a obecny prezydent z aspiracjami na reelekcję zyskał światowy rozgłos nie tylko ze względu na sprawowaną funkcję, ale też charyzmę graniczącą z arogancją. Jednak żeby zrozumieć, jak to możliwe, że Lula (przez przeciwników zwany komunistą) i Bolsonaro (którego oponenci uważają za faszystę) mają niemal równe szanse na ponowną prezydenturę, należy cofnąć się do roku 1970.

W kraju od sześciu lat panuje wtedy dyktatura wojskowa. Dochodzi do masowych naruszeń praw człowieka. Wolność prasy nie istnieje, jakakolwiek opozycja polityczna też nie. Chociaż z pozoru nie dzieje się źle. Brazylijski reżim wspierany jest przez Stany Zjednoczone, które czuwają nad rozwojem neoliberalizmu gospodarczego, co skutkuje tzw. „brazylijskim cudem gospodarczym". PKB rośnie, a reprezentacja piłki nożnej, której mocno kibicuje dyktator Emílio Médici, wygrywa mundial, co na chwilę poprawia nastroje.

Lula da Silva, rocznik 1945, z zawodu metalurg, wstępuje do związków zawodowych i szybko staje się przywódcą ruchu robotniczego. W 1979 r. przewodzi jednym z największych strajków w kraju. Rok później współtworzy Partię Pracy, Partido dos Trabalhadores, w skrócie PT.

Lula da Silva słucha potrzeb ludzi, ma z nimi bezpośredni kontakt, każe do siebie mówić „Lula". To jednak nie wystarczy, żeby po upadku dyktatury w 1985 r. to on przejął rządy w Brazylii. Będzie startował jako kandydat na prezydenta trzy razy. Uda mu się dopiero w 2003 r. Wielu przyzna, że warto było czekać. W czasie swoich dwóch kadencji Lula zmienił oblicze kraju.

NOWA FALA | Lula wiedział, jakiej demokracji chcą Brazylijczycy. On był demokracją. Podczas jego prezydentury 7 mln ludzi weszło tu do klasy średniej, 36 mln wyszło ze skrajnej biedy, a rząd stworzył 22 mln nowych miejsc pracy. Wskaźnik bezrobocia był najniższy w historii. Najbiedniejsze rodziny dostawały zapomogę finansową w ramach programu Bolsa Família. Potroiła się liczba osób ciemnoskórych uczęszczających na uniwersytety. To wszystko w kraju, gdzie podziały klasowe i rasowe były wpisane w jego tożsamość od zawsze. Brazylia jako ostatnie państwo na kontynencie zniosła niewolnictwo, dopiero w 1888 r.

Lula zrobił wszystko, żeby zburzyć podziały lub przynajmniej je rozmazać, a zmiany odczuł każdy. Brazylia zaczęła się liczyć na arenie międzynarodowej, stając się siódmą największą gospodarką świata – i to w czasie światowego kryzysu w 2008 r.

Podczas swojej drugiej kadencji miał 80-procentowe poparcie społeczne. Nigdy nikomu, kto kiedykolwiek sprawował urząd prezydenta, nie udało się tak zjednać społeczeństwa. Był najpopularniejszym przywódcą nie tylko w Brazylii, ale też na świecie. Tak przynajmniej twierdził Barack Obama.

Gdyby wtedy mógł sprawować władzę przez trzy kadencje z rzędu, z pewnością zapewniłby sobie kolejną reelekcję. W 2011 r. urząd prezydencki przejęła jego partyjna koleżanka Dilma Rousseff. I to był początek końca Brazylii, jaką do tej pory znali jej mieszkańcy.

DWADZIEŚCIA CENTÓW | Dwadzieścia centów, niezależnie od waluty, wydaje się drobną kwotą. Są tacy, którzy nie schyliliby się po monetę tej wartości, gdyby im upadła. Ale to właśnie 20 centów zadecydowało, że tamtego 20 czerwca 2013 r. w Brazylii zaczęła się rewolucja, zwiastująca wielki koniec brazylijskiej lewicy. Gdy w Rio de Janeiro bilety autobusowe podrożały z 2,85 do 3,05 reali, ludzie wyszli na ulicę. Zaczęły się największe manifestacje w historii Brazylii, które swoim zasięgiem objęły cały kraj.

Legendarne 20 centów to był oczywiście tylko pretekst i kropla, która przelała szalę goryczy. Manifestanci, w tym ogromna grupa ludzi młodych, protestowali przeciw wszechobecnej przemocy i nadużyciom korporacji. Brazylijczycy protestowali również przeciwko przygotowaniom do mistrzostw świata w piłce nożnej, które miały się odbyć za rok, i igrzyskom olimpijskim w Rio w 2016 r. Policja bowiem brutalnie rozpędziła mieszkańców wielu wsi i faweli, dzielnic biedy, żeby na ich terytorium mogła powstać, niezbędna w oczach władz, infrastruktura.

Popularność prezydentki Dilmy spadła, mimo że kilka tygodni wcześniej dorównywała Luli z końca jego drugiej kadencji. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść. Podobnie jak w przypadku 20 centów, tak i największa afera korupcyjna na kontynencie zaczęła się niewinnie – od stacji benzynowej i myjni w Bra-

VICTOR R. CAIVANO / AP / EAST NEWS

Lula da Silva wśród sympatyków. São Paulo, 1 października 2022 r.

sílii, na której mało kto mył samochód, ale wszyscy prali brudne pieniądze.

MYJNIA PIENIĘDZY | To była lawina. Prokuratorzy odkryli, że od jednego do trzech procent zysku z każdego wielomilionowego kontraktu między państwowym koncernem naftowym Petrobras a firmami budowlanymi trafiało do kieszeni polityków, głównie tych z partii Luli. Teraz zbawicielem narodu nie był już Lula, lecz Sergio Moro – sędzia, który rozpoczął śledztwo i nagłośnił sprawę. To on był na okładkach wszystkich gazet i to on nawoływał do społecznego sprzeciwu.

Ludzie znowu wyszli na ulice, domagając się rozprawy ze skorumpowanymi politykami. Łącznie na karę więzienia skazano 174 osoby. Największą jednak konsekwencją afery zwanej „*Lava Jato*" („Myjnia Samochodowa") było usunięcie Dilmy Rousseff z fotela prezydenckiego oraz skazanie Luli na 8 lat i 10 miesięcy pozbawienia wolności pod zarzutem otrzymania mieszkania jako łapówki od firmy budowlanej OAS.

W 2019 r. Sąd Najwyższy orzekł, że wyrok był nieprawomocny, i Lula wyszedł na wolność po kilkunastu miesiącach spędzonych w więzieniu. Ale wielu Brazylijczyków poczuło się oszukanych i opuszczonych. Jair Bolsonaro wybrał najlepszy moment, żeby tę pustkę po stracie Luli zapełnić. W 2018 r. wygrał wybory.

– Bolsonaro zjednał sobie trzy potężne grupy: ewangelików, konserwatystów i tych o poglądach neoliberalnych – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" jedna z najbardziej uznanych brazylijskich antropolożek, Rosana Pinheiro-Machado. Podkreśla, że popularność Bolsonaro, która przerodziła się w ruch społeczny zwany bolsonaryzmem, zmieniła całkowicie oblicze społeczeństwa.

Pinheiro-Machado: – Bolsonaryzm to ruch indywidualistów i polityka oparta na gniewie tych, którzy chowali w sobie frustrację, bo do tej pory wszystko, ich zdaniem, było dla biednych.

W dużej mierze, jak twierdzi antropolożka, bolsonaryzm to ruch ludzi młodych, którzy są zbyt młodzi, żeby pamiętać czasy dyktatury, a za prezydentury Luli byli jeszcze dziećmi.

GWIAZDA BOLSONARO | Urzędujący dziś prezydent był kiedyś wojskowym, jest politykiem, ale mógłby być też gwiazdą rocka.

– Media społecznościowe były zdominowane przez zwolenników Bolsonaro. Pastorzy Kościoła ewangelickiego, którzy mówią, że zarówno Lula, jak i jego wyborcy trafią do piekła, są jednymi z najbardziej znanych w internecie osób – mówi Pinheiro-Machado.

„Brazylia, Bóg i rodzina" – powtarzał przy wielu okazjach Bolsonaro, czym zjednał sobie dużą część wyznawców charyzmatycznych odłamów Kościoła ewangelickiego, który w Brazylii zatacza coraz większe kręgi. Głosowali na niego również ci, którzy podzielają z nim tęsknotę za dawnym reżimem wojskowym. W czasach dyktatury wszystko było jasno nazwane, granice mocno zarysowane, nie było miejsca na wątpliwości ani czasu na szukanie własnej tożsamości.

Świat Bolsonaro jest czarno-biały. Luiz Javornik, mieszkaniec São Paulo, opowiada, że ostatnie lata rządów Bolsonaro mocno odcisnęły się na życiu mieszkańców tego miasta. Na ulicach widać coraz więcej głodujących ludzi. Co na to wyborcy Bolsonaro?

– Kuzyni od strony mojego taty głosują na Bolsonaro. To ludzie oderwani od rzeczywistości – mówi Javornik. – Żyją w mniejszych miejscowościach, w swoim świecie. Nie widzą biedy, nie widzą ludzi na ulicach. Według nich wszystko jest w porządku.

NIEPEWNOŚĆ GWARANTOWANA | W czasie naszej rozmowy poprzez komunikator Luiz siedzi w kawiarni w São Paulo. Pokazuje palcami gest „L", który oznacza Lulę. Przechodząca obok kobieta odpowiada tym samym gestem.

– Na Lulę w dużej mierze będą głosować kobiety, które mają dość mizoginicznych wypowiedzi Bolsonaro – mówi Pinheiro-Machado.

Elektorat Luli to także ci, którzy chcą walczyć o ochronę Amazonii. Tylko w ciągu jednego roku, 2020/21, wycięto obszar Puszczy Amazońskiej o powierzchni odpowiadającej 25 Warszawom. To najgorszy wynik od 15 lat.

Javornik i Pinheiro-Machado – podobnie jak wielu Brazylijczyków – wierzą, że wygra Lula. Jednak wyborcy Bolsonaro, którzy bronią swoich jedynie słusznych wartości i walki z korupcją, też mobilizują siły.

Skrajne wizje świata, gospodarki i społeczeństwa, jakie reprezentują Lula i Bolsonaro, sprawiają, że wybór każdego z nich zdecyduje o zupełnie innej przyszłości kraju.

Brazylia trwa w niepewności. ©

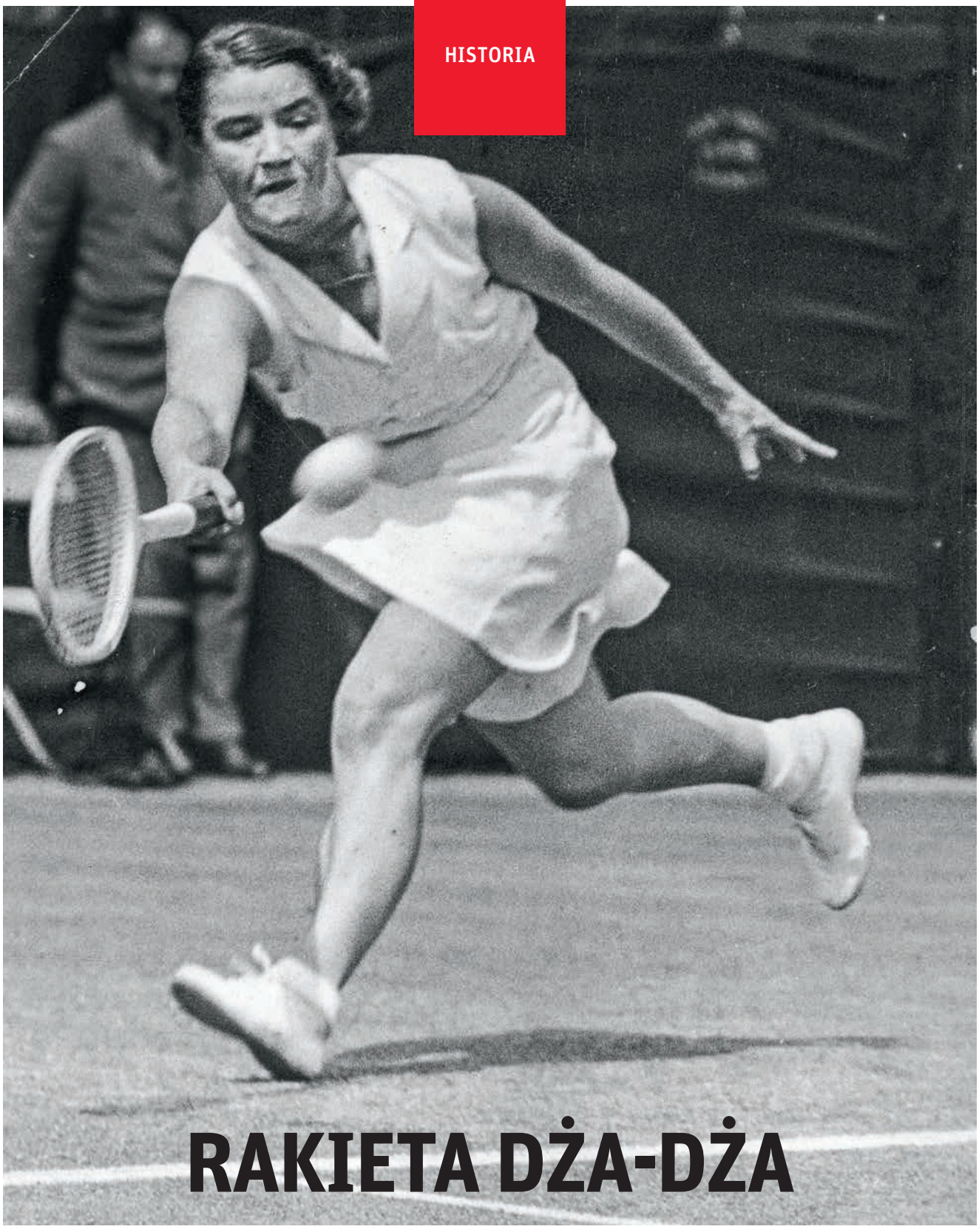

NAC

RAKIETA DŻA-DŻA

Dziewczyna z robotniczej rodziny, talentem i uporem podbiła snobistyczny świat tenisa: Jadwiga Jędrzejowska, najwybitniejsza polska zawodniczka lat międzywojennych.

EWELINA BURDA

Często będzie mówić, że urodziła się na korcie. Nie będzie w tym wcale dużo przesady – z okien rodzinnego domu w Krakowie widać korty Akademickiego Związku Sportowego. W ciepłych miesiącach niesie się z nich miarowy dźwięk odbijanych piłek. Po latach wspomni, że stanie się on dla niej „zewem kortu".

Jadzia od piłek

Na świat przychodzi 110 lat temu, 15 października 1912 r. Jest dzieckiem wysportowanym i rezolutnym. Ma okrągłą pogodną twarz z dołeczkiem w brodzie. Włosy nosi krótkie, falowane kosmyki sięgają do ucha.

Ojciec pracuje jako robotnik w zakładzie oczyszczania miasta, matka zajmuje się czwórką dzieci – prócz Jadzi to Stasiek, Józek i Zosia. Rodzina żyje skromnie. 10-letnia Jadzia proponuje: pójdę na korty podawać piłki. Słyszała, że dzieci dostają za to drobne pieniądze. Udaje jej się przekonać do pomysłu matkę.

„Robię to z ogromnym zapałem; od rana do wieczora uwijam się po korcie i z każdym dniem staję się szybsza" – napisze we wspomnieniach. Ubrane w jasne kolory, eleganckie towarzystwo fascynuje ją. Z przejęciem przypatruje się, jak eleganckie panny z dobrych domów odbijają piłkę; poznaje zasady gry.

Pierwszą rakietę tenisową dostaje od ojca – własnoręcznie ją dla niej wystrugał. „Idąc spać, wkładam ją pod poduszkę, tak jak inne dziewczynki ukochaną lalkę" – napisze. Na parkowych alejkach trenuje grę z kolegami. Nie są zadowoleni, bo ogrywa ich bez mrugnięcia okiem.

Jej zwinność i tempo, w jakim uwija się na kortach, nie przechodzą niezauważone: Jadzia zaczyna się sprawdzać jako sparingpartnerka graczy. Na krakowskich kortach królują wówczas Wanda Dubieńska (najlepsza polska zawodniczka lat 20.) i Maria Boniecka. Gdy Jadzia dostaje zgodę, by trochę pograć, patrzą na jej ruchy zniesmaczone. Pogardliwie nazywają „dziewczyną od podnoszenia piłek".

Gdy pada pomysł, by 13-letnia Jadwiga została członkinią sekcji tenisowej AZS, część towarzystwa oburza jej ubogie pochodzenie. Przeciw głosuje także Dubieńska, stanowczo odmawia grania z kimś takim. Jednak bezskutecznie.

Przyjęta do AZS, Jadzia szybko robi postępy w technice i sile uderzenia. Wyróżnia się pracowitością. A także specyficznym zagraniem z forhendu, na które oburza się wielu ówczesnych znawców, nazywając je błędnym.

Tenisa nie porzucę

Do pierwszych mistrzostw Polski zostaje dopuszczona w 1927 r. Ma piętnaście lat, rywalizować będzie z dużo starszymi i doświadczonymi zawodniczkami (nie istnieje wówczas oddzielna konkurencja dla juniorów).

Na zawody wymagany jest biały strój: elegancka bluzka, spódniczka z falbanami i koniecznie długie pończochy – wyjście na kort bez nich to złamanie obyczajów. Jadwigi nie stać na taki wydatek. Szczęście się do niej uśmiecha: kostium tenisowy funduje klub.

Szczęścia nie ma jednak w losowaniu: w pierwszej rundzie musi zmierzyć się z Dubieńską. Porażka jest bolesna. Na duchu Jadwigę podnosi rywalizacja w deblu: tam wraz z tenisistką Godlewską zostają mistrzyniami Polski, pokonując siostry Richterówny.

W nagrodę za te mistrzostwa otrzymuje złoty zegarek. Z dumą pokazuje go rodzicom. A oni... studzą jej zapał i sugerują, że pora zabrać się do jakiejś solidnej pracy. „Zrobiło mi się przykro. Wiedziałam jednak, że tenisa już nigdy nie porzucę. Stał się moim żywiołem".

Ale słowa rodziców weźmie do serca. Jest pilną uczennicą, uczęszcza do szkoły ekonomiczno-handlowej (na krótki moment zostanie z niej wyrzucona; zakazane było wówczas, by należeć do klubów sportowych i jednocześnie się uczyć).

Latem pracuje z robotnikami przy porządkowaniu kortów; z rówieśnikami czyta książkę o tenisie René Lacoste'a. Studiuje porady: próbuje udoskonalić swoje uderzenia. Marzy o trenerze i zdobyciu singlowego mistrzostwa Polski. I o równym traktowaniu: „Zażarcie musiałam walczyć, aby przełamać zapory snobizmu, samolubstwa i przesądów tak zwanych »wyższych sfer«".

Takich drajwów nikt nie ma

Coraz więcej podróżuje po Polsce. Jedzie na turniej do Zakopanego – po raz pierwszy widzi wtedy góry.

Po jednych z kolejnych mistrzostw Polski jej sukces odnotuje „Przegląd Sportowy": „Jadwiga Jędrzejowska stała się rewelacją tegorocznych mistrzostw, takich drajwów chyba nikt w Polsce nie ma. A zaciętość, a talent! Dziewczyna zupełnie instynktownie wyczuwa każdą piłkę i plasuje instynktownie, wszystko to u niej wrodzone".

Sezon roku 1929 przyniesie spełnienie marzenia: Jadwiga po raz pierwszy zostanie mistrzynią Polski w singlu (w finale pokonuje Poradowską 6:1 i 6:2). Od tej pory do roku 1953 nie odda tego tytułu. A nawet więcej: w finałowych starciach nie straci nawet seta.

Drugie jej marzenie spełni się w 1930 r., kiedy w finale mistrzostw Polski pokona na korcie patrzącą na nią przez lata z wyższością Wandę Dubieńską.

Pilnie uczy się do matury, którą, przez wyjazdy, zdaje eksternistycznie. Gdy w gazetach napiszą, że to „matura za osiągnięcia sportowe", będzie rozgoryczona.

A zagranicznych wyjazdów jest coraz więcej: Budapeszt, Helsinki, Paryż. O tym ostatnim napisze, że „wobec tylu tenisowych sław poczułam się kopciuszkiem kortów paryskich".

„Mister G" i wielki świat

Zimne miesiące są wtedy dla tenisistów w Polsce sezonem martwym. Popularne jest grywanie w tym czasie na Riwierze Francuskiej. Jędrzejowska po raz pierwszy jedzie na turnus w lutym 1932 r. Czuje się tam świetnie, zachłannie czerpie z gry.

Nastroje na Riwierze sprzyjają kontaktom towarzyskim. Jadwiga zaprzyjaźnia się z wybitnym lekkoatletą Januszem Kusocińskim, który imponuje jej zaciętością, z jaką trenuje do olimpiady.

Po drugiej stronie siatki Jędrzejowska trafi tam na niecodziennego partnera: pod tajemniczym pseudonimem „Mister G" ukrywać się będzie król Szwecji Gustaw V. „Traktowaliśmy tego starszego, niezwykle miłego pana jako dobrego kolegę, a nie koronowaną głowę" – wspomni. W archiwach zostanie zdjęcie: Jadwiga i król, w eleganckich tenisowych strojach z kołnierzykami, z drewnianymi rakietami w rękach, pozują ramię w ramię na korcie.

Turniejowe tournée trwa: Berlin, Londyn, Dublin. Lecz Jadwiga coraz więcej myśli o podjęciu pracy zarobkowej: „Gdy tak rozmyślałam o mojej przyszłości, ↦

Jadwiga Jędrzejowska podczas Wimbledonu w 1937 r.

↦ zjawił się w Krakowie jeden z warszawskich działaczy i przedłożył mi konkretne propozycje, abym się przeniosła do Warszawy i została zawodniczką Legii. Klub ten posiadał własne korty, przejawiał dużo ruchliwości i inicjatywy, organizując wiele spotkań międzynarodowych. Legii zależało bardzo, abym grywała w jej barwach. (...). Obiecano mi mieszkanie i posadę w przedstawicielstwie firmy Dunlop. Podczas zimy praca w biurze, ale w sezonie mogę dowoli grywać w tenisa, pod warunkiem jednak... używania tylko rakiet Dunlopa".

Później Jadwidze uda się wywalczyć możliwość grania najcięższą rakietą dla kobiet: białym slazengerem.

Do rodzinnego Krakowa już nie wróci, żegnać będzie ją matka ze łzami w oczach. Wkrótce zniknie też rodzinny kąt. „Tam, gdzie stał nasz dom i znajdowały się korty, przebiega dziś ulica" – wspomni po latach.

Wimbledon: zgubne nerwy

Na słynnych trawiastych kortach brytyjskich Jadwiga stanie po raz pierwszy w 1931 r.

„Miałam wrażenie, że gram na puszystym, grubo tkanym dywanie (...). Kiedy jednak znalazłam się na trawie, nie umiałam trafić w piłkę. Zdawało mi się, że gram po raz pierwszy w tenisa" – wspomni. Uczy się jednak, jak zwykle, szybko. Wkrótce szczególnie polubi ten trawiasty szybki tenis. Ale pierwsze występy na Wimbledonie nie przyniosą sukcesów.

Ten największy nadejdzie z początkiem lipca 1937 r. Jadwiga dociera do finału turnieju, pokonując w półfinale Alice Marble. Jej ostatnią przeciwniczką okazuje się Brytyjka Dorothy Round. Mecz jest zacięty: „Gdzieś w głębi mózgu słyszałam dwa głosy, jeden szeptał: Daj spokój, dlaczego tak szarpiesz swoje nerwy (...) zrezygnuj z tej wyczerpującej walki, w której szanse są nierówne. Lecz drugi głos nie dopuszczał do żadnej dyskusji: Wstyd, Jadziu – a gdzież jest twoja sportowa ambicja".

Przegrywa – w trzecim secie ulega Round (wynik na koniec to 2:6, 6:2, 5:7).

Po ostatniej piłce Jadwiga podbiega do siatki uśmiechnięta, gratuluje rywalce. Emocje puszczają w szatni, gdy zostaje sama. Długo płacze. „Co poszło nie tak?" – pyta siebie. „Zgubiły mnie nerwy" – odpowie chwilę później dziennikarzom.

Ale gra w finale Wimbledonu sama w sobie jest sukcesem, przychodzi więc międzynarodowa sława. Amerykańskie media nazywają ją „polską królową siatki" i „latającą Polką". Zyskuje też pseudonim: „Dża-Dża" (od inicjałów imienia i nazwiska). Koleżanki z kortu zwracają się do niej „Dżed". Bezpretensjonalna i pogodna, jest lubiana przez tenisowy świat.

Sukcesy i rozpoznawalność przynoszą też szansę na dobre pieniądze. Dla Jadwigi najważniejsza jest jednak możliwość gry z zawodnikami ze świata. Odmówi wszystkim propozycjom przejścia na zawodowstwo i zarabiania na tenisie.

Pan się nie zna

W tym samym roku 1937 Jadwiga po raz pierwszy wyrusza do USA – otrzymuje zaproszenie od Amerykańskiej Federacji Tenisowej. „Do Nowego Jorku popłynęłam na Queen Mary. Był to olbrzymi okręt przypominający pływające miasto (...). Mogłam również trenować, gdyż na jednym z pokładów znajdował się kort tenisowy".

W mistrzostwach USA znów osiąga finał i znów przegrywa – tym razem z pochodzącą z Chile Anitą Lizaną, która była wówczas w fantastycznej formie (4:6, 2:6).

Gdy kontuzjowana Jadwiga (uderzyła dużym palcem u nogi o drzwi w pociągu w drodze do Los Angeles) ogląda jeden z meczy na amerykańskich kortach, nie może znieść wyższościowego komentarza, który dobiega z sąsiedniego rzędu. Wdaje się w dyskusję i strofuje komentującego: „Widzę, że pan zupełnie nie zna się na tenisie".

Mężczyzną tym okaże się Charlie Chaplin. Ostra wymiana zdań zaowocuje wieloletnią korespondencyjną przyjaźnią; listy będą wymieniać aż do śmierci aktora.

Siła i spryt

Niewysoka i mocno zbudowana, Jadwiga dba o formę, ale nigdy nie odmawia sobie ciastek. Pogodna, lubi życie towarzyskie: brydża z kolegami tenisistami rozgrywanego na stoliku obok kortu, bale i wieczorne dancingi. Ciągnie ją do papierosów. Potrafi zapalić nawet na chwilę przed ważnym meczem.

Ale to nie przeszkadza jej grać wybitnie. Po jednym z turniejów na kortach trawiastych anglojęzyczna prasa pisze: „Jędrzejowska zademonstrowała tak silny drajw, jakiego dotąd jeszcze Londyn nie oglądał".

O taktyce Jadwigi niektórzy eksperci mówią, że jest zbyt spontaniczna, nie trzyma się planu, a może go w ogóle nie ma. Jako źródła jej sukcesów wskazują na niebywale silne jak na kobietę zagrania z forhendu i czarujące publikę dropszoty, gdy piłka spada tuż za siatką po stronie rywalki. Serwis ma niezbyt silny, ale precyzyjny, piłka odbija się po zagraniu nisko, co utrudnia rywalkom odbicie.

W złotej erze Jędrzejowskiej nie prowadzono skrupulatnie statystyk – sukcesów międzynarodowych na pewno odniosła łącznie kilkadziesiąt. W prowadzonych rankingach uznaniowych była klasyfikowana w pierwszej dziesiątce, ale nie wyżej niż na piątym miejscu. Wszyscy czekali, aż budowany latami sukces znajdzie ukoronowanie w tytule wielkoszlemowym, a Jędrzejowska znajdzie się na szczycie kobiecego tenisa.

Z nagród został popiół

Gdy po raz drugi wyrusza do USA, atmosfera w Europie jest już gęsta. Jadwiga martwi się, czy zdąży wrócić do Polski przed wybuchem wojny. Nie rozważa emigracji.

W maju 1939 r. jak zwykle jedzie do Paryża na mistrzostwa Francji; jest w finale. Jej przeciwniczka Simonne Mathieu wygrywa z nią 3:6, 6:8. Za to w deblu Jadwiga zostaje mistrzynią wielkoszlemową (wraz ze swoją finałową rywalką).

W 1939 r. ma 27 lat. Wojna, która zaraz nadejdzie, odbierze jej najlepsze dla sportowca lata. We wspomnieniach nie napisze o wojennych czasach za wiele. Nazwie te dni „koszmarem" i zda krótką relację o swoich losach.

Na początku wraz z innymi sportowcami, m.in. Kusocińskim, angażuje się w otwieraną w Warszawie przy ul. Jasnej kawiarnię „Gospoda pod Kogutem". Przyciąga ona spragnionych kontaktu ze sobą sportowców, którzy mniej lub bardziej angażują się w działalność konspiracyjną. Miejsce przetrwa do 1940 r.; wtedy Niemcy pojawiają się w nim już za często.

Gdy do domu przy ul. Przemysłowej, gdzie Jadwiga mieszka, przychodzi wezwanie na Gestapo, ogarnia ją paraliżujący strach. Idzie z duszą na ramieniu. Gestapowiec informuje: na prośbę króla Gustawa V, wystosowaną w oficjalnym piśmie, Jadwiga ma wyjechać do Szwecji.

Zaskoczona, kategorycznie odmawia. We wspomnieniach pisze: „Było mi nie-

NAC

Jadwiga Jędrzejowska i król Szwecji Gustaw V, 1936 r.

zmiernie miło, że mój partner z Riwiery »Mister G« pamiętał o mnie i chciał mi przyjść z pomocą. Jednak nie mogłam zdezerterować z ojczyzny i opuścić mych najbliższych".

Odmówi też Niemcom, gdy zachęcają, by grała na kortach III Rzeszy.

W czasie wojny pracuje w warszawskiej fabryce obuwia. Przenosi się na ul. Kielecką. Gdy w sierpniu 1944 r. wybucha powstanie, udaje jej się wydostać z Warszawy. Wraz z grupą dwunastu osób, w tym siostrą Zofią, przez ogródki działkowe na Polu Mokotowskim i Szczęśliwice docierają pod Żyrardów.

Mieszkanie, w którym żyła przed wojną, spłonęło w trakcie powstania. Napisze o nim: „Z licznych a tak dla mnie drogich pamiątek nie pozostało nic. Z setek fotografii i różnego rodzaju zdobytych przeze mnie nagród został tylko popiół". Ocaleje jedna: srebrny medal wimbledoński, który zabrała opuszczając Warszawę.

Już nigdy nie zaznać smaku walki

Gdy kończy się wojna, ma 33 lata i waży nieco ponad 50 kg (przed wojną jej waga wynosiła 75 kg). Przeprowadza się do Bydgoszczy. I z dziecięcą tęsknotą zaczyna myśleć o tenisie. Jest słaba, rakieta ciąży, piłki ją wyprzedzają, ale upór wygrywa. Wraca do formy i na korty: mistrzostwa Polski nie stanowią dla niej większego wyzwania, rywalki nie są w stanie urwać jej często nawet seta.

Wracają zaproszenia na turnieje do Londynu, Paryża. Na Roland Garros w 1947 r. zagra w finale miksta (jej partnerem będzie Rumun Caralulis). Na wimbledońską trawę wróci dwukrotnie – w roku 1946 i 1947 – ale bez większych sukcesów. Bywa na innych turniejach. W szwedzkim Båstad po raz ostatni zobaczy „Mistera G". W latach 50. Jadwiga wyjeżdża też do Związku Sowieckiego, ale plany treningowe kasuje kontuzja.

Zmiany przychodzą w jej prywatnym życiu: w 1946 r. wychodzi za mąż za Alfreda Galerta, działacza sportowego, pracującego w branży obuwniczej. Zamieszkają w Brynowie pod Katowicami, w domku z widokiem na las. Małżeństwo nie potrwa długo, zakończy je śmierć Alfreda. Nie będą mieć dzieci.

Jadwiga zdaje sobie sprawę, że czasy świetności na kortach mijają. Sygnałów od ciała jest coraz więcej: doskwierają jej typowe dla tenisistów bóle w łokciu, gra pojedyncza staje się przytłaczająco męcząca.

Ale jeszcze w 1961 r. zostanie mistrzynią Polski. Ostatni tytuł w kraju Jadwiga Jędrzejowska zdobywa w wieku 54 lat, w deblu. Wszystkich tytułów polskich mistrzostw uzbiera łącznie sześćdziesiąt dwa.

Postanawia zająć się trenowaniem. Nie bez żalu będzie mówić o tym po latach, że nie wychowała wielkiej następczyni.

Z kariery zawodniczej zrezygnuje dopiero w 1968 r. „Zawsze wiedziałam, że taki moment musi nastąpić, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że decyzja będzie tak trudna. Jak to – powtarzałam sobie w duchu – już nigdy nie zaznasz smaku walki?".

Uroczyste pożegnanie odbywa się na kortach Huty Baildon w czasie międzynarodowych mistrzostw Polski. Do końca uroczystości Jadwiga trzyma się dzielnie, jednak łez wzruszenia nie uda jej się powstrzymać. „Ogarnęło mnie dziwne uczucie, jednocześnie wielkiego smutku, ale i radości ze spełnionego obowiązku, gdyż śmiem sądzić, że dobrze przysłużyłam się polskiemu tenisowi" – napisze.

Emerytura nie jest dla niej łaskawa. Pracuje w klubie Baildon jako recepcjonistka kortów. Warunki są ciężkie, zwłaszcza zimą, gdy w wysłużonym płaszczu dyżuruje w niedogrzanym budynku.

Wieloletni nałóg tytoniowy Jadwigi zbierze żniwo: zapada na raka krtani, choroba nie da jej wiele czasu. Gdy umiera 28 lutego 1980 r., ma 67 lat. Zostaje pochowana w rodzinnym mieście na cmentarzu Rakowickim.

Prawdziwie zwycięski finał

Przedwojenne występy Jędrzejowskiej można zobaczyć na krótkich czarno-białych nagraniach.

Oto finał Wimbledonu z 1937 r.: Jadzia uwija się na korcie naprzeciw Dorothy Round. Bluzka z kołnierzykiem odsłania umięśnione ręce, falbaniasta spódniczka nad kolano faluje przy mocnym uderzeniu. Zamaszyście serwując, lewą ręką podtrzymuje duży biust. Wreszcie rozgrywa ostatnie punkty w meczu i żegna się z marzeniem o tytule mistrzowskim.

Dalej: finał turnieju na Wschodnim Wybrzeżu USA, także rok 1937: Jadwiga z impetem pokazuje swoje firmowe silne uderzenia z forhendu.

Ujęcie już po meczu: ubrana w elegancką bluzkę z bufiastymi ramionami, trzyma srebrny medal, nagrodę za wicemistrzostwo. W szerokim uśmiechu prezentuje z lekka krzywe zęby. Nad skronią włosy utrzymuje w ładzie biała kokardka.

Jadzia wolno tłumaczy amerykańskiemu dziennikarzowi, jak przeliterować jej nazwisko. „Jadwiga Ję-drze-jow-ska. Jędrzejowska". Robi to z odrobiną rozbrajającego zawstydzenia, ale i dumą w głosie. Tak jakby bardzo chciała, aby to nazwisko nie zostało zapomniane.

©℗ EWELINA BURDA

Korzystałam ze wspomnień Jadwigi Jędrzejowskiej „Urodziłam się na korcie" w opracowaniu Kazimierza Gryżewskiego i materiałów udostępnianych przez Polski Związek Tenisowy oraz Narodowe Archiwum Cyfrowe.

NOBLE 2022

Historia naszych przodków bywa poplątana, podobnie jak zjawiska zachodzące w mikroświecie. Przynajmniej chemia może być bliska życiu.

Alicja w krainie kwantów

MICHAŁ GIKOWSKI

To Nobel wbrew Einsteinowi. Trójka laureatów udowodniła, że wielki fizyk był w wielkim błędzie, jeśli idzie o zachowanie fundamentalnych cząstek Wszechświata.

„Jestem przekonany, że On nie gra w kości" – pisał Albert Einstein w grudniu 1926 r. w liście do niemieckiego fizyka Maxa Borna. „Ta teoria daje wiele, ale nie przybliża nas do tajemnicy Przedwiecznego".

Einstein komentował w ten sposób kształtującą się wówczas mechanikę kwantową, szkołę fizyki, której założenia często stawały w poprzek einsteinowskiej względności czy wręcz zdrowemu rozsądkowi. Podczas gdy fizyka przed kwantami zawsze polegała na stwierdzaniu twardych faktów i przewidywaniu skutków działań, mechanika kwantowa operowała wyłącznie prawdopodobieństwami: kiedy zrobimy A, wcale nie musimy uzyskać wyniku B.

Choć w pewnych sytuacjach w świecie kwantów jest na pozór odwrotnie: A zawsze wywołuje B, mimo że na pierwszy rzut oka nie ma absolutnie prawa tego robić. Tak właśnie działają tzw. stany splątane: kwantowe efekty, które sprawiają, że dwie cząstki elementarne, choćby znajdowały się tysiące kilometrów od siebie, zawsze zachowują się tak, jakby łączyła je niewidzialna nić. Tego Einstein też nie mógł zaakceptować. Nazwał splątanie kwantowe „upiornym działaniem na odległość". Ku niesmakowi fizyków kwantowych to lekceważące określenie przylgnęło do splątania na długie lata. Ale to oni triumfowali.

To właśnie za eksperymenty ze splątanymi kwantowo fotonami Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki otrzymali w tym roku Alain Aspect (École Polytechnique), John F. Clauser (dawniej Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley) i Anton Zeilinger (Uniwersytet Wiedeński). Wszyscy trzej przeprowadzili przełomowe eksperymenty, które utorowały drogę do nowych technologii nazywanych informatyką kwantową. Dziś dzięki ich pracy jesteśmy o krok od stworzenia niedających się złamać szyfrów, bezpiecznych sieci internetowych czy komputerów kwantowych, które w pewnych zastosowaniach mają być dziesiątki tysięcy razy szybsze od konwencjonalnych.

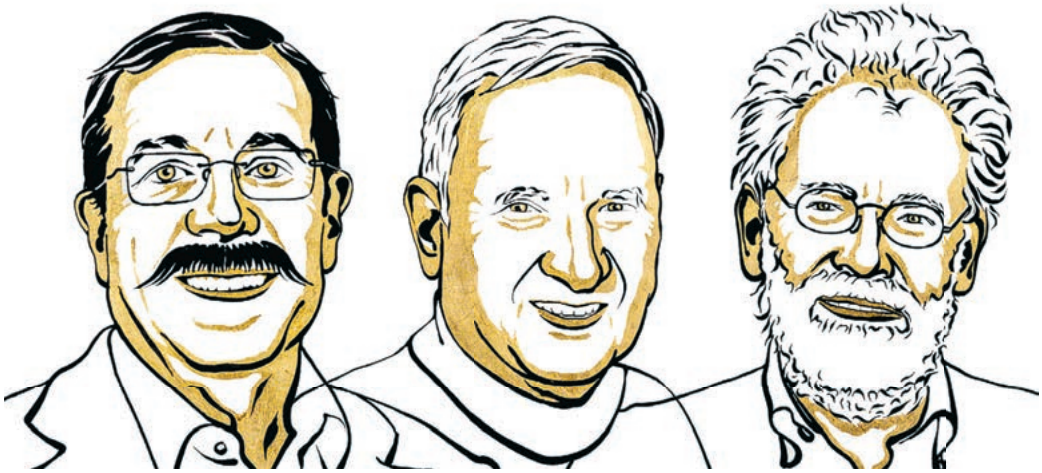

NIKLAS ELMEHED / MATERIAŁY PRASOWE KOMITETU NOBLOWSKIEGO

Nagrodę w dziedzinie fizyki otrzymali: Alain Aspect (Francja), John F. Clauser (USA) i Anton Zeilinger (Austria).

Łamana nierówność

Splątanie działa tak: załóżmy, że mamy urządzenie, które emituje w przeciwnych kierunkach pary splątanych cząstek elementarnych. Te docierają do dwojga badaczy – Alice i Boba, którzy mogą mierzyć ich własności. Jedna z nich, tzw. spin cząsteczki, może przybierać tylko dwie wartości: plus lub minus. Oboje, mierząc spiny docierających do nich cząstek, zobaczą losową serię plusów i minusów. Ale kiedy porównają swoje wyniki, okaże się, że za każdym razem, gdy do Alice dotarła cząstka o spinie dodatnim, Bob mierzył spin ujemny, i odwrotnie. Bez względu na to, jak daleko od siebie się znajdują, wyniki ich pomiarów są ze sobą bezpośrednio powiązane.

Przez wiele dziesięcioleci kluczowe dla fizyków pytanie brzmiało: czy ta korelacja wynika z tego, że cząstki w splątanej parze zawierają ukryte zmienne, jakieś „instrukcje", które mówią im, jaki wynik mają dać podczas pomiaru?

W latach 60. północnoirlandzki fizyk John Stewart Bell (zmarł w 1990 r.) opracował matematyczne założenia eksperymentu mającego rozstrzygnąć, czy splątanie kwantowe jest prawdziwym efektem wynikającym z fundamentalnych praw rządzących Wszechświatem czy też artefaktem wynikającym z naszej nieznajomości wszystkich rządzących nim praw. W skrócie – jeśli o stanach cząstek decydowałyby „ukryte instrukcje", korelacja między badanymi w eksperymencie cząstkami nigdy nie przekroczyłaby pewnej wartości.

W latach 70. John Clauser, a następnie Alain Aspect przekuli myślowy eksperyment Bella na laboratoryjną rzeczywistość. Mechanika kwantowa obroniła się za każdym razem. Korzystając z udoskonalonych przez nich narzędzi i eksperymentów, Anton Zeilinger zaczął prowadzić eksperymenty z praktycznym wykorzystaniem splątanych stanów kwantowych. Udowodnił m.in. istnienie „teleportacji kwantowej", czyli zjawiska umożliwiającego przenoszenie stanu kwantowego z jednej cząstki na drugą na odległość.

A to już coś, co interesuje nie tylko fizyków, ale i informatyków oraz... szpiegów.

Koniec ery tranzystora

Możliwość manipulowania stanami kwantowymi na odległość i tworzenia splątanych par cząstek elementarnych może bowiem otworzyć drogę do stworzenia łączy telekomunikacyjnych, których podsłuchanie będzie fizycznie niemożliwe.

W 2004 r. Zeilinger przeprowadził eksperymenty z kwantowo splątaną komunikacją, łącząc niehakowalnym łączem laboratoria po dwóch stronach Dunaju. W 2007 r. kolejny eksperyment połączył już oddalone o 144 km od siebie stacje na Wyspach Kanaryjskich. Wreszcie 29 września 2017 r. chiński satelita Micius wysłał pakiety danych zawierające zakodowane w splątanych kwantowo cząstkach klucze kryptograficzne do laboratoriów w Pekinie i Wiedniu. Zeilinger oraz jego chiński rywal i przyjaciel Jian-Wei Pan udowodnili, że da się stworzyć sieć łączności opartą na kwantowych zabezpieczeniach. Każda próba przechwycenia cząstek zawierających klucze doprowadziłaby do zerwania stanu splątania między nimi, ujawniając obecność hakera. W przeciwieństwie do elektronicznych zer i jedynek tworzących konwencjonalne bity i bajty, splątanych komunikatów nie da się po prostu skopiować i odczytać.

Splątanie to także potencjalna rewolucja w przetwarzaniu danych: bez tego efektu nie moglibyśmy nawet myśleć o budowie komputerów kwantowych. Ich fizyczna realizacja jest ciągle odległa, ale jest na co czekać – mogą nam pomóc drastycznie zwiększyć możliwości centrów obliczeniowych, w tym tych, które odpowiadają za modelowanie klimatu, projektowanie nowych, rewolucyjnych materiałów czy fuzję jądrową.

Pierwsza rewolucja kwantowa dała nam tranzystory i lasery. Druga może sprawić, że era tranzystora dobiegnie końca. ©

Żywe reakcje

ALEKSANDRA PAŁASZ

Nagrodzeni badacze przenieśli chemię z klasycznej kolby laboratoryjnej do biologicznej komórki. Ich prace otwierają drogę m.in. do nowoczesnych terapii onkologicznych.

Tegoroczną nagrodą w dziedzinie chemii podzielą się Carolyn R. Bertozzi (Uniwersytet Stanforda), Morten Meldal (Uniwersytet w Kopenhadze) i K. Barry Sharpless (The Scripps Research Institute). Ich badania przyczyniły się do rozwoju tzw. chemii „click" i chemii bioortogonalnej.

Twórcą chemii „click" jest Barry Sharpless, najstarszy w gronie nagrodzonych, który wprowadził ten termin w 2000 r. dla reakcji zachodzących szybko, z dużymi wydajnościami i prowadzących do powstania tylko jednego typu substancji, bez tworzenia niepotrzebnych produktów ubocznych. Określenie „click" nawiązuje do dźwięku, który często słyszymy, gdy połączymy z sobą elementy tej samej układanki.

Woda zamiast alkoholu

Sharpless to również odkrywca efektu nazwanego od jego nazwiska. W 2005 r. zauważył, że niektóre reakcje chemiczne prowadzone w wodnej zawiesinie (w której substraty się nie rozpuszczają – podobnie jak mąka w wodzie) przebiegają dużo szybciej niż wtedy, gdy prowadzi się je w tzw. typowych rozpuszczalnikach organicznych, takich jak etanol, chloroform czy toluen. Była to zaskakująca obserwacja – dotąd uważano, że aby dwa substraty mogły ze sobą reagować, muszą się rozpuścić w rozpuszczalniku, w którym prowadzona jest reakcja.

To odkrycie stanowiło również podstawy chemii bioortogonalnej, w której reakcje zachodzą w wodzie. Woda zaś jest naturalnym środowiskiem reakcji zachodzących w organizmach żywych. Kolejnym krokiem w rozwoju tej dziedziny było wprowadzenie do chemii „click" pewnych szczególnych reakcji, które chemicy nazywają cykloaddycjami, katalizowanych („przyspieszanych") przez jony miedzi. Dokonali tego niezależnie od siebie Morten Meldal i Sharpless.

W 2003 r. Carolyn R. Bertozzi wprowadziła sam termin „chemia bioortogonalna". To bez wątpienia chemia XXI wieku. ↦

Nagrodę w dziedzinie chemii otrzymali Carolyn R. Bertozzi (USA), Morten Meldal (Dania) oraz K. Barry Sharpless (USA).

obok: laureat Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny Svante Pääbo, dyrektor Instytutu Antropologii Ewolucyjnej im. Maxa Plancka w Lipsku.

↦ W tej dziedzinie klasyczna kolba reakcyjna, w której prowadzi się reakcję chemiczną, została zastąpiona przez materię biologiczną. Reakcje chemiczne prowadzi się w komórkach lub organizmach żywych w taki sposób, aby zachodziły one niezależnie i nie zakłócały naturalnych procesów biochemicznych. To stąd nazwa – wyobrażamy sobie, że interesujące nas reakcje są „prostopadłe" (w matematyce mówimy: ortogonalne) do naturalnych reakcji komórkowych, a nie „równoległe" do nich: nie przeszkadzają więc sobie nawzajem, żyją niejako na osobnych płaszczyznach. Aby tak jednak mogło być, reakcje bioortogonalne muszą spełniać pewne wymagania.

Przede wszystkim substraty i produkty reakcji powinny być stabilne w wodzie w warunkach *in vivo*. Reakcje powinny zachodzić w warunkach fizjologicznych szybko, a wykorzystywane i powstające w nich związki nie mogą być toksyczne dla organizmów. Reakcje muszą też być selektywne, co oznacza, że nie mogą zachodzić żadne reakcje uboczne pomiędzy reagentami i innymi związkami biologicznymi obecnymi w środowisku komórki.

Jak pozbyć się miedzi

Rozpoczęły się więc poszukiwania reakcji, które będą zachodzić w wodzie w warunkach fizjologicznych – czyli w temperaturze około 37 st. Celsjusza i w środowisku lekko kwasowym lub obojętnym (pH mniej więcej w zakresie 4-7).

Spośród całego ogromu znanych reakcji chemicznych niewiele spełnia równocześnie wszystkie wymienione wymagania. Tę wąską kategorię tworzą wspomniane już reakcje nazywane cykloaddycjami. Bertozzi postanowiła wykorzystać w swoich pracach konkretną reakcję opisaną przez Meldala i Sharplessa. Ale pojawił się problem. Nie można bowiem katalizować reakcji prowadzonych w organizmach żywych jonami miedzi, na czym opierała się metoda zaproponowana przez pozostałych laureatów. Te jony nie są obojętne dla organizmów, a mogą być wręcz toksyczne – reakcja ta nie była więc w pełni bioortogonalna.

Carolyn R. Bertozzi wymyśliła, jak w reakcjach cykloaddycji zastosować związki o innej strukturze przestrzennej, takiej, dzięki której nie trzeba już było stosować jonów miedzi. Na bazie jej odkrycia wprowadzono do chemii kolejne reakcje bioortogonalne, które mają wiele cennych zastosowań. Za pomocą tego typu reakcji możemy w środowisku komórek biologicznych obrazować fluorescencyjnie różne biocząsteczki – np. białka, cukry, kwasy nukleinowe czy glikany – lub małe cząsteczki leków. Z pomocą reakcji bioortogonalnych można też badać szlaki metaboliczne, wykrywać zmiany nowotworowe, studiować oddziaływanie pomiędzy różnymi biocząsteczkami w celu poznania biologii komórki. Jednakże najbardziej spektakularne obecnie zastosowanie tych reakcji dotyczy onkologii – polega na celowanym dostarczaniu leku do miejsca, gdzie znajdują się komórki nowotworowe.

Odkrycia tegorocznych noblistów w dziedzinie chemii kolejny raz potwierdziły, że warto obserwować naturę i ją naśladować. Okazało się bowiem, że prowadzenie reakcji w warunkach naturalnych – w wodzie, w temperaturze zbliżonej do temperatury organizmu, przy zastosowaniu odpowiednich substratów i unikaniu niebezpiecznych katalizatorów – jest często dużo bardziej korzystne w porównaniu z warunkami drastycznymi, takimi jak wysoka temperatura czy toksyczne odczynniki, do których przyzwyczaili się chemicy. Dzięki odkrywaniu reakcji, które nie naruszają naturalnych procesów biochemicznych zachodzących w organizmach, możliwe są w tych ostatnich bardzo precyzyjne ingerencje. ©

Autorka kieruje Zakładem Chemii Organicznej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat i habilitację uzyskała za badania nad reakcjami cykloaddycji.

Krzyżówka z neandertalczykiem

ŁUKASZ KWIATEK

Nagroda Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny po raz pierwszy trafiła do naukowca, którego najbardziej interesują ludzie nieżyjący od dziesiątek tysięcy lat. Svante Pääbo to badacz pradawnych genomów.

Pääbo zaczynał jako egiptolog, jednak szybko rozczarowały go metody i ślimacze tempo pracy tradycyjnych archeologów. O historii ludzkości postanowił dowiedzieć się

czegoś więcej dzięki wykorzystaniu niedostępnych dotąd źródeł – genetyki.

Sam pomysł nie był nowy – kilkadziesiąt lat temu Luigi Luca Cavalli-Sforza próbował rekonstruować historię ludzkich migracji na podstawie porównywania proporcji grup krwi (zdeterminowanych genetycznie) wśród poszczególnych populacji. Ale była to zawodna i niedokładna metoda, a możliwości technologiczne nie pozwalały jeszcze na sekwencjonowanie i porównywanie całego genomu poszczególnych ludzi. Tym bardziej nikomu nie śniło się nawet, by można było w ten sposób badać geny ludzi nieżyjących od tysięcy lat. To wydawało się absurdalne – w komórkach organizmów występuje skomplikowana maszyneria biochemiczna zaangażowana w konserwację materiału genetycznego, który bez niej ulegałby degradacji. Ale Pääbo, który po kolejnych studiach – tym razem medycznych – posmakował pracy w nowoczesnym laboratorium genetycznym, postanowił w wolnym czasie, w tajemnicy przed współpracownikami, w końcu sprawdzić, czy obiegowe przekonanie jest zgodne z prawdą. I przydały mu się w tym znajomości w środowisku egiptologów, bo jego pierwszymi obiektami badawczymi były egipskie mumie.

Z którejś z nich w końcu pobrał materiał zawierający cząsteczki DNA – a to zaważyło na jego dalszej karierze. Dziś jest niemal pewne, że próbki te były zanieczyszczone współczesnym DNA – najpewniej pochodzącym od samego Pääba albo pracowników muzeum, w którym trzymano mumie. Nie miały zatem żadnej naukowej wartości. Ale żeby można to było w końcu stwierdzić – a także unikać podobnych błędów w przyszłości – potrzeba było stworzenia metod oczyszczania, analizowania i interpretowania próbek pobranych ze szczątków dawno zmarłych ludzi, a więc połączenia osiągnięć genetyki, mikrobiologii, informatyki i statystyki. To właśnie w kolejnych latach zrobił Svante Pääbo.

Genetyczna rewolucja

Określenie „rewolucja naukowa" nie będzie tu żadnym nadużyciem. Od czasów Karola Darwina wiedzieliśmy z grubsza, że ludzie wywodzą się z Afryki, a nasi wcześni przodkowie musieli przypominać małpy. Jeszcze w XIX w. znaleziono skamieniałości „małpoluda wyprostowanego" (dziś nazywanego *Homo erectus*), czyli formy pośredniej między małpą a człowiekiem. W XX i XXI w. paleoantropolodzy odkryli wiele innych kopalnych gatunków człowieka. Ale mogliśmy tylko snuć przypuszczenia, jakie więzy pokrewieństwa łączą ich z nami. Badania Pääbo dały nam pewność.

Sławę przyniosło mu potwierdzenie, że nasi przodkowie utrzymywali intymne kontakty z neandertalczykami. Żeby to ustalić, Pääbo zsekwencjonował kompletny genom neandertalczyka, pozyskując potrzebny materiał ze zmielonych fragmentów skamieniałości. Później ta sama metoda pozwoliła mu na odkrycie nieznanej wcześniej populacji człowieka, nazwanej denisowianami, z którą i neandertalczycy, i nasi przodkowie także się krzyżowali, i której ostatni przedstawiciele wymarli nie później niż 15-30 tys. lat temu.

Badania Pääba doprowadziły go do popularnej hipotezy, że poza rdzennymi mieszkańcami Afryki wszyscy ludzie wywodzą się z populacji, która ok. 60-70 tys. lat temu opuściła Czarny Ląd i skolonizowała Eurazję, a następnie Oceanię i obie Ameryki. Choć dziś niektórzy w to powątpiewają

NIKLAS ELMEHED / MATERIAŁY PRASOWE KOMITETU NOBLOWSKIEGO X2

– „wyjść z Afryki" mogło być więcej, a niektóre szczątki *Homo sapiens* w Eurazji pochodzą nawet sprzed 200 tys. lat – to w rewolucji, jaką Svante Pääbo zapoczątkował, nie chodzi o samo ustalenie tych faktów. Raczej o stworzenie nowego obszaru badawczego – paleogenetyki – który całkowicie zmienił sposób uprawiania nauki o człowieku i pozwolił w ogromnym stopniu wzbogacić wiedzę na temat naszej ewolucyjnej historii. Dzisiaj możemy już zaglądać nawet w geny ludzi żyjących ponad 400 tys. lat temu – tyle wynosi rekord ustanowiony przez zespół Pääba. A najważniejsze pytanie, jakie zadają sobie odkrywcy kolejnych skamieniałości, dotyczy tego, czy da się z nich wyizolować starożytne DNA.

Nie dla zdrowia

W żyłach Pääba płynie szwedzko-estońska krew, z dużą domieszką noblowskiej – jest synem nagrodzonego w tej samej kategorii biochemika Sunego Bergströma. To musi być gorąca krew, biorąc pod uwagę burzliwe życie prywatne Pääba, które opisał w swojej biografii intelektualnej „Neandertalczyk. W poszukiwaniu zaginionych genomów". Wspominał tam też o chorobliwych ambicjach i konfliktach w środowisku naukowym – mniej krwawych niż te, które musiały wybuchać między naszymi przodkami, ale przecież wynikających z tych samych programów genetycznych, które po nich odziedziczyliśmy. Z potrzeby eksploracji, dominacji, posiadania.

Nie zapominajmy też o innej potężnej sile ewolucyjnej: kooperacji – historia Pääba jest też opowieścią o międzynarodowej współpracy i ukształtowaniu kolejnych pokoleń badaczy, z Davidem Reichem i Johannesem Krausem na czele, którzy dzisiaj kierują własnymi, słynnymi laboratoriami, badającymi m.in. historię ludzkich migracji i starożytne epidemie.

W oficjalnych komunikatach Komitetu Noblowskiego możemy przeczytać, że odkrycia Pääba mają także znaczenie medyczne, bo wzbogacają wiedzę na temat tego, jak układ immunologiczny reaguje na infekcje. Zresztą Pääbo pokazał m.in., że ciężki przebieg COVID-19 ma związek z genami, które odziedziczyliśmy po neandertalczykach. Ale to jedynie wybieg, mający nieco bardziej uzasadnić, że można przyznać „medycznego Nobla" komuś, kto najdokładniej opowiedział nam, kim jesteśmy i skąd pochodzimy. Ta opowieść raczej nikomu nie uratuje życia – za to na pewno je wzbogaci. ©℗

BOGDAN KRĘŻEL / MATERIAŁY PRASOWE

Siedziba Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie, 2018 r.

PRZESTRZEŃ DLA KULTURY

JOANNA ORLIK, DYREKTORKA MIK-u: Kultura jest częścią świata, dlatego musi się zmieniać razem z nim. I nie chodzi tu o porzucanie przeszłości. Wręcz przeciwnie, chcemy opowiadać o teraźniejszości przez pryzmat tego, co było.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak przez 20 lat działania Małopolskiego Instytutu Kultury zmieniło się zarządzanie kulturą w Polsce?
JOANNA ORLIK: Jesteśmy spadkobiercami długiej tradycji instytucji kulturalnej, której korzenie sięgają jeszcze powstałego w latach 40. XX w. Krakowskiego Domu Kultury w Pałacu pod Baranami. MIK działa pod swoją nazwą od 20 lat, ale nie zapominamy, że stoimy na ramionach tych, którzy pod tę instytucję kładli podwaliny. Z osobistego punktu widzenia 20 lat to ogrom czasu, ale z szerszej perspektywy – mgnienie oka. Zwracam uwagę, że funkcjonowanie instytucji kultury zależy od sposobu zarządzania i finansowania całego państwa, dlatego zmiany mają różny charakter i dynamikę – tak jak różną dynamikę miały zmiany w ramach reform w obrębie instytucji kultury z poziomu państwa czy województwa.

Jak zatem działa i czym zajmuje się Małopolski Instytut Kultury?
Promujemy kulturę Małopolski, edukujemy kadry, prowadzimy badania, wspieramy i nawiązujemy współpracę z instytucjami różnego typu: bibliotekami, domami kultury i muzeami, które mają odmienne wewnętrzne struktury. Biblioteki w swoich działaniach kierują się dość sztywnymi zasadami, często wynikającymi z ustawy regulującej ich status. Ale mają coś, co niestety częściowo utraciły domy kultury, czyli wsparcie ze strony instytucji centralnych, w tym przypadku jest to Wojewódzka Biblioteka Publiczna. System ten pozwala na działanie między różnymi poziomami administracyjnymi, nad którymi czuwa właśnie WBP, dzięki czemu wszystkie pozostałe są w obiegu, mogą podejmować wspólne decyzje, opiniować dokumenty itd. Tak ułożony system, a jest jeszcze w nim Biblioteka Narodowa, sprawia, że władze centralne mogą mieć wgląd w to, co dzieje się lokalnie. Domy kultury nie mają takiej struktury. Zmiany prawne sprawiły, że ich istnienie stało się opcjonalne. Oczywiście to nie oznacza, że samorządy masowo z nich rezygnują. Utrzymują je choćby dlatego, że są świetnym narzędziem promocji gminy. Przy domach kultury często funkcjonuje jakiś rodzaj informacji turystycznej, wydawana jest lokalna gazetka, organizowane są najróżniejsze imprezy, np. dni gminy. Dlatego władze chętnie wygospodarowują na nie środki. Natomiast nie tworzą one niestety instytucjonalnej sieci, która pozwalałaby na współpracę. I tu widzimy miejsce dla siebie.

Czyli?
Kilka lat temu w MiK-u zaczęliśmy organizować kongres dla dyrektorów domów kultury. Każdy z nich jest bowiem skazany na samotną walkę w gąszczu przepisów, które w przypadku akurat tych instytucji są wyjątkowo niejednoznaczne, a momentami wręcz wewnętrznie sprzeczne. Z jednej strony wydatkowanie jakichkolwiek środków publicznych jest obwarowane bardzo rygorystycznymi procedurami, co utrudnia działanie w konkretnych warunkach. Z drugiej strony często pojawia się wymóg, żeby te instytucje dodatkowo zarabiały dla gminy pieniądze. Trudno być jednocześnie twórcą i tworzywem – konkurować na wolnym rynku z prywatnymi podmiotami, które mają znacznie większe możliwości działania i mogą zarabiać na rzeczach modnych i atrakcyjnych w danym momencie. Proponujemy im różne pomysły czy tematy, ale najważniejsze, co często padało wprost od uczestników, jest słuchanie siebie nawzajem. Czyli rodzaj agory, gdzie można w mniejszych grupach wymyślać nowe rzeczy, nawiązywać kontakty, wymieniać się doświadczeniami.

Współpracujecie również z muzeami?
Chcemy wytyczać nowe drogi interpretacji dziedzictwa. Organizujemy już od lat Ma-

łopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego, podczas których prezentujemy małopolskie zabytki – miejsca i obiekty często mało znane lub niedostępne na co dzień. Pokazujemy je w szerszym kontekście, z nowej perspektywy. Pomagamy też placówkom muzealnym w regionie opowiedzieć o tym, co w Małopolsce najciekawsze. Należymy do międzynarodowej sieci Interpret Europe, która właśnie tym się zajmuje. Zachęcamy do opowiadania własnej historii, niepowielania schematów, szukania odpowiedzi na stawiane na nowo pytania i rodzące się potrzeby. Nasi pracownicy z zespołu Dynamiki Ekspozycji prowadzą szkolenia i warsztaty dla muzealników, pomagają w opracowywaniu wystaw i strategii rozwoju. Nie mogę nie wspomnieć też o Wirtualnych Muzeach Małopolski – portalu, w którym udostępniamy cyfrowe odwzorowania muzealnych eksponatów na pojedynczych i dookólnych fotografiach, filmach w formie modeli 2D i 3D. Każdy eksponat na naszym portalu można obejrzeć z bardzo bliska i dowiedzieć się o nim więcej dzięki muzealnym metryczkom, artykułom kontekstowym, wzajemnym powiązaniom obiektów, materiałom edukacyjnym i wystawom tematycznym. Prezentujemy eksponaty, które można oglądać podczas zwiedzania muzeum, i takie, które specjalnie dla nas kustosze wyciągnęli z magazynów. Pokazujemy zbiory placówek o randze krajowej, muzeów okręgowych, regionalnych, miejskich, izb muzealnych. Wspólnie z kustoszami muzealnymi decydujemy, co i w jaki sposób zdigitalizować. Zastanawiamy się, jak to opisać. Nasza redakcja proponuje, jak powiązać ze sobą eksponaty w większe tematyczne całości, współpracuje z historykami sztuki, etnografami, antropologami, edukatorami i specjalistami z najróżniejszych dziedzin.

Jak to wygląda w praktyce?
Zachęcamy muzea, szczególnie te małe, do budowania nowych opowieści o tym, co mają najcenniejszego. Szczególnie chodzi tu o zmianę formy, porzucenie starych, mocno już zakurzonych sposobów budowania narracji po to, aby przyciągnąć nowych odbiorców. Mieliśmy okazję być jednym z partnerów w projekcie „Skansenova – systemowa opieka nad dziedzictwem w małopolskich muzeach na wolnym powietrzu", gdzie wraz z partnerami, a było to aż osiem instytucji, wypracowaliśmy nową ofertę dla zwiedzających. Główny koncept polegał na tym, by zidentyfikować w poszczególnych skansenach ich specyfikę, coś, co jest wyróżnikiem, niesie znaczenie dodatkowe, odrębne, by każdy miał swoją opowieść. Na pierwszy rzut oka skanseny mogą wydawać się podobne do siebie. Szukaliśmy zatem myśli przewodnich dla każdego miejsca i odpowiadających im przedmiotów – symboli oraz historii. Punktem wyjścia był szczegół, przedmiot, wyjątkowa idea. Sztuką zatem był wybór, bo miejsca pełne są przedmiotów i historii. Potem wystarczyło „tylko" stworzyć narrację zgodną z tym wyborem. I to właśnie jest podejście interpretacyjne.

Jak układa się Wasza współpraca z innymi instytucjami kultury w regionie?
W ciągu ostatnich 20 lat widać olbrzymie zmiany. Wiele instytucji zmieniło swój sposób funkcjonowania, dostosowując się do nowych realiów medialnych, ale też społecznych czy ekonomicznych. Kultura jest częścią świata, w którym żyjemy, dlatego musi się zmieniać razem z nim. I nie chodzi tu o porzucanie przeszłości – wręcz przeciwnie, chcemy opowiadać o teraźniejszości przez pryzmat tego, co było. Zapośredniczać to, co tu i teraz, w doświadczeniach minionych pokoleń. Zbyt rzadko traktujemy historię z należytą uwagą, a możemy się z niej wiele nauczyć.

Region, rozwój, refleksja – to hasła widniejące na Waszej stronie internetowej.
Tak można by podsumować naszą działalność. Widzimy siebie jako byt scalający różne instytucje kultury, a przede wszystkim ludzi z nimi związanych, nie tylko w ramach samego Krakowa, ale regionu właśnie. Różne są bowiem doświadczenia pracowników domów kultury czy muzeów z dużego miasta i tych z mniejszych miejscowości. I różne potrzeby. Tworzymy więc przestrzeń, w ramach której osoby o różnych perspektywach mają okazję do konfrontacji, wymiany doświadczeń i wypracowania wspólnych rozwiązań. Dla „Bardzo Młodej Kultury" przygotowywaliśmy spotkania, łączące doświadczenia nauczycieli i animatorów (pracowników kultury) – te grupy również wiele działań wykonują osobno, a mogłyby razem. Co więcej, okazuje się, że chcą działać razem, nie mają jednak ku temu przestrzeni. My tę przestrzeń tworzymy, a wypracowane rozwiązania czy przemyślenia można znaleźć w naszych publikacjach, np. w cyklu „Broszur do myślenia". Z kolei nasz program „Kultura Wrażliwa" pomaga wypracować rozwiązania, które umożliwią pełnoprawny udział w kulturze osobom z dysfunkcjami wzroku, słuchu czy ruchu, pokazując przy tym, że najważniejsze w upowszechnianiu i udostępnianiu jest otwarcie na różnorodność.

Jakie wyzwania stawia sobie MIK na kolejne 20 lat?
Wyzwaniem jest zmieniający się świat. Chcemy nadążać, a czasem może wyprzedzać potrzeby i oczekiwania naszych współpracowników z regionu, współuczestniczyć w kształtowaniu i rozbudowie tego ogromnego regionalnego potencjału, jakim dysponujemy. Kultura jest jak tlen, a tlenu potrzebujemy wszyscy – my jako MIK chcemy dopływ tlenu zapewniać.

© Rozmawiał
MICHAŁ SOWIŃSKI

KLAUDYNA SCHUBERT / / MATERIAŁY PRASOWE

JOANNA ORLIK – redaktorka, animatorka kultury, dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury.

SMOKI I PUSTE ŚWIATY

Według radykalnych kreacjonistów dowcipny Bóg stworzył świat sześć tysięcy lat temu. Po czym rozmieścił pod ziemią skamieniałości i przemieszał warstwy, żeby nasz świat był ciekawszy. J.R.R. Tolkien jest właśnie takim stwórcą.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Nie jest to dzieło, które większość dorosłych mogłaby przeczytać więcej niż raz". W ten sposób pewną nietypową powieść skomentowano na łamach prestiżowego „The Times Literary Supplement". Być może to po prostu bardzo brytyjska forma wyrażenia dezaprobaty – w sposób jednocześnie uprzejmy i bezlitosny. Uważam jednak, że recenzent zaproponował tu jedno z najciekawszych kryteriów oceny.

Są książki, które chętnie przeczytamy, ale tylko raz. Są takie, do których grupa czytelniczek i czytelników decyduje się wrócić od czasu do czasu. Są wreszcie nieliczne powieści, które stają się niemal przedmiotem kultu – odczytywane po wielokroć, z pietyzmem zarezerwowanym dawniej dla świętych ksiąg. Wśród nich najwęższą elitę stanowią powieści, wokół których gromadzi się nie tylko społeczność fanów, ale też grono naukowców-interpretatorów. Fikcyjne światy tak potężne, że płomiennym wojnom i potyczkom przedstawionym na kartach powieści towarzyszą nie mniej epickie starcia między frakcjami czytelników i komentatorów.

Tak jest z „Władcą Pierścieni" J.R.R. Tolkiena, ale właśnie tę książkę anonimowy recenzent skrytykował przywołanymi wyżej słowami. Najbardziej chybiona złośliwość krytyka literackiego w dziejach? Recenzenci długo nie odpuszczali Tolkienowi. Jeszcze pół dekady później, kiedy książka zyskała już status bestselleru i kilka kolejnych wydań, Philip Toynbee ogłaszał na łamach „Observera", że moda na Tolkiena przeminęła, sprzedaż książek wkrótce spadnie, a „Władca Pierścieni" „osunie się w otchłań litościwego zapomnienia". Zaskakujące, jak długo poważni brytyjscy dżentelmeni utrzymujący się lepiej lub gorzej ze swej miłości do literatury nie mogli uwierzyć, że dorośli ludzie pokochali świat elfów, orków i czarodziejów. Cóż... czasem krytycy po prostu się mylą.

A czasem nie.

Kompletna zdrada

Wobec serialu „Władca Pierścieni: Pierścienie Władzy" zrealizowanego dla platformy Amazon Prime oczekiwania były maksymalnie wyśrubowane. Wśród fanów Tolkiena zawrzało już w momencie, gdy pięć lat temu Amazon ogłosił porozumienie z Tolkien Estate – fundacją zarządzającą prawami autorskimi do świata i postaci powołanych do życia przez wizjonera z Oxfordu (przedziwna struktura podmiotów prawnych zarządzających fikcyjnym Śródziemiem i jego okolicami to materiał na oddzielną sagę). Dość tajemnicza transakcja dotyczyła zakupu praw do realizacji serialu osadzonego w realiach „Władcy Pierścieni". Wedle ujawnionych danych przyjemność ta kosztowała Amazon około ćwierć miliarda dolarów.

Na biednego nie trafiło. Jeff Bezos jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie, a jego firma znalazła się wśród tych, które w związku z pandemią zanotowały jeszcze większe obroty. Nic dziwnego – głównym źródłem dochodu Amazona jest sprzedaż detaliczna przez internet, a w ostatnim czasie korporacja dokonuje dynamicznej ekspansji na rynek platform streamingowych. Nowy serial miał stać się tajną bronią w toczącej się właśnie wojnie platform o panowanie nad archipelagiem kanap należących do milionów widzów na całym świecie.

W historii tylko kilkanaście hollywoodzkich produkcji mogło poszczycić się większymi budżetami niż owe 250 milionów. A przecież w przypadku filmów

BEN ROTHSTEIN / PRIME VIDEO / MATERIAŁY PRASOWE

Morfydd Clark jako Galadriela i Robert Aramayo jako Elrond w serialu „Władca Pierścieni: Pierścienie Władzy", 2022 r.

chodziło o gaże dla aktorów, efekty specjalne, egzotyczne plany zdjęciowe... Tymczasem Bezos nie kupił nawet konkretnego szkicu scenariusza. Co tak naprawdę nabył za tę astronomiczną kwotę?

Ujmując rzecz krótko: kupił bilet do fikcyjnego świata. Prawa do wymyślonych przez Tolkiena języków, miejsc, reguł rządzących fikcyjnym uniwersum, a nawet bohaterów i ich imion. Bo choć podjęto decyzję, że akcja nowego serialu rozgrywać się będzie tysiące lat przed wyprawą Froda i jego kompanów, to przecież elfy są praktycznie nieśmiertelne.

Bezos kupił też obszerne notatki Tolkiena – szkice, mapy, drzewa genealogiczne, dłuższe i krótsze opisy fikcyjnych bitew, sojuszy i epickich wypraw zebrane i opublikowane wcześniej m.in. w „Silmarillionie" oraz gargantuicznym, dwunastotomowym cyklu „Historia Śródziemia". Ludzie Amazona postanowili jednak skorzystać z tych notatek bardzo wybiórczo i postawili raczej na wymyślanie własnych przygód i rozwiązań fabularnych. Które dawkują nam bardzo, bardzo oszczędnie.

Zrujnowali Galadrielę

„Zrujnowali Galadrielę. A nowe postaci zasługują na zapomnienie. Fabuła tego serialu jest idiotyczna. Coś jakby próbować opowiedzieć Aleksandra Wielkiego, Wikingów i Pierwszą Wojnę Światową upakowane w przeciągu jednej dekady" [pisownia oryginalna]. W tym komentarzu, zamieszczonym na jednym z dużych portali z recenzjami, mieszczą się najważniejsze zarzuty stawiane przez fanów nowemu serialowi (oczywiście oprócz „nie istniały czarne elfy" i „za dużo kobiet" – ale o tym nie mam już siły pisać po raz kolejny).

Fani pamiętają Galadrielę z „Władcy Pierścieni" jako dystyngowaną, tajemniczą, nieco wycofaną czarodziejkę. Tymczasem już w pierwszych scenach nowego serialu elfka biega z mieczem, robi fikołki i morduje potwory z wprawą godną Geralta z Rivii. „To całkowicie wbrew temu, jak Tolkien opisał tę postać" – oburzają się niektórzy widzowie.

Sytuacja ta bardzo przypomina mi oburzenie, jakie przed dwiema dekadami ↦

↦ rozpaliło środowisko fanów „Gwiezdnych wojen". W oryginalnej trylogii (sprzed 40 lat) pojedynki Jedi były pełne gracji i dość powściągliwe choreograficznie. Tymczasem w nakręconych dwie dekady później prequelach trudno nadążyć za błyskającymi mieczami. Kilka razy oglądamy na ekranie, jak szacowny Mistrz Yoda wywija salta, skacze po ścianach i odbija się wokół przeciwnika jak mała, zielona piłeczka. Profanacja? Niekoniecznie. Odpowiedź George'a Lucasa na zarzut o rzekomą niespójność miała sens: prequele opowiadają o czasach, gdy świat był młodszy, Jedi – pełni energii, a Moc w nich – silna jak nigdy.

Dokładnie to samo powiedzieć można o młodszej o stulecia (!) Galadrieli, którą podziwiamy w nowym serialu. Z ciekawości aż wróciłem do „Silmarillionu", żeby sprawdzić, co też o młodej Galadrieli miał do powiedzenia sam Tolkien. Okazuje się, że opisy zaskakująco pasują do serialowej wizji: „Wysmukła i odważna Galadriela, jedyna żeńska istota wśród Noldorów, która ośmielała się zabierać głos w sporze książąt" – czytamy u Mistrza. „Marzyła, by zobaczyć rozległe niestrzeżone przestrzenie i rządzić jakimś królestwem według własnej woli". Ten zarzut krytyków można więc śmiało uznać za chybiony.

Znacznie ciekawszy jest jednak drugi problem podniesiony przez anonimowego recenzenta. W nowym serialu Amazona oglądamy wydarzenia, które według Tolkiena dzielą od siebie tysiąclecia. Na ekranie Galadriela i Elrond to para bliskich przyjaciół, młodych elfów z tego samego pokolenia, których wyraźnie łączy nić sympatii, być może na pograniczu miłości (zobaczymy, co przyniosą kolejne odcinki i sezony). Według Tolkiena zaś (ciekawostka) Galadriela była teściową Elronda. Sędziwy król Elros (zestarzał się, ponieważ jako półelf wybrał los śmiertelnego człowieka), z którym w serialu Galadriela omawia wojenne plany, to według literackiego pierwowzoru brat Elronda, ale też oddalony o kilkanaście pokoleń praprapra...dziad Tar-Míriel i Pharazôna, których oglądamy na ekranie odpowiednio jako jego córkę i kanclerza. Według Tolkiena Isildur, którego również oglądamy na ekranie, urodził się 2767 lat po śmierci Elrosa.

Czyli faktycznie Aleksander, wikingowie i pierwsza wojna światowa skompresowane do jednego pokolenia. Czy to źle?

LAWRENCE K. HO / LOS ANGELES TIMES / GETTY IMAGES

SIMON TOLKIEN, *wnuk autora, konsultant treści serialu. Montecito, Kalifornia, maj 2010 r.*

Nie wiem. Na pewno decyzja ta zrzuciła na barki scenarzystów olbrzymie brzemię związane z przekuciem na spójną fabułę czegoś, co było w zamyśle kroniką wielu tysiącleci.

A co jeżeli tę kompresję czasu można by uznać za zgodną z wizją Tolkiena? Z mojego punktu widzenia najciekawsze w prozie Tolkiena jest właśnie to, że nie próbował on odtworzyć wyłącznie mitopodobnej fabuły, lecz całą głęboką strukturę, jaka towarzyszy prawdziwym mitom.

Dowcipny Bóg

Prowadząc badania nad tekstami zwolenników hipotezy młodej Ziemi, czyli radykalnych kreacjonistów dosłownie przyjmujących biblijne datowanie stworzenia świata na około sześć tysiącleci, trafiłem na fascynujący obraz „dowcipnego Boga" celowo rozmieszczającego pod ziemią skamieniałości i dokonującego przemieszań warstw, żeby nasz świat był ciekawszy, bogatszy, pełniejszy.

J.R.R. Tolkien jest właśnie takim stwórcą. Starannym demiurgiem, który do snutych przez siebie opowieści nie tylko dopisał tysiącletnie tła, lecz nawet zadbał o to, by były one odpowiednio rozmyte, zatarte i poprzesuwane. Cały „Silmarillion" napisany jest tak, by przypominał mitologię misternie odtworzoną z niepełnych, rozproszonych śladów – pieśni, legend, a nawet dociekań etymologicznych. Niektóre mikroopowieści składające się na Tolkienowski folklor mają sens wyłącznie jako wyjaśnienie, skąd się wzięła nazwa jakiegoś miejsca, dlaczego dany szczyt jest ukształtowany w ten, a nie inny sposób, albo czemu języki sąsiadujących ze sobą plemion tak bardzo się różnią. Na marginesach „Władcy Pierścieni" i „Hobbita" znajdujemy więc dokładnie to samo rozmycie, jakie cechuje prawdziwe mitologie. Oznacza to, że niespójność jest w tym przypadku zaletą, a nie wadą. Świadectwem kunsztu, nie zaś niestaranności.

Przyznaje to także Christopher Tolkien, syn autora i opiekun jego literackiej spuścizny, we wstępie do „Silmarillionu" zaznaczający, że „Doskonałej konsekwencji, czy to w obrębie niniejszego tomu, czy też pomiędzy nim a innymi opublikowanymi dziełami mego Ojca, nie należy się doszukiwać; jeśli w ogóle dałoby się ją osiągnąć, to jedynie wielkim i niepotrzebnym kosztem".

Spróbujmy przez chwilę potraktować kwestię śmiertelnie poważnie i zadać pytanie, czy skondensowanie trzech tysięcy lat do jednego pokolenia to jeszcze taka intrygująca niespójność czy coś, co idzie w poprzek tolkienowskiej wizji? Przecież tego rodzaju „psucie" skali czasowej jest czymś niezwykle dla mitów charakterystycznym! Zwolennicy hipotezy młodej Ziemi procesy trwające miliardy lat skumulowali na przestrzeni zaledwie kilku tysięcy, tworząc fascynującą opowieść o stworzeniu, potopie i odkupieniu win. Ale znamy też wiele przykładów odwrotnych. Gdy np. poprzez budowanie fikcyjnych genealogii rozciągniętych na wiele, wiele pokoleń dane społeczności nadawały pozór odwieczności plemiennym konfliktom czy rozmieszczeniu ludności, które w rzeczywistości miały bardzo świeży charakter. Bieżący stan prawny czy majątkowy łatwo usankcjonować, przenosząc jego genezę o zmyślone tysiąclecia wstecz.

Jeżeli chcielibyśmy wejść w reguły gry, które proponuje nam sam Tolkien, kuszące byłoby wyobrazić sobie, że być może cała starannie opisana genealogia prowadząca od Elrosa do Isildura została zmyślona gdzieś w czasach Aragorna (dalekiego potomka obydwu). Teraz zaś, dzięki uprzejmości Jeffa Bezosa i jego ludzi, po raz pierwszy dostajemy prawdziwą opowieść o tym, jak sprawy się miały. Cała Trzecia Era w historii Śródziemia trwała nie dłużej niż pokolenie.

Wszystkie te dociekania mają jednak charakter bardzo specjalistyczny i zainteresować mogą najzagorzalszych fanów Tolkiena. Wielu pozostałych widzów „Pierścieni Władzy" będzie miało zasadniczy problem innego rodzaju. Mniejsza o styl walki Galadrieli i następstwo pokoleń. Pal diabli czarne elfy. Ale dlaczego, u diabła, w tym serialu nic się nie dzieje? Kto porwał fabułę, gdzie ją przetrzymuje i kiedy zamierza wypuścić?

Smoki i nauki

„Niektórzy czytelnicy tej książki, a przynajmniej ludzie, którzy się o niej wypowiadają, uznali ją za nudną, absurdalną czy godną pogardy. Nie narzekam z tego powodu, bowiem dokładnie takie samo jest moje zdanie o ich pracach oraz o rodzaju literatury, który najwyraźniej preferują" – czytamy w autorskim wstępie do któregoś z kolei wydania „Władcy Pierścieni".

Jednak waśń Tolkiena z krytykami okazuje się znacznie starsza niż publikacja „Władcy Pierścieni". Wiele lat wcześniej autor „Hobbita", jeszcze jako stosunkowo młody badacz literatury angielskiej, opublikował płomienny esej pod tytułem „Beowulf. Potwory i krytycy". Staje w nim w obronie jednego z zabytków kultury literackiej – poematu „Beowulf", który wielu ówczesnych krytyków uznawało za niedorzeczny. Można się zachwycać prozodią „Beowulfa" albo metodycznie rozbierać go na części pierwsze – przekonywali znawcy – ale czy możemy sobie wyobrazić, że XX-wieczny, rozsądny czytelnik poważnie zaangażuje się w opowieść o czarach i potworach?

Tolkien uważał, że tak. Że niezależnie od stulecia, w którym przyszło nam żyć, głębokie pragnienie mitu jest jedną z cech czyniących nas ludźmi: „Poprawny i trzeźwy gust może odmówić przyznania, jakoby w tym było coś interesującego dla nas (...) w tych ograch i smokach; doznajemy wtedy zdumienia w obliczu dziwnego faktu, że wielka przyjemność wynika z poematu, mówiącego faktycznie o tych niemodnych stworach".

Tyle tylko, zauważa Tolkien, że smoki są bardziej prawdziwe, niż nam się wydaje. „Smok to nie pusty wymysł. Cokolwiek dało mu początek, fakt czy zmyślenie, smok w legendzie jest potężnym wytworem ludzkiej wyobraźni, bogatszym w znaczenie niż jego kopiec – w złoto. Nawet i dzisiaj (wbrew krytykom) znajdziecie ludzi, którym nieobce są tragiczna legenda i historia, którzy słyszeli o bohaterach i widzieli ich, wciąż jeszcze urzeczeni przez tego smoka".

Tolkien nie pisał literatury. On tworzył mity. Jego nieporozumienia z krytykami biorą się z niezrozumienia tego podstawowego faktu. Jednak „Władca Pierścieni" i „Hobbit" niejako przy okazji wypełniają ten fascynujący świat elfów i smoków doskonałą, angażującą fabułą (podobnie zresztą jak „Beowulf"). Mityczne światy całkowicie jej pozbawione okazują się martwe. Nieatrakcyjne dla czytelników niezależnie od tego, jak wiele epickich bitew i kości dinozaurów rozmieszczono w kolejnych warstwach fantastycznego osadu.

Zaginiona w akcji

To napięcie między tworzeniem światów a przeżywaniem fabuł świetnie uchwycił kiedyś na tych łamach Jacek Dukaj (tekst „Stworzenie świata jako gałąź sztuki"). Według Dukaja możemy mówić o dwóch rodzajach dzieł. Jedne z nich opierają się na fabule, świat zaś okazuje się jedynie naczyniem, które ma za zadanie pomieścić kolejne zwroty akcji. Tu widz czy czytelniczka stają się „pożeraczami akcji", łapczywie pochłaniającymi kolejne sceny, by dowiedzieć się, co będzie dalej.

Drugą odmianą są dzieła, w których to świat jest najważniejszy, fabuła zaś okazuje się wyłącznie pretekstem, by odwiedzić fikcyjne miejsca i postaci. Prawdziwy geniusz światotwórczy rozpoznajemy wszędzie tam, gdzie pojawia się odwrotne pragnienie: „czytałem coraz wolniej, bo nie chciałem opuścić tego świata" – celnie wskazuje Jacek Dukaj – bez wątpienia jeden z najwybitniejszych polskich światotwórców. Dukaj opublikował swój tekst przy okazji premiery „Avatara" Jamesa Camerona i właśnie to dzieło wskazał jako przykład światotworzenia. „Już teraz szacuje się, że za dużą część wpływów z kinowej dystrybucji »Avatara« odpowiadają »widzowie wielokrotni«: idący na film po raz drugi, trzeci, czwarty, kiedy znają już przecież intrygę i zakończenie (i tak przewidywalne)" – zauważył w tym kontekście Dukaj, dopisując wymarzony ciąg dalszy do wątku „wielokrotnej lektury", od którego rozpoczęliśmy ten tekst.

A jednak, wolna czy szybka lektura, fabuła wciągająca czy ledwie zarysowana – wydaje się, że opowieści pozostają istotnym komponentem nawet ↦

Platforma JUSTWATCH.COM, której dane prezentujemy poniżej, jest przewodnikiem po streamingu, w którym można odnaleźć informacje o filmach i serialach największych platform. Oto seriale, które we wrześniu budziły największe zainteresowanie Polaków:

▪ **Władca Pierścieni: Pierścienie Władzy (Amazon Prime Video)** – serial platformy stosującej agresywny marketing: w ofercie promocyjnej można było kupić roczną subskrypcję Prime Video w cenie zbliżonej do ceny miesięcznej subskrypcji Netfliksa.

▪ **Gra o tron: Ród smoka (HBO Max)** – prequel „Gry o tron", największego hitu w historii HBO. Według danych Ampere Analysis, podanych przez Wirtualnemedia.pl, w 2021 r. HBO Max miało o jedną piątą mniej widzów niż Prime Video.

▪ **Star Wars: Andor (Disney+)** – trzeci, po „The Mandalorian" i „Księdze Boby Fetta", „dorosły" serial Disneya z uniwersum George'a Lucasa. „Andor" jest prequelem filmu „Gwiezdne wojny: Łotr 1" i pokazuje losy kapitana Cassiana Andora, rebelianckiego szpiega, który poświęcił życie, by pozyskać plany konstrukcyjne Gwiazdy Śmierci.

▪ **Cyberpunk: Edgerunner (Netflix)** – polsko-japońskie anime, powstałe w uniwersum gry CD Projektu „Cyberpunk 2077". Serial bije rekordy (wg „Forbesa" ma najwyższą średnią ocen spośród wszystkich produkcji Netfliksa), przy okazji dając drugie życie grze, która od dwóch lat nie miała tylu graczy, co teraz. Po paru tygodniach od premiery na YouTubie 7 mln razy odsłuchano piosenki Dawida Podsiadły „Let You Down", nagranej do ostatniego odcinka serialu.

najbardziej rozbudowanych światotwórczych przedsięwzięć. Bez nich fikcyjne światy okazują się puste i martwe. I wcale nie są miejscami, do których chcielibyśmy wrócić.

„Silmarillion" i „Historia Śródziemia", na których budowane są „Pierścienie Władzy", są dziełami najbardziej światotwórczymi, jakie można sobie wyobrazić. Fabuła, jeżeli w ogóle się tu pojawia, jest urywana, nierówna, niedopowiedziana. Postaci – i tak u Tolkiena zwykle dość dwuwymiarowe – tutaj są zaledwie rozedrganymi cieniami idei. „Pierścienie Władzy" proponują widzowi raczej światoodczucie niż przygody. Traktują o rzeczach tak wielkich i doniosłych, że jakiekolwiek jednostkowe losy tracą z tej perspektywy znaczenie. Według niektórych krytyków i znawców przedmiotu uzyskany efekt określić można jako epicki. Ja jednak skłaniam się raczej do zdania tych widzów, którzy nazwali go po prostu „śmiertelnie nudnym".

W gruncie rzeczy bowiem jesteśmy tak zbudowani (już na poziomie neurologicznym), że niespecjalnie interesują nas losy światów. Ani tych fikcyjnych, ani – niestety – naszego własnego. Jesteśmy natomiast w stanie z olbrzymim zaangażowaniem śledzić przygody jednostkowych bohaterów o tyle, o ile możemy się z nimi utożsamić. Empatia, jak pokazują liczne badania, jest ściśle związana z naszą zdolnością do przeżywania narracji. To, swoją drogą, kluczowe wyzwanie. Nie tylko dla twórców serialu, bo od nich zależy najwyżej stan konta Jeffa Bezosa, ale też dla każdej i każdego z nas, kto chciałby przekonać rozmówcę do zaangażowania się w walkę z nierównościami czy katastrofą klimatyczną. Jak spleść los świata z losami konkretnych bohaterów tak, by nie stracić z oczu ani ludzkiego wymiaru doświadczenia, ani planetarnej skali wyzwań, przed którymi stoimy?

Twórcom „Pierścieni Władzy" zadanie się nie powiodło. Oby nam wszystkim, którym na sercu leży przyszłość naszej całkiem rzeczywistej planety i zamieszkujących ją plemion, poszło lepiej.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

EZA DARWIN / MATERIAŁY PRASOWE

Duet Senyawa – Rully Shabara (z prawej) i Wukir Suryadi, wrzesień 2020 r.

Upragniony atak paniki

JAN BŁASZCZAK

Odkąd Rully Shabara zaczął robić międzynarodową karierę, zachodni krytycy tłumaczą niespotykany sposób jego śpiewu, odnosząc go do indonezyjskich tradycji muzycznych. Nie jest to takie proste.

Krakowski Festiwal Unsound obchodzi w tym roku dwudzieste urodziny. Przy okazji jubileuszu wystąpi na nim artysta odpowiedzialny za najbardziej spektakularny koncert, w jakim miałem okazję uczestniczyć podczas tego festiwalu. Rully Shabara z indonezyjskiego duetu Senyawa w 2016 r. wystąpił w hotelu Forum w towarzystwie producenta Rabiha Beainiego. Nie wiedziałem o nich nic. Nie znałem instrumentu, na którym grał Wukir Suryadi, a techniki wokalne, którymi posługiwał się Shabara, wprawiały w osłupienie. Z każdą minutą występu rosło moje niedowierzanie, a wraz z nim ekscytacja. Nie potrafiłem rozłożyć muzyki Senyawy na części pierwsze. Oni rozłożyli mnie z łatwością.

– Grając w Europie, kilkakrotnie słyszałem, że ktoś dostał ataku paniki na naszym koncercie – wspomina Shabara. – U niektórych były krótkie, prawie niezauważalne, u innych – poważniejsze. Pomyślałem wtedy: „Ha! Czyli nawet ludzie Zachodu potrafią wejść w trans!". Zupełnie się tego po nich nie spodziewałem. Obcują z czymś zupełnie nieznanym i nagle tracą grunt pod nogami? Może gdyby otworzyli się na tę inność, to zamiast strachu znaleźliby w tym coś zupełnie innego?

Jeśli nagrywa cykl albumów o nieistniejącej starożytnej cywilizacji, zaczyna od wymyślenia jej języka. Gdy przygotowuje się do wykonania tradycyjnego rytualnego utworu „Jaranan", spędza tygodnie jako uczestnik obrzędów. Ostatecznie swojej twórczości nie postrzega w kategorii sztuki, ale raczej

impulsu do rozwoju i narzędzia poznania: – Artysta powinien tworzyć albo dla społeczeństwa, albo dla samej sztuki. Dlatego wolę twierdzić, że muzyką posługuje się jak narzędziem. Oczywiście, towarzyszy temu pewna odpowiedzialność, ale odpowiadam głównie przed sobą. To, co robię, w zasadzie nie różni się od tego, kim jestem.

To ostatnie zdanie daje mi nadzieję. Pogodziłem się już z tym, że próby opisania twórczości Senyawy i wytłumaczenia jej fenomenu skazane są na niepowodzenie. A tutaj pojawił się nowy klucz. Wystarczy dowiedzieć się, kim właściwie jest Rully Shabara.

Poliglota

Wokalista Senyawy urodził się w Palu na wyspie Sulawesi (Celebes). W jego domu sztuka nie odgrywała znaczącej roli. A jednak rodzinna tradycja zaważyła na wyborze jego życiowej drogi.

– W 1995 roku przeprowadziłem się do Yogyakarty na Jawie, gdzie miałem zacząć naukę w szkole średniej – wspomina Shabara. – W naszej rodzinie uważano, że najstarszy chłopiec powinien opuścić dom możliwie wcześnie. Chociaż miałem tylko czternaście lat, czułem się gotowy.

Palu i Yogyakarta znajdują się na innych wyspach, ale ich mieszkańców dzieli coś więcej niż Morze Jawajskie. Kiedy pytam Shabarę, co stanowiło dla niego największą trudność, nie ma wątpliwości: – Język! Trafiłem do zupełnie innego świata, ale najgorsze było to, że nic nie rozumiałem. Mówiłem po indonezyjsku, a mimo to nie łapałem żartów, z których śmiali się w szkole. Nienawidziłem tego. Tym bardziej że nastolatkowie mają w zwyczaju dręczyć tych, którzy nie pasują.

Choć indonezyjski ma status języka urzędowego, w kraju tysięcy wysp ważną rolę odgrywają języki lokalne. Między innymi jawajski, którego Shabara musiał się nauczyć w trybie przyspieszonym: – Powoli zbliżyłem się do rówieśników, osłuchałem i nagle rozumiałem, co mówią. Ich żarty zaczęły mnie bawić. Język okazał się najlepszą przepustką do poznania drugiego człowieka.

Język stanowi jeden z dwóch filarów twórczości Shabary. Nie tylko dlatego, że śpiewa po indonezyjsku i w trzech innych językach, którymi posługują się jego rodacy. Jako poliglota wie, że jego rola nie ogranicza się do komunikacji: – Każdy język ma swoją logikę. Inne słowa i relacje między nimi mogą sugerować zupełnie inną perspektywę. Kształtują naszą osobowość. Istnieją języki, które wymagają od ciebie wiary w niematerialne zjawiska. Język to narzędzie do programowania mózgu.

Shabara najpierw został pisarzem. Po ukończeniu szkoły średniej rozpoczął studia z literatury angielskiej. Język nie wydawał mu się trudny, a poza tym i tak całymi dniami siedział w książkach. Dostęp do nich stał się bardzo łatwy po zamieszkach w roku 1998, które doprowadziły do upadku trzydziestoletniej wojskowej dyktatury prezydenta Suharto.

Kiedy nie czytał, pisał opowiadania. Każdego tygodnia kończył kolejne. Kserował je i rozdawał na uczelni. Nigdy nie brał za nie pieniędzy. Czasem się wymieniał. Dostawał to, co jego czytelnicy mieli akurat pod ręką. Czasem były to własnoręcznie wykonane dzieła sztuki. Innym razem – nielegalne substancje.

Samouk

Choć literatura miała wtedy bezwzględne pierwszeństwo w życiu Shabary, muzyka również zajmowała w nim ważne miejsce. Warto znów wrócić do jego samotnej przeprowadzki: w tym trudnym czasie środowiska muzyczne były pierwsze, do których członkostwa mógł aspirować.

– Ciągnęło mnie do tych ludzi, bo dla nich liczyło się tylko granie. Nie to, skąd jesteś i jak wyglądasz. Chciałem być częścią takiej grupy. To, jaką grali muzykę, miało dla mnie drugorzędne znaczenie.

Szybko uznał, że jeżeli ma tworzyć muzykę, jego domeną będzie głos: – Za jego pośrednictwem zawsze dotykasz duchowości. Z tego prostego powodu, że głos wydobywasz z siebie. Swoją uwagę musisz więc skierować do wewnątrz. Jeśli chcesz na serio zajmować się głosem, musisz dowiedzieć się, kim jesteś.

Odkąd Shabara zaczął robić międzynarodową karierę, zachodni krytycy tłumaczą sposób jego śpiewu, odnosząc go do indonezyjskich tradycji muzycznych. Wychodzą z założenia, że skoro nie widzą dla niego odpowiedników w kulturze anglosaskiej, to z pewnością skrywają się one po jawajskich wioskach. Nie jest to takie proste.

Shabara sam nie potrafi nazwać swoich wokalnych technik ani wyprowadzić ich z konkretnych tradycji. Jest samoukiem. Także w tym sensie, że w swojej twórczości koncentruje się na sobie: – Nigdy nie chodziło o inspiracje, ale o mnie. O to, kim jestem i z czego się składam. Wychowałem się w Indonezji i to na pewno na mnie wpłynęło. Byłem też dzieciakiem słuchającym metalu i hardcore-punka – i to jest równie ważne.

Fascynacje językiem i głosem Shabara po raz pierwszy połączył w Zoo – eksperymentującym rockowym zespole, którego utwory opowiadają o losach wymyślonej cywilizacji. Nigdy nie chodziło tu tylko o muzykę, ale także zadania, które Shabara rozpisał sobie na lata: – W 2012 r. miałem wizję działalności tej grupy, dzięki której rozpisałem jej aktywność do 2025 r. To opowieść o rozwoju cywilizacji prowadzona z różnych perspektyw: języka, religii, kultury. Oczywiście moja ówczesna wiedza zupełnie na to nie pozwalała. Musiałem więc dużo czytać i mocno nad sobą pracować, by móc sprostać postawionym przed sobą zadaniom. Zespół mógł rozwijać się w takim stopniu, w jakim rozwijałem się ja.

Właśnie na potrzeby Zoo muzyk wymyślił nowy język. Opracował jego zasady i opisał je algorytmem, który pozwala rozwijać go zgodnie z wewnętrzną logiką. Shabara stworzył też system znaków, a nawet organizował językowe warsztaty. Ostatecznie tylko dzięki nim słuchacze mogli zweryfikować, czy wraz z kolejnymi płytami Shabara sprostał postawionemu przed sobą wyzwaniu.

Gwiazda

Rok 2012 był ostatnim, kiedy Shabara miał dość czasu na podobne rozmyślania. Dwa lata wcześniej na scenie Yes No Klubu, kultowego lokalu na niezależnej scenie Yogyakarty, poznał Wukira Suryadiego. Multiinstrumentalista i konstruktor prezentował wówczas swoje nowe dzieło: wykonany z bambusa instrument mający cechy zarówno instrumentu strunowego, jak i perkusyjnego. Shabara, który wówczas chętnie podejmował się spontanicznych improwizacji, poczynając od producentów elektroniki, aż po bębniarzy grających na kendangach, wskoczył na scenę. Po chwili poczuł, że zaskoczyło. Że ta relacja jest inna. I tak powstała Senyawa.

Shabara z pewnością przypisałby jej określone zadania i strategie rozwoju, gdyby nie to, że dwa lata później francuski reżyser Vincent Moon nakręcił o duecie głośny dokument. Film „Calling ↦

↦ the New Gods" sprawił, że w Europie zaczęto poświęcać grupie sporo uwagi. Przez następną dekadę miała ona tylko rosnąć. W efekcie Senyawa grała w australijskich klubach, na amerykańskich festiwalach i w najelegantszych salach koncertowych Londynu. W kolejce do współpracy ustawiali się kompozytorzy, producenci muzyki elektronicznej, gwiazdy awangardowego jazzu i ekstremalnego metalu. Pierwsze lata działalności zespołu Shabara wspomina jako okres ciągłej pracy. Kiedy wszystko przychodziło tak łatwo i szybko, że brakowało czasu na refleksję.

Co nie znaczy, że jej nie było. Przed nagraniem jednego tylko utworu „Jaranan" muzyk tygodniami uczestniczył w tradycyjnych obrzędach, by doświadczyć wejścia w trans: – Nie chciałem udawać. Uczestniczyłem w procesjach na groby przodków, słuchałem, zadawałem pytania. Mimo to kiedy trwał występ, wciąż nie mogłem tego poczuć. Podszedłem więc do szamana i wyznałem, że bardzo chciałbym stać się częścią tego wydarzenia. Objął mnie ramieniem, a palcami drugiej ręki przeciągnął pod moim nosem. Potem zaczął pokazywać muzykom różne komendy. W odpowiedzi na nie grupa zaczęła wygrywać różne rytmy, aż nagle on uderzył mnie w czoło otwartą dłonią. I się zaczęło. Zupełnie odpłynąłem.

Budowniczy

Debiut Senyawy nosił tytuł „Acaraki", co można przetłumaczyć jako naukę mieszania ziół. I rzeczywiście na tym etapie muzycy próbowali wypracować formułę wspólnego tworzenia. Następną płytą było „Menjadi", co znaczy tyle, co „stawać się". I znów, w tym okresie Indonezyjczycy zaczęli odkrywać, jaka będzie ich twórczość. Później Senyawa nagrała „Puncak", czyli szczyt, wzniesienie. Tym razem było to wydawnictwo zawierające czystą improwizację. Według Shabary to właśnie jest szczyt wspólnego muzykowania. Po nim ukazał się „Sujud", czyli wyczerpanie. Shabara tłumaczy, że ta płyta to symboliczne zejście z gór, by połączyć się z ziemią. Dlatego wypełnia ją muzyka ciężka, brudna i pełna przesterów.

– Zaczęliśmy się zastanawiać, jaki powinien być nasz następny ruch. Wymyśliliśmy, że nagramy naszą próbę. Zagraliśmy stare utwory, które po dziesięciu latach nabrały pełniejszych form. Wydaliśmy to jako „Rehearsal Session 2019", niejako podsumowując pierwszą dekadę Senyawy.

Hasłami drugiej dekady działalności muzycy uczynili „samowystarczalność" i „sztukę przetrwania". Pomysł ten wynikał z potrzeby zwolnienia tempa i większego zaangażowania w budowanie lokalnej sceny. Shabara i Suryadi postanowili, że będą częściej grywać w mniejszych ośrodkach swojej ojczyzny, nawet jeśli mieliby do tego dopłacać. Ten związek pomiędzy wybranymi przez muzyków hasłami a Indonezją miał też inny wymiar.

Shabara tłumaczy, że jego rodacy mają sztukę przetrwania wpisaną w genach. On sam doświadczył w Yogyakarcie katastrofalnego trzęsienia ziemi oraz erupcji wulkanu Merapi. Cztery lata temu jego rodzinne strony zdewastowało potężne tsunami. Shabara rozmawia ze mną z mieszkania w Dżakarcie, do którego przeprowadził rodziców z obawy przed kolejnymi kataklizmami. Nic dziwnego, że w twórczości Senyawy pojawiają się wątki dotyczące sił przyrody i krótkowzroczności człowieka naruszającego jej spokój. – W Indonezji mamy świadomość, że do katastrofy może dojść w każdej chwili.

Ale cios przyszedł z niespodziewanej strony. Po pierwszej indonezyjskiej trasie Senyawa musiała radykalnie zmienić plany – wybuchła pandemia COVID-19. Z drugiej strony trudno o lepszy sprawdzian „samowystarczalności". Dotychczas muzycy mierzyli się z hasłami drugiej dekady z zaskakującej perspektywy. Na albumie „Alkisah" podjęli temat władzy. Tego, jak trudno utrzymać ją w ryzach. Uznali, że do przetrwania człowieka niezbędne są mechanizmy dzielenia się władzą nie tylko na poziomie politycznym. Dlatego duet wydał swój nowy album nakładem 44 wytwórni z całego świata. Wydawcy, którzy odpowiedzieli na wezwanie, mieli całkowitą dowolność w zakresie doboru grafiki, kolejności utworów, a nawet ich miksu.

Podobnej symboliki trudno doszukiwać się w projekcie Osmium, w ramach którego Shabara wystąpi 15 października w Krakowie u boku m.in. kompozytorki i laureatki Oscara, Hildur Guðnadóttir. Przeciwnie, kiedy rozmawiamy, muzyk nie zna jeszcze założeń nowego projektu. Jest zachwycony możliwością współpracy z Islandką, a ponadto wie jedynie, że na potrzeby występu budowane są specjalne instrumenty. Trudno podejrzewać, by akurat to jakoś szczególnie mu zaimponowało. Etap budowania instrumentów ma już dawno za sobą. Natomiast kilka tygodni wcześniej, przygotowując się do nagrania kolejnego albumu Senyawy, wybudował świątynię.

Rozszyfrowanie Rully'ego Shabary wydaje się ostatecznie zadaniem równie trudnym jak analiza jego muzyki. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, ma to sporo sensu.

© JAN BŁASZCZAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY SERWIS SPECJALNY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego

Historia konkursu, sylwetki uczestników, codzienne podsumowanie rywalizacji, podkasty.

Bądź z nami od 7 do 21 października na www.tygodnikpowszechny.pl/wieniawski

PARTNER SERWISU:

16. Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego
POZNAŃ
7-21.10.2022

ROMAN BABAKIN / ADOBE STOCK

Zamek w Edynburgu na wzgórzu, Szkocja

Prawdziwie Szczęsny

DOROTA KOZIŃSKA

Zadziwiające, że wielu melomanom, którzy z zapałem śledzą polskie tropy na muzycznej mapie świata, nazwisko Feliksa Janiewicza nie obiło się nawet o uszy.

Kiedy Fryderyk Chopin odwiedził Edynburg po raz pierwszy, w sierpniu 1848 r., Feliks Janiewicz już nie żył. W październiku, dwa dni przed ostatnim publicznym występem w mieście, Chopin skarżył się w liście do swej uczennicy, panny de Rosières: „Proszę sobie (...) nie wyobrażać, że to mi daje prócz zajęcia co innego jak zniecierpliwienie i przygnębienie, lecz spotykam tu dużo osób, które, zdaje się, lubią muzykę i męczą mię, bym grał, a ja przez grzeczność gram, za każdym razem żałując na nowo i przysięgając sobie, że się więcej nie dam nabrać".

W tych słowach daje się wyczuć nie tyle kokieterię, ile wyczerpanie człowieka dotkniętego śmiertelną chorobą. W jednym wszakże Chopin miał rację: w Edynburgu istotnie było dużo osób, które lubiły muzykę. Przyczynił się do tego splot najrozmaitszych okoliczności, w których Janiewicz – wirtuoz skrzypiec, kompozytor i dyrygent, a zarazem utalentowany przedsiębiorca i organizator życia muzycznego – odegrał rolę niebagatelną. Swego czasu cieszył się w Edynburgu znacznie większą estymą niż ta, na jaką mógł liczyć schorowany, tracący popularność Chopin, zmuszony przez kłopoty finansowe do odbycia tournée ponad siły.

Zadziwiające, że wielu melomanom, którzy z zapałem śledzą polskie tropy na muzycznej mapie świata, nazwisko Feliksa Janiewicza nie obiło się nawet o uszy. Być może dlatego, że na dobre wyjechał z ojczyzny jeszcze przed drugim rozbiorem, że nie wpisał się w nurt polistopadowej Wielkiej Emigracji i bujnej działalności polskich organizacji niepodległościowych. Kiedy wybuchło powstanie 1831 r., dobiegał już sześćdziesiątki i mieszkał w Edynburgu od lat kilkunastu. A przecież, jeśli wierzyć słowom „chłopskiego filozofa" Krystyna Lacha Szyrmy, który odwiedził go w roku 1824, czas spędzony na prywatnym koncercie u skrzypka „zszedł przyjemnie, jakby gdzieś w gościnnym domu nad Niemnem lub nad Wilią, bo Janiewicz był Litwin rodem, i chociaż od dziecinnych lat zostawał na obcej ziemi, przechował przecie w sobie wszystkie narodowe uczucia".

Furora

Feliks Szczęsny Janiewicz przyszedł na świat w Wilnie w roku 1762, nie znamy ↦

↦ jednak dokładnej daty jego narodzin, nie wiemy, kim byli jego rodzice, z jakiego stanu się wywodził, czy był potomkiem osiedlonych tu setki lat wcześniej Polaków, czy spolszczonych Litwinów. Nie wiemy, u kogo pobierał pierwsze nauki gry na skrzypcach. Nie mamy pewności, komu zawdzięczał angaż do kapeli królewskiej w Warszawie w wieku zaledwie piętnastu lat oraz hojne monarsze stypendium, które kilka lat później umożliwiło mu długą i brzemienną w skutki podróż po Europie – od Nancy, przez Wiedeń, Neapol i Wenecję aż po Paryż.

Pogłoski, jakoby był nieślubnym synem Stanisława Augusta Poniatowskiego, zdają się wymysłem zawistników i prowadzą w ślepy zaułek. Trudno powiedzieć, czy w Wiedniu rzeczywiście odebrał pierwsze „poważne" lekcje kompozycji u Josepha Haydna. Dopóki zaginiony rękopis się nie odnajdzie, nie sposób dociec, czy Mozart istotnie zadedykował mu swoje Andante KV 470, czyli wariant drugiej części Koncertu skrzypcowego D-dur KV 218. Ba, nie wiadomo nawet, czy obydwaj muzycy znali się osobiście.

Strzępy artystycznej biografii Janiewicza zaczynają składać się w całość dopiero na przełomie ostatnich dwóch dekad XVIII stulecia, kiedy skrzypek, po doskonale przyjętych występach we Włoszech, wzbudził równą furorę na paryskich Concerts Spirituel, potem zaś trafił na dwór Ludwika Filipa II Orleańskiego i jego żony Ludwiki Marii. Radość trwała krótko: aż do wybuchu rewolucji francuskiej i utraty posady u księcia – który zresztą niewiele później utracił głowę na szafocie, choć po ogłoszeniu republiki wyparł się własnego ojca, ogłosił się synem ludu i oficjalnie zmienił imię na Philippe Égalité. Janiewicz roztropnie opuścił Francję, mniej jednak roztropnie wrócił do ojczyzny – w sam środek Sejmu Czteroletniego i towarzyszącego mu zamętu, który w równym stopniu przyczynił się do rozwoju postaw obywatelskich i patriotycznych, jak do gwałtownego spadku poziomu życia muzycznego w konającej Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Wzorem wielu ówczesnych artystów, z przerażeniem obserwujących upadek oswojonego porządku świata, Janiewicz

Feliks Janiewicz (1762-1848)

spakował manatki i ruszył do Wielkiej Brytanii, gdzie ostatecznie spędził ponad pół wieku, dożył spokojnej starości i zmarł w sędziwym wieku osiemdziesięciu sześciu lat. Pierwsze wielkie sukcesy odniósł już w 1792 r., na koncertach abonamentowych Johanna Petera Salomona, który ściągał do Londynu największe sławy, np. wirtuozów fortepianu Jana Ladislava Dusska, Johanna Nepomuka Hummla i Muzia Clementiego. Kiedy Salomon zaczął zapraszać na Wyspy tytanów ówczesnej wiolinistyki, na czele z Giovannim Battistą Viottim, przyjacielem Haydna i Beethovena, Janiewicz – być może z obawy przed utratą dotychczasowej pozycji – rozszerzył swoją działalność na inne miasta, m.in. Dublin i modny kurort Bath.

Prosperity

W końcu stulecia zawitał także do Liverpoolu. Właśnie tam w jego życie wkroczyła miłość, a przynajmniej chęć ustatkowania się i założenia rodziny. W 1799 r. poślubił pannę Elizę Breeze, o której dzieciństwie i wczesnej młodości wiadomo równie niewiele, jak w przypadku obfitującego w białe plamy biogramu jej męża. Nie znamy nawet daty jej narodzin. Za to dziwnym trafem zostawiła po sobie świadectwo swoich upodobań literackich – z zachowanych ksiąg wypożyczeń bibliotecznych wynika, że zaczytywała się na przemian w powieściach Jane Austen i pamiętnikach brytyjskich podróżników.

Z pewnością okazała się troskliwą żoną i rozsądną panią domu, o czym świadczy też nieprzerwany ciąg zawodowej prosperity Feliksa w ciągu piętnastu lat spędzonych w Liverpoolu. Janiewicz występował, organizował koncerty, założył też własny sklep pod nazwą Music, Musical Instruments Warehouse, który wkrótce dorobił się filii w Londynie.

W roku 1813 Janiewicz przyczynił się do jednej z najważniejszych inicjatyw w historii muzyki europejskiej: znalazł się w gronie trzydziestu ojców założycieli Philharmonic Society of London, wraz z niestrudzonym wydawcą muzycznym Vincentem Novello oraz wspomnianymi już Salomonem i Clementim. Ich głównym celem było zorganizowanie pierwszej stałej orkiestry w stolicy i promocja twórczości najwybitniejszych kompozytorów epoki. Niebagatelną rolę w tym przedsięwzięciu odegrało też otwarcie nowego budynku Argyll Rooms przy reprezentacyjnej Regent Street: ustanowienie siedziby Towarzystwa właśnie w tym miejscu dawało też szansę poprawy zszarganej reputacji księcia regenta, późniejszego króla Jerzego IV, ekstrawaganta i utracjusza, który przysporzył sobie kolejnych wrogów niezwykle kosztowną przebudową okolic dzisiejszego Regent's Park według projektu Johna Nasha. W pierwszym sezonie działalności Philharmonic Society of London – w 1912 r. przemianowanego na Royal Philharmonic Society – Janiewicz stanął na czele nowo utworzonej orkiestry.

Powodzenie przedsięwzięcia skłoniło go do podjęcia jeszcze śmielszej inicjatywy. W 1815 r. Janiewicz został współorganizatorem pierwszych festiwali muzycznych w Edynburgu, w których programie znalazły się m.in. oratoria Händla i Haydna, symfonie Mozarta i Beethovena, wykonania arii operowych oraz – rzecz jasna – jego własne utwory. Obowiązki muzycznego „antreprenera" wiązały się z koniecznością przeprowadzki do miasta, które stało się właśnie symbolem dobrego smaku i nowoczesności, przyciągając nie tylko luminarzy nauki i kultury, ale też próżniaczych arystokratów i aspirujących snobów.

DOMENA PUBLICZNA

Zapomnienie

Zmiana przyszła nagle. Kwitnący za szkockiej monarchii Edynburg od przeszło stu lat dogorywał. Po klęsce drugiego powstania jakobitów w 1745 r. został ostatecznie zajęty przez Anglików. Był wówczas jednym z najbrudniejszych, najbardziej niebezpiecznych i najgęściej zaludnionych miast w Europie. Domy na średniowiecznej starówce obrastały kolejnymi piętrami, bo w obrębie murów nie było już gdzie stawiać nowych budynków. W jednej izbie mieszkało czasem po kilka rodzin, na przemian śpiąc, jedząc, załatwiając potrzeby fizjologiczne i płodząc dzieci. Zaułkami płynęły fekalia. Fetor uryny, dobiegający także z warsztatów garbarskich, walczył o lepsze z kwaśnym odorem niemytych ciał, gnilną wonią chorób i śmierci, zjełczałym smrodem łojówek.

Oświeceni zdobywcy nie chcieli tu mieszkać. Woleli zostawić stare miasto własnemu losowi i wybudować obok nowe, rozrysowane przez miejscowego architekta Jamesa Craiga na planie symetrycznie podzielonego prostokąta, wznoszone w rekordowym tempie w ostatnich dekadach XVIII wieku, według projektów najlepszych szkockich budowniczych, w czystym i eleganckim stylu neoklasycznym.

Edynburg, miasto ze snu szalonego boga, jak nazwał je później pewien poeta, rozrastało się dalej. Po pierwszym New Town powstało drugie, położone dalej na północ. Tam właśnie zamieszkał Feliks Janiewicz wraz z żoną i trójką dzieci. W pocztowej książce adresowej figurowało jego zangielszczone nazwisko „Yaniewicz" ze skromnym dopiskiem „nauczyciel muzyki". Ostatni koncert w mieście dał w 1829 r. Potem zajął się głównie działalnością pedagogiczną, organizacją koncertów w mieście i podejmowaniem gości w swoim muzycznym salonie.

Janiewicz zmarł spokojną śmiercią, w otoczeniu najbliższych. A potem trochę o nim zapomniano, nawet w Edynburgu. Jego twórczość kompozytorska, na którą składa się przede wszystkim pięć wirtuozowskich koncertów skrzypcowych, ale też tria smyczkowe, divertimenta, pieśni i utwory fortepianowe – z licznymi odniesieniami do europejskiej muzyki tradycyjnej, w tym ojczystych mazurków i polonezów – doczekała się skrajnie rozbieżnych ocen muzykologów. Jedni zarzucali jej wtórność, konserwatyzm i poważne braki warsztatowe, drudzy – w tym Adrian Thomas, najwybitniejszy w Wielkiej Brytanii znawca i badacz muzyki polskiej – uznali ją za forpocztę arcydzieł Mendelssohna i zapowiedź bujnej inwencji melodycznej Dworzaka.

Z rodzinnych kufrów zaczęły wypływać kolejne pamiątki, na czele z inkrustowanym kością słoniową, pustym futerałem na dwoje skrzypiec. Jedne z nich, stradivariusa, sprzedał za 60 funtów.

Spełnienie

W tym roku w Edynburgu znów zrobiło się głośno o Janiewiczu: m.in. za sprawą jego prapraprapraprawnuczki Josie Dixon, która w młodości kojarzyła swego tajemniczego przodka głównie z portretu w domu swej babki. Owalny wizerunek, pędzla nieznanego z imienia imigranta z Francji, który sygnował swoje obrazy nazwiskiem De Longastre, nieodparcie przywodził jej na myśl pana Darcy'ego z „Dumy i uprzedzenia" Jane Austen. Później z rodzinnych kufrów i strychów zaczęły wypływać kolejne pamiątki, na czele z inkrustowanym kością słoniową i pięknie intarsjowanym, lecz pustym futerałem na dwoje skrzypiec. Jedne z nich, ponoć wysokiej klasy stradivariusa, sprzedał sam Janiewicz, kilka lat przed śmiercią, za niewygórowaną nawet jak na tamte czasy sumę 60 funtów.

Przy okazji wciąż nieudanych poszukiwań zaginionych skrzypiec Dixon trafiła na informację o bogato zdobionym fortepianie stołowym, odnalezionym w walijskiej Snowdonii i pieczołowicie odrestaurowanym przez Douglasa Hollicka z Konserwatorium w Birmingham. Po kontakcie z Hollickiem dowiedziała się, że instrument ma złoconą tabliczkę z adresami obydwu sklepów Janiewicza. Mało tego: jego budowniczym najprawdopodobniej był sam Muzio Clementi. Dixon wpierw zorganizowała skuteczną kampanię crowdfundingową, dzięki której udało się sprowadzić fortepian do Edynburga, po czym poświęciła trzy lata na przygotowanie wystawy „Music and Migration in Georgian Edinburgh. The Story of Felix Yaniewicz", zorganizowanej we współpracy z National Trust for Scotland oraz Instytutem Adama Mickiewicza.

Wybierałam się do Edynburga nie tylko ze względu na wystawę, ale też dwa towarzyszące jej koncerty, przede wszystkim wieczór poświęcony współpracy Janiewicza z Angeliką Catalani, jedną z najsłynniejszych śpiewaczek epoki, obdarzoną głosem o rozpiętości blisko trzech oktaw i fenomenalną techniką koloraturową. Tą samą Catalani, która podczas krótkiej wizyty w Warszawie usłyszała grę dziesięcioletniego Chopina i dała mu w prezencie złoty zegarek z dedykacją, z którym ponoć nigdy się nie rozstawał.

Koncerty przełożono w związku z przygotowaniami do pogrzebu królowej Elżbiety II, poprzestałam więc na wystawie, w której centrum znalazł się wspomniany już fortepian ze sklepu prapraprapradziadka. Wystawie niewielkiej, a mimo to osadzonej w najlepszym z możliwych kontekstów, czyli we wnętrzach The Georgian House, modelowej „nowomiejskiej" rezydencji przy Charlotte Square. W budynku pieczołowicie odtworzono atmosferę domu Johna Lamonta, wodza klanu i dziedzica majątku Ardlamont w Argyllshire, który pierwszy wprowadził się pod ten adres i przez następnych 19 lat wyprzedał się prawie ze wszystkiego, żeby żyć w Edynburgu na odpowiednio wysokiej stopie. W 1815 r. ostatecznie się poddał i wrócił na wieś, gdzie rok później zmarł: może ze wstydu, może z rozpaczy, że zadłużył rodzinę po uszy.

W takich właśnie salonach na Nowym Mieście mógł grywać kiedyś Janiewicz. W takim towarzystwie, racząc się portwajnem, mógł kiedyś swatać dwie swoje córki. Przy takich stołach raczyć się specjałami z kuchni, która wygląda jak skrzyżowanie szkolnej pracowni chemicznej z salą tortur.

Bo niemal każdy ze zgromadzonych na wystawie przedmiotów kojarzy się z żywym człowiekiem, nie zaś wykutym w marmurze pomnikiem artysty. Dzwonek stołowy. Tabakierka. Srebrna łyżeczka. Prywatna korespondencja. Strzępy biografii naszego rodaka: podziwianego artysty, którego nie trzeba było męczyć, żeby grał, godnego szacunku dżentelmena, człowieka spełnionego

© DOROTA KOZIŃSKA

Definitywny koniec lata

ANITA PIOTROWSKA

Dojrzałe figi, brzoskwinie, ciepłe od słońca pomidory. Zrywają je ręce małe i duże, młode i pomarszczone. Lecz już za chwilę ów względnie harmonijny porządek może się wywrócić pod naporem cywilizacyjnych zmian.

MATERIAŁY PRASOWE I WONDER PICTURES

Carla Simón w swoim nowym filmie portretuje katalońską prowincję tak, jakby kręciła dokument. A społeczno-ekonomiczny kontekst jest dla niej nie mniej ważny niż to, co wydarza się między najbliższymi. Z udziałem naturszczyków, mówiących w lokalnej odmianie języka katalońskiego, „Alcarràs" buduje na ekranie ludzki matecznik, wrośnięty w miejsce, naturę, klimat i wystawiony na próbę przetrwania nie tylko w swym rdzennym środowisku, ale i w dotychczasowym kształcie.

W jednej z wielu pozornie błahych scenek widzimy miejscowe staruszki, które podczas winobrania spierają się, czy sos *sofrito* lepiej ucierać w moździerzu, czy mikserem. Pewnie obie strony mają swoją rację – zarówno tradycja, jak i nowoczesność coś wnoszą i czegoś pozbawiają. Jednakże Simón wraz ze swym współscenarzystą Arnau Vilaró nie chcą nużyć widza odwiecznym konfliktem z serii „stare i nowe".

Kiedy doświadczony rolnik Quimet dowiaduje się, że w miejscu uprawianego przezeń brzoskwiniowego sadu właściciel ziemi przewiduje założenie farmy fotowoltaicznej, rozpoczyna się opowieść, która od fatalizmu lub czczej nostalgii woli obserwację drobiazgową i bezstronną. Na tyle, na ile to możliwe, albowiem serce reżyserki bije zdecydowanie po stronie odchodzącego i doskonale jej znanego świata.

Raz jeszcze najlepszymi przewodnikami po nim okazują się dzieciaki. Quimet (Jordi Pujol Dolcet) i Dolors (Anna Otin) mają ich trójkę, ale to mała łobuziara Iris (Ainet Jounou), buszująca nie tylko w zbożu i przewodząca dwójce miastowych kuzynów, pozwala spojrzeć na dorosłe problemy przez śmieszne okulary. Nawet czasochłonne wiejskie obowiązki, angażujące również najmłodszych, są tu okazją do zabawy. Z palet ogrodowych można zbudować dom, w dawnym bunkrze pobawić się w wojnę, a w porzuconym na bagnach wraku samochodu wymyślić sobie pojazd kosmiczny. Gdy w okolicy pojawia się nagle obcy dźwig, zwiastujący rychły koniec tego świata, dzieciaki zyskają kolejne akcesorium do psot.

W tym samym czasie nad ich domem zbierają się czarne chmury. Chociaż nie będą musiały go opuścić, dorodne drzewa owocowe zostaną stratowane przez harwestery, jako że dziadek (Josep Abad) nie dopatrzył ongiś formalności związanych z ziemią, oddaną rodzinie do uprawy przez miejscowych posiadaczy, wdzięcznych za pomoc podczas wojny domowej. Na dodatek rolnictwo w rejonie Alcarràs z powodu zaniżonych cen skupu stało się dziś kompletnie nieopłacalne, toteż wielkie koncerny masowo wykupują grunty, często za bezcen, otwierając tam dochodowe biznesy. I na przykład instalują panele słoneczne, których konserwacją mógłby zająć się Quimet, gdyby tak bardzo nie kochał tego, co robi i gdyby nie był aż tak uparty.

Simón nie stara się idealizować tamtego porządku. Wszak prawdziwemu wiejskiemu życiu daleko do sielanki: choć dokucza kręgosłup, haruje się od świtu do nocy, bez ceregieli trzeba wykańczać pustoszące sad dzikie króliki, a sztywna postawa Quimeta, osoby skądinąd sympatycznej, wynika w dużej mierze z patriarchalnego zafiksowania w swoich rolach. Tymczasem zewsząd napiera nowe i zdecydowanie lepiej odnajdują się w nim kobiety. Młodzież zaś woli mniej legalne uprawy, muzykę techno i tiktokerskie tańce, jedna z sióstr bohatera, która opuściła przed laty wieś, prawdopodobnie jest lesbijką, a podczas corocznej fiesty w miasteczku mężczyźni, ku uciesze tłumu, występują w kobiecych strojach. Jednak to nie postęp obyczajowy i technologiczny ani ekologiczna skądinąd energetyka zdaje się największym wrogiem Quimeta i jemu podobnych. Przede wszystkim stali się ofiarami brutalnej polityki rolnej i pewnego dnia pozostanie im już tylko wyjść na ulice.

Twórcy filmu stoją murem za swoimi bohaterami – za każdym z osobna, na dobre i na złe. Każdy z nich inaczej reaguje na kryzys i pozostaje w tym osamotniony. Niektórzy godzą się z dramatyczną sytuacją i podążają za nowym, co powoduje pęknięcie w rodzinie.

ALCARRÀS
– reż. Carla Simón. Prod. Hiszpania/ /Włochy 2022. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 14 października.

Carla Simón urodziła się w 1986 r. w Barcelonie i pozostaje wierna katalońskim korzeniom. Jej znakomity debiut „Lato 1993" (2017) wyrósł z osobistych doświadczeń, kiedy jako sześciolatka straciła rodziców (ofiary AIDS) i musiała zamieszkać u wujostwa na wsi. Powracający w podobne rejony „Alcarràs" otrzymał Złotego Niedźwiedzia na Berlinale i jest hiszpańskim kandydatem do Oscara.

Wiekowy dziadek coraz bardziej zapada się w sobie, a w młodych narasta gniew wobec niesprawiedliwości i wobec ojcowskiego uporu. Obrażony na rzeczywistość Quimet staje się wobec bliskich coraz bardziej szorstki i w swym oporze coraz bardziej radykalny, zapłaci więc w końcu najwyższą cenę. Mimo to próbują dalej trzymać się razem, udało się bowiem tej rodzinie zbudować coś niesłychanie mocnego, widocznego w fizycznym kontakcie. Bo ciało nie kłamie. Czy pracują, czy ucztują, czy regenerują się po codziennym wysiłku, bohaterowie „Alcarràs" nie wstydzą się wzajemnego dotyku, czysto fizycznego bycia razem, niejako sklejeni ze sobą słodkim, lepkim sokiem (dodajmy: bez żadnych podtekstów). To zresztą film niezwykle zmysłowy, pełen późnoletniego światła, ciepłych deszczy i szumiących w konarach wiatrów. Dużo w nim dobrego jedzenia i domowego wina. Nic dziwnego, że tak mało pociągająco jawi się wypolerowana nowoczesność w domu i zagrodzie albo lżejsza, schludniejsza i lepiej opłacana praca przy panelach.

Simón wierzy, iż rodzący brzoskwinie sad był dla tych ludzi czymś więcej niż źródłem utrzymania czy kultywowanym od pokoleń materialnym dziedzictwem – był organiczną częścią tej rodziny. Śpiewana przez dziewczynkę piosenka, zaczynająca się od słów „Gdyby słońce pracowało na roli, nie wstawałoby tak wcześnie", brzmi niczym chłopska skarga, lecz w finale słychać w niej pochwałę życia skromnego, samowystarczalnego i coraz bardziej anachronicznego w obliczu neoliberalnych przemian w agrobiznesie. Tak też, z maksymalną atencją i tkliwością, pracuje kamera Danieli Cajías, wydobywając z codziennego chaosu pojedyncze nastroje i emocje. Brak w jej spojrzeniu naiwnego sentymentalizmu, jest za to szczypta melancholii.

Gdy lato definitywnie się skończy, przynajmniej maleńką część tamtego świata uda się zachować w słoikach. Podobnie działa film „Alcarràs" – jakby chciał utrwalić na gorąco te wszystkie zapachy, smaki, dotyki, które wraz z wycinką starych drzew na zawsze utracą swą intensywność. ©

Lektor:
W klatce domu

▪ *Ivy Compton-Burnett*
SŁUŻĄCY I SŁUŻĄCA
Przekład i posłowie Marcin Szuster. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2022, ss. 422

Bywają pisarze, których nie tłumaczono na polski obficie i nie zdobyli u nas szczególnej popularności, mają jednak grono zaprzysięgłych wyznawców. Zapewne szczupłe – ale co z tego. To także przypadek Angielki Ivy Compton-Burnett (1884-1969). Zaczęło się od dwóch powieści („Teraźniejszość i przeszłość", „Więcej pań niż panów") wydanych w latach 70. w serii „Nike". Ich tłumaczka, Bronisława Bałutowa, opublikowała nawet monografię autorki. Potem jednak nastąpiła długa przerwa i dopiero w roku 2014 ukazał się kolejny przekład: powieść „Dom i jego głowa", teraz zaś „Służący i służąca". A kanon prozy Compton-Burnett liczy dziewiętnaście powieści!

Co tak fascynuje w groteskowych i okrutnych zarazem studiach obyczajowych z epoki wiktoriańskiej i edwardiańskiej, prowadzonych w rytmie przestylizowanego salonowego dialogu? W powieściowym teatrze, w którym kolejne postacie wychodzą na scenę, by wygłosić swoje kwestie, ignorując często intencje przedmówcy? Po pierwsze – mistrzostwo retoryczne konwersacyjnych powikłań; proszę choćby prześledzić, jak rozwija się, w szerokim sensie, inicjacyjny wątek kopcącego kominka. Po drugie – bezwzględna precyzja w portretowaniu mechanizmów rodzinnej opresji, które działały przecież nie tylko w państwie królowej Wiktorii.

Pisarka obdarzona przez los dramatycznym życiorysem – śmierć dwóch braci, samobójstwo dwóch sióstr, pierwsza wielka wojna, którą przeżyła jako katastrofę – pierwszą dojrzałą powieść wydała stosunkowo późno, bo po czterdziestce. Zrezygnowała przy tym z tak zwanego szerokiego tła społecznego, zamykając bohaterki i bohaterów, od patriarchalnego pana domu poprzez podległe mu kobiety i gromadkę dzieci po służących czy kucharkę, w klatce rodzinnego domu, w klaustrofobicznej przestrzeni zależności i jawnych bądź ukrytych napięć. Tworzy, jak pisze w posłowiu Marcin Szuster, rodzaj „osobliwego traktatu o władzy, w którym kwestia panowania i przemocy łączy się z refleksją o języku". I na koniec cytat z krytyka Edwarda Sackville-Westa, który – zauważa Szuster – dał się być może ponieść skłonności do hiperboli, uchwycił jednak istotną cechę tej prozy: „Jeśli pominąć fizyczną przemoc i morzenie głodem, nie ma takiej cechy totalitarnego reżimu, która nie znalazłaby odpowiednika w potwornych rodzinach opisanych przez Ivy Compton-Burnett". ©℗

OLGA

Drenda: *Im wygodniej, tym niewygodniej*

Dawno, dawno temu przez pewien czas dzieliłam życie z przybyszem z kraju, do którego Polki i Polacy najczęściej wówczas wyjeżdżali. Przybysz osiadł w Krakowie i mimo niekłamanej miłości do Polski również i on nie uchronił się przed nieprzyjemnościami szoku kulturowego. Dopadły go już w osiedlowym supermarkecie. Pod sufitem hali przelatywały arcykrakowskie gołębie, a nowy mieszkaniec miasta kluczył między półkami w rozpaczy. „Gdzie są dania gotowe?", pytał, coraz bardziej zagubiony. Niestety, moja odpowiedź – a zarazem moje rozumienie tego terminu – musiała go rozczarować, gdyż wręczyłam mu opakowanie mrożonych warzyw na patelnię – niezbędnik każdego studenta i zmęczonego rodzica, rewelację, która przed kilku laty zdjęła kuchenny ciężar z ramion wielu z nas. Wydawało się, że wygodniej już być nie może. Podobnie jak przeciętna Polka, byłam przyzwyczajona do samosiowania. Jestem głodna – zrobię sobie sama. Mogłam kupić bukiet warzyw mrożonych, gotową bazę do sosu, ale ułatwiać coś więcej? To już jakieś kapryszenie. Tymczasem w oczach Brytyjczyka moja ekspresowa mrożonka jawiła się jako surowy półprodukt, bo chodziło mu o danie, które wystarczy włożyć do mikrofalówki i proszę! Oto pyszne, gotowe w trzy minuty spaghetti albo ryż z curry!

Od tamtej pory minęło wiele lat, a krajobraz gastronomiczny Krakowa – i całej Polski – zmienił się znacząco. Polacy powracający z Wysp zapewne ucieszyli się, że odkryte tam niedrogie przyjemności, które masowo polubili, takie jak jogurt grecki i hummus, są już dostępne w ojczyźnie w cenach nieluksusowych, a gdy ktoś uważnie poszuka, znajdzie nawet octowe chipsy dla koneserów. Małych sklepików w formacie *convenience* pojawiło się o wiele więcej niż przed dekadą, a w nich czekają dania ekspresowe, takie jak te, o których marzył mój dawny wybranek z krainy gotowców. Nie tylko jedzenie nam przyspieszyło. Od tamtych czasów – z których najlepiej pamiętam kupowanie na piętrze Jubilatu pochodzącej chyba z prekambru anteny kompatybilnej ze starym odbiornikiem TV naziemnej, żeby móc oglądać Euro 2012 – polska rzeczywistość stała się pod wieloma względami wygodniejsza, szybsza i płynniejsza. Nie muszę jeździć na dworzec po bilet kolejowy ani odliczać złotówek do biletomatu w autobusie. Życie ułatwiają samoobsługa, szybkie przesyłki, przelewy (bez konieczności biegania do placówki) i tani internet mobilny (a nie czekanie na łaskawość dostępu do wi-fi). Pociągi linii Kraków–Warszawa, nie mówiąc już o wreszcie ukończonym po latach połączeniu Kraków–Katowice, jeżdżą szybko i umożliwiają korzystanie z internetu. Długo brałam ze sobą w trasę co grubsze książki, bo wiedziałam, że będę offline.

Wolne koty w barze szybkiej obsługi.

OLGA DRENDA

Doskonale! Nareszcie jesteśmy w przyszłości! Niestety, wszystkie te usprawnienia na rzecz wygody wcale nie zdjęły mi z głowy dojmującego poczucia pośpiechu i zmęczenia. Dlaczego, choć jest obiektywnie wygodniej, wcale tego nie odczuwam? Mogę sobie od ręki przygotować pożywną lasagnę wprost ze sklepu, ale zaoszczędzony czas i wysiłek gdzieś umykają. Przypomina mi to ankietę z archiwalnego numeru „Nowej Wsi" (jestem kolekcjonerką tej gazety). Pytano gospodynie, czy za sprawą mechanizacji pracy na roli i urządzeń AGD w domu ich życie stało się lżejsze i czy mają mniej obowiązków. Uczucia pytanych okazały się mieszane, bo owszem, wiele uciążliwych zajęć zniknęło, ale w ich miejsce pojawiły się nowe obowiązki, chociażby związane z utrzymaniem urządzeń. Zyskany czas sprawił, że rosły apetyty na to, by zająć go... dodatkową pracą. W podobnym duchu pisze dzisiaj filozof kultury Byung-Chul Han, wydany właśnie w Polsce (w przekładzie Michała Sutowskiego). Twierdzi on, że nieskończone możliwości, jakie dają nam innowacje technologiczne, czynią z nas społeczeństwo ludzi tak aktywnych i przedsiębiorczych, że aż skrajnie wyczerpanych – bo ile nowości i możliwości może zmieścić się nam w głowie jednocześnie?

Jak zwykle różnicę widać z perspektywy czasu, nawet niedużej. Kilka lat – a wszystko przyspieszyło tak, że w całej tej wygodzie nie ma gdzie szpilki wcisnąć. Sama padam tego ofiarą, bo mam wielki apetyt na nowości, gnam naprzód i próbuję optymalizować sama siebie, jakbym była aplikacją. Ale *wetware* (w gatunku cyberpunk tak mówi się na poczciwe, biologiczne, zacofane cielsko) nie współpracuje. Irytuję się. A potem przypominam sobie, że dziesięć lat temu udawało mi się jakby więcej, bo wiedziałam, że czasem się nie uda. Że czasem nie będzie internetu, że paczka będzie iść kilka dni, że trzeba pamiętać o wypłaceniu gotówki. To dawało mi mały buforek, trochę swobody. A to dobro luksusowe.

Widocznie trzeba czasem coś zasabotować, dokonać małego aktu hakerskiego, wsadzić kijek w szprychy. Samodzielnie obrać buraka, ziemniaka. Zrobić coś od zera, kupić składniki na danie niegotowe. Zapomnieć telefonu albo pozwolić mu się wyładować. Narysować sobie mapkę na papierze. Nie dać się we wszystkim wyręczać. Dać się zacofać, żeby móc dokonać resetu i przypomnieć sobie, czym jest wygoda, gdy znów zrobi się łatwiej. ©

PAWEŁ

Bravo:
To tylko kino

Sto sześćdziesiąt hrywien trzeba wydać w sklepie internetowym u naszych dzielnych braci, jeśli chce się nabyć flakonik wyciągu z muchomora czerwonego. Większość linków, jakie poznajdowałem przy szybkiej kwerendzie, prowadzi do firm zarejestrowanych na wschodzie, w tym także w Rosji, albo ich tutejszych odnóg. Na dalekie pogranicza głupoty forów i grup muchomorowych skierował mnie kolega, który czule wychwytuje na wpół śmieszne, na wpół upiorne czkawki obyczajowe wielkomiejskiej klasy średniej (średniej głównie umysłowo), która szuka „pozasystemowych" podniet. Moda na świadome zatruwanie się tymi grzybami wychodzi właśnie z ciemnej, znachorskiej niszy i nie wątpię, że wkrótce także rodzimi oszuści zwęszą interes na eliksirach dla ludzi zdesperowanych ciężką chorobą lub znudzonych dotychczasowymi narkotykami.

W sumie to o wiele tańsze i łatwiejsze niż podobne w skutkach wyprawy do Brazylii w celu poddania się magicznym działaniom jadowitej żaby – nie wiem, czy bardziej jadowitej od prezydenta Jaira Bolsonaro. Tańsze, ale i przaśne, każdy w przedszkolu kleił muchomorka z kolorowego papieru i nabywał słusznego przed nim lęku – dlatego siewcy zabobonu uciekają się do podręcznikowych manipulacji słownych, używając łacińskiej nazwy i nadając grzybowi podmiotowej mocy: to nie człowiek idzie go szukać i zrywać, to on mu się objawia i niejako wzywa do zerwania: „zjedz mnie". Jak w przypadku pewnej fikcyjnej (widocznie nie każdy to rozumie) Alicji.

Potrzeba szukania skrótów do zdrowia i zadowolenia – to w ogóle nie dziwi. Ale smuci mnie ten akurat jej przejaw w lokalnym kontekście. Grozi bowiem zerwaniem cennego paktu wzajemnego zaufania, jaki jesienią w Polsce zamienia około połowę populacji w grzybiarzy, a drugą połowę – w tym piszącego te słowa – we wdzięcznych konsumentów ich zdobyczy. Pomimo wszystkich przemian obyczaju ta bardzo pierwotna forma zbieractwa oraz przydatna do niego wiedza reprodukuje się, pozostaje powszechna i wyróżnia nas na tle krajów, gdzie żeby zerwać borowika, ugotować go albo sprzedać, potrzeba kwitów i licencji, a w ogóle to najlepiej nie ruszać, skoro w sklepie sprzedają hodowlane. Nasze grzyby są pyszne, dobry rydz lub kozak jest dla mnie wart smakowo więcej od przereklamowanej trufli, mamy ich w bród, są łatwe i bezpieczne, umiemy je sobie zapewnić bez żadnego udziału rynku i instytucji – więc po co teraz psuć ten delikatny układ perwersyjnym kaprysem, który zaraz zresztą minie, gdy internety oszaleją na punkcie nowego panaceum, oby tylko nieskutecznego, a nie wprost szkodliwego.

A może to przesadne obawy, ile to już razy zapominaliśmy o różnych przelotnych bzdurkach. Nie wróżę np. długiego życia nowej formie przekąski, która „zażarła" tej jesieni wpierw na TikToku, by stać się fenomenem godnym opisywania przez zupełnie poważne gazety (niniejszym „Tygodnik" dołączy do ich grona). Goście przychodzą na kolację, a nie chce wam się artystycznie układać serów i wędlin na desce? Weźcie miękkie masło, rozsmarujcie je łyżką na tejże desce półcentymetrową warstwą, po czym posypcie czym bądź: wpierw solą, potem ziołami i przyprawami, drobno siekanymi orzeszkami, żeby chrupało, maźnijcie jeszcze płynnym miodem (jeśli trzymacie takowy, ja poza akacjowym nie kupuję płynnych, bo to oznacza, że są oszukane). I na koniec obowiązkowo jadalne kwiatki, cała łączka. Goście mogą smarować nożem to coś na przygotowanych obok kromkach albo zagarniać kawałkiem bagietki.

W dzieciństwie lubiłem przejeżdżać połówką rzodkiewki przez osełkę świeżego masła, zostawiając w niej podłużny ślad – nie budziło to wówczas entuzjazmu dorosłych. Dziś wiem, że byłem prekursorem *butter board*, czyli deski maślanej. Próżność i bezsens tej techniki są odwrotnie proporcjonalne do wizualnych efektów dostępnych w setkach wariantów na waszych ekranach. A co najważniejsze w kontekście TikToka – całe przygotowania da się skondensować do pół minuty – tyle właśnie trwa pierwszy, założycielski, by tak rzec, filmik pewnej nowojorskiej foodfluencerki.

Oczywiście nikt mi nie wmówi, że normalny człowiek ma w kuchni na podorędziu słoiczek świeżych płatków nasturcji lub bratka. Ale to tylko kino, nie jedzenie. Zatrzymuję się nad tym dłużej niż zwykle, bo mnie w sumie cieszy, że w tym raczej odrealnionym środowisku ktoś okazuje szacunek do oldskulowego, niewegańskiego masła. Którego – jak głosi pierwsze przykazanie mojej kuchennej wiary – nigdy za dużo. ©℗

ANNAILEISH / ADOBE STOCK

Warto sobie przy tej okazji przypomnieć, ile radości może dać zawczasu przygotowane masło z ziołami – nie tylko z natką pietruszki. Teraz jest akurat ten moment, kiedy przed zimą przycinam na tarasie szałwię i miętę, których część przechowam właśnie w maśle. Technika jest w sumie prosta, jednak często zapominamy o dwóch sprawach: po pierwsze, trzeba miękkie masło mocno utrzeć w misce, choćby widelcem, jeśli nie mamy dobrego miksera, tak by stało się jasne i puszyste (to samo zresztą zróbcie, jeśli chcecie mieć tiktokową deskę maślaną: napowietrzone masło lepiej przyjmuje smaki). Bardzo dobry efekt daje dodatek garstki grubej soli oraz paru kropel soku z cytryny i odrobiny cienko startej skórki z tejże. Następnie rolujemy masło w wałki grubości 2 cm, ciasno zawijamy w folię aluminiową i chowamy do lodówki albo mrozimy.

USZY SIĘ NIE MYLĄ

Nie wierzcie bajkom! Osiołek to żaden głupek i uparciuch. Do listy rzeczy, które mu zawdzięczamy, dołączyła właśnie terapia mentalna. W Alpach korzystają z niej europejscy sportowcy.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z AUSTRII

ALESSANDRA SARTI / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI PROF. HARALDA PERNITSCHA

Pewien owdowiały król miał córkę piękniejszą od innych. Wiedziony ślepą namiętnością postanowił ją poślubić. Bezradna księżniczka postawiła warunek: poślubi króla, gdy ten da jej trzy wyjątkowe suknie. Poprosiła wreszcie o rzecz najcenniejszą: skórę z czarodziejskiego osła z królewskiej stajni. Gdy król spełnił wszystkie jej życzenia, dziewczyna umazała twarz sadzą, założyła zwierzęce okrycie i uciekła z zamku, stając się zwyczajną pomocą gospodarską. Tak zaczyna się słynna wierszowana baśń Charles'a Perraulta „Ośla skórka", w której prawdziwa miłość ostatecznie zwycięża, a ośla skóra chroni królewnę przed kazirodczą przemocą.

Człowiek zawdzięcza osłu całkiem sporo od przynajmniej 5 tysięcy lat, choć wielu badaczy uważa tę relację za znacznie starszą. Nasz towarzysz, pochodzący z północno-wschodniej Afryki, służył swoją pracą, transportując ludzi i ciężary albo orząc pola. Los osła, jak zauważa Władysław Kopaliński, nie zawsze był uważany za pożałowania godny. Starożytność odnosiła się do niego z życzliwością, wręcz respektem, przypisując mu pozytywne cechy – siłę i płodność. W Grecji osioł towarzyszył Dionizosowi, w Egipcie zaś osła przypominało zwierzę przypisane do boga Seta, pana burz i pustyń. Grecki historyk i geograf Strabon twierdził, że Persowie i Grecy używali osiołków do ciągnięcia taborów wojskowych, a ich głośny ryk wykorzystywano w wojskowych fortelach.

Wielką sympatią cieszył się osioł w świecie żydowskim. W Starym Testamencie często występuje jako bohater zbiorowy: stada Hioba liczą setki osłów, Jakub daruje ich Ezawowi kilkadziesiąt, by złagodzić gniew brata. Samson używa oślej szczęki jako broni przeciw Filistynom. W Nowym Testamencie osioł towarzyszy najważniejszym chwilom z życia Świętej Rodziny: narodzeniu, ucieczce do Egiptu czy triumfalnemu wjazdowi Jezusa do Jerozolimy. Te motywy przejmie i rozwinie potem w niezliczonych dziełach sztuka chrześcijańska.

Na Bliskim Wschodzie wciąż służy jako zwierzę juczne i pomagające w gospodarskich pracach. Na Zachodzie bywa traktowany jako zwierzę domowe, wykorzystywane w turystyce (np. w oślim trekkingu), a nawet w kosmetyce i przemyśle spożywczym, które korzystają z pozyskiwanego od oślic mleka. Okazuje się też, że ten, którego kultura Zachodu przez wieki sprowadzała do symbolu uporu i głupoty, nie ma sobie równych w udzielaniu człowiekowi pomocy w wychodzeniu z traum, lęków i nieufności.

Powrót do dzieciectwa

Droga jest tak stroma i kręta, że o zawrót głowy nietrudno. W górze jaskrawy błękit, w dole, na dnie tyrolskiej doliny Inntal, morze zieleni, miniaturowych domków, ulic i mostów. Na wprost oszałamiające piękno Alp Wschodnich. Dom Haralda i Vereny Pernitschów stoi na wysokości 1200 m n.p.m., ale zanim się go zobaczy, biorąc zakręt z głównej drogi, można go już usłyszeć. Ryki osiołków trudno pomylić z czymkolwiek innym.

Dr Pernitsch jest austriackim naukowcem i lekarzem sportowym, specjalizującym się w diagnostyce i prowadzeniu treningów. Szkoli m.in. polskich olimpijczyków, współpracował z Polskim Związkiem Narciarskim. Nie dla Pernitscha jednak sportowcy pną się w górę Tyrolu, lecz dla metody terapii mentalnej, którą wypracował. I dla Ulyssesa, Noah, Chichi i Pauli – jego niezwykłych osiołków, które są podstawą tej metody.

Harald Pernitsch: – Sportowcy, z którymi współpracujemy, mają już opiekę psychologów sportowych. To, czym się tutaj zajmujemy, bardzo różni się więc od zwykłej psychoterapii, która pomaga wypracować mechanizmy umożliwiające radzenie sobie z konkretnymi problemami. Nasz trening schodzi do innego poziomu osobowości sportowca, w pewnym sensie do jego dzieciectwa. Jako dziecko człowiek reaguje na różne sytuacje w sposób dla siebie naturalny. ↦

↦ Dopiero z wiekiem i akulturacją uczy się zachowań, które go chronią, ale jednocześnie oddalają od samego siebie. Traci zaufanie do otoczenia, buduje dystans. Praca z osłem prowadzi z powrotem do ciebie samego, ujawnia osobniczy sposób myślenia, uczy tego, jaki naprawdę jesteś. Pomaga w odbudowywaniu zaufania. Nie trzeba uczyć się niczego nowego, wręcz przeciwnie – trzeba wrócić do własnych korzeni. I to jest sedno naszej terapii. Brzmi prosto, choć w praktyce bywa trudniej.

Na terapię z osiołkami u Pernitschów sportowcy przyjeżdżają na kilka dni, minimum na dwa. Ważne, by na czas spotkań zapewnić sobie spokój i nie doświadczać miejskiego zgiełku w przerwach między sesjami. Dlatego Pernitschowie udostępniają klientom mieszkanie gościnne, urządzone w drewnianym domu nad oślą zagrodą, w miejscu dawnej pracowni doktora, z oszałamiającym widokiem na góry. Do Pernitscha przyjeżdża się tylko raz – uważa on, że jedna sesja wystarczy, by znaleźć klucz do własnego problemu. Można potem wpaść raz na jakiś czas na trening przypominający – ale najważniejsze dzieje się za pierwszym razem.

Na myśl, że osiołek byłby świetnym partnerem do treningów dla sportowców, Pernitsch wpadł przez przypadek: – Niedaleko miejsca, w którym kiedyś mieszkaliśmy, pewien człowiek hodował osły. Chodziliśmy do nich z córkami, wtedy jeszcze małymi. Zauważyłem, że zachowanie zwierząt przypomina najlepszych sportowców, gdy są w dobrej formie: mają jasny umysł, są wyciszone, skupione i dokładnie wiedzą, co mają w danej chwili zrobić. Postanowiłem sprawdzić, czy da się to wykorzystać.

Od razu zabrał się do pracy. Treningi ze sportowcami rozpoczął piętnaście lat temu. Choć Pernitsch nie jest jedynym na kontynencie, który pracuje z osłami (onoterapia jest teraz dość znaną metodą), na brak klientów nie narzeka. Jego autorska metoda terapii w połączeniu ze zdobyczami techniki przyciąga najlepszych sportowców z wielu krajów Europy.

Osły Pernitsch wybrał nieprzypadkowo. Są zwierzętami łaknącymi kontaktu, współpracującymi z człowiekiem, lubią być w centrum uwagi. Lubią też, gdy się do nich mówi. Doceniają partnerskie traktowanie i odwdzięczają się zaufaniem, przywiązaniem i miłością. Osioł zbyt długo przebywający sam nudzi się, a wreszcie cierpi.

– Jest wyjątkowy na tle innych zwierząt. Spokojny, cichy, ekstremalnie wrażliwy i skupiony na otoczeniu. Powszechnie znaną cechą osła jest jego upór. Nie da się go do czegoś na siłę zmusić, bo choć żyje w stadzie, to decyduje za siebie. Inaczej niż konie, które w sytuacji zagrożenia najpierw uciekają, a dopiero potem myślą. Osioł najpierw analizuje: jaka jest najlepsza szansa na przeżycie? Uciekać, atakować, a może przeczekać? – tłumaczy Harald Pernitsch.

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 1208/21 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Tadeuszu Ryszardzie Kacprowiczu, zm. 4 lipca 2019 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Osiołkowatość

Choć jego spokój, oddanie i pracowitość zasługiwałyby na ludzką wdzięczność, w wielu kulturach na przestrzeni wieków widziano osła z najgorszej strony.

Widać to w bajkach i przypowieściach, które po osła jako symbol sięgały chętnie (u Ezopa występuje w bodaj 30 utworach), sprowadzając go jednak do roli ofiary, wyśmiewając i traktując niczym zabawkę. Przypisuje mu się – wbrew rzeczywistości – obżarstwo, próżniactwo i głupotę, za co zresztą często w tych opowieściach otrzymuje cięgi. Śmiech budzą ośla fizjonomia, zwyczaje i cechy charakteru: chrypliwy głos, upór, skłonność do stania w miejscu, powolność chodu, opieszałość i narowistość jednocześnie, indolencja i wsobność.

Jak w literackim oślim portecie („Esel") zauważa autorka Jutta Person, choć ośle uszy – długie, ruchliwe, świadczące nie tylko o doskonałym słuchu, lecz i o nastroju zwierzęcia – są prawdziwym cudem natury, to właśnie one zostały wyśmiane najbardziej, stając się symbolem głupoty i bojaźliwości. Carl Gustav Carus, malarz i filozof natury, uważał, że duże uszy są znakiem niskiej duchowej i umysłowej energii. W dawnej Polsce w szkołach ośle uszy wkładano na głowy nieukom i oprowadzano ich po klasach z okrzykiem „*Asinus asinorum in saecula saeculorum!*". Opcjonalnie sadzano ich za karę w „oślich ławkach", wyśmiewając i karząc za głupotę i lenistwo.

Izraelski badacz prof. Yaacov Shavit w książce „Hamoriut" („Osiołkowatość") zauważa, że tym, co uczyniło osła tak popularnym w mitologii, symbolice, alegorii itd., jest jego podobieństwo do człowieka. Dostrzeżono, że osioł potrafi połączyć w sobie wiele różnych cech charakteru, często przeciwstawnych (mądrość i głupotę, zachłanność i skromność, tajemnicę i przyziemność), w związku z tym łatwo uczynić z niego symbol. Osiołek, pisze Shavit, staje się metaforą człowieczeństwa, z wszystkimi jego atrybutami. Mówiąc krótko, „każdy ma swojego osła", któremu przypisuje takie cechy, jakie są mu potrzebne.

Kontrola stresu

To właśnie potencjał najbardziej ujął Haralda Pernitscha. Oraz fakt, że osły mają ogromną wrażliwość na stres i doskonale go wyczuwają. To dwie ważne cechy zwierzęcia, które doktor wykorzystuje w swojej terapii.

Jak wygląda trening u Pernitscha?

– Klient dostaje proste z pozoru zadanie: poprowadź osiołka, trzymając go za uzdę. Pierwsze chwile treningu są zawsze zabawne, bo to klient idzie do przodu, a osiołek stoi w miejscu. Jest jak lustro: wyczuwa stres i reaguje. Stres stoi w opozycji wobec zaufania, więc osiołek nie ruszy tak długo, jak długo ten stres wyczuwa. Człowiek musi się zastanowić, co zmienić w swoim zachowaniu, by osiołek nabrał do niego zaufania, ale też – by samemu to zaufanie w sobie wzbudzić. Musi poradzić sobie z własnym stresem. W terapii osioł pełni funkcję lustra, które odbija te wszystkie słabości i stres, z którymi najtrudniej jest sobie poradzić. Klient pracuje nad osobowością, rozpoznając te problemy, pozbywając się stresu,

Okazuje się, że ten, którego kultura Zachodu przez wieki sprowadzała do symbolu głupoty, **nie ma sobie równych w udzielaniu człowiekowi pomocy** w wychodzeniu z traum, lęków i nieufności.

ALESSANDRA SARTI / DZIĘKI UPRZEJMOŚCI PROF. HARALDA PERNITSCHA

powracając do swojego naturalnego zachowania. Odczucia podczas tej terapii są na tyle głębokie, że pozostawiają długotrwały ślad. Zaufanie, które odradza się wówczas w człowieku, można dostosować do różnych życiowych sytuacji: problemów w relacjach, w pracy, w osiągnięciach sportowych. Po terapii zaczynasz widzieć korzyści z tego zaufania, szukasz go w sobie, i wiesz już, co musisz zrobić, żeby do tego poczucia dotrzeć – opowiada Pernitsch.

W pracy ze sportowcami Pernitschowi pomaga nowoczesna technologia: system pomiarowy, którego sam jest konstruktorem. Mierzy on poziom stresu, zmęczenia oraz inne parametry, które stają się potem wskaźnikiem podczas pracy z osiołkami.

– Sportowcy codziennie muszą mieć w sobie gotowość do odbycia treningu. Ale nie wystarczy zachowywać dobry rytm wysiłków czy dobrze je dobierać. Istotny jest też poziom zaufania, jaki się w sobie posiada. Możesz mieć świetnie dobrane treningi, ale być zestresowanym. To nie jest droga do sukcesu w sporcie – tłumaczy.

Jednym z regularnych gości u Pernitschów i ich podopiecznych jest Dariusz Popiela, kajakarz, olimpijczyk i społecznik. Jak twierdzi, skuteczność tych treningów przekłada się na realne sportowe osiągnięcia: – Ważnym aspektem treningu psychologicznego sportowca wyczynowego jest to, by starać się odtwarzać stan takiej koncentracji, która towarzyszy nam podczas naszych najlepszych „przejazdów". Osiołki trudno o to podejrzewać, ale faktycznie tak działają: wchodząc na wybieg i trenując z nimi pod okiem doktora różne komendy, odtwarzasz w sobie ten właśnie stan.

Wcześniej Popiela trenował na maszynach do biofeedbacku. Ale żadna nie osiąga tego, co osioł: – Mając w sobie dostęp do stanu idealnej koncentracji, możesz go ze sobą zabrać wszędzie, odtworzyć w dowolnym momencie, przenosić góry tam, gdzie ci to akurat potrzebne, nie tylko na zawodach. W momencie koncentracji przedstartowej powrót do stanu z wybiegu osiołków też ogromnie pomaga.

Jego zdaniem trening z osiołkami pomaga też w pracy nad własnymi emocjami i zachowaniami: – Sportowiec bywa czasem za bardzo pobudzony, złości się. Trening to uświadamia i pomaga sobie z tym radzić. Czasami jest odwrotnie – to osiołek wymaga pobudzenia, i wówczas trzeba popracować nad współpracą, zaufaniem w drużynie. Podczas treningu dociera do ciebie, że to nie jest tak, że dostaniesz coś za darmo, lecz że musisz od siebie dawać. Trening sprawia, że jesteś tego świadomy.

W pracy uwagę Pernitsch poświęca nie tylko swoim klientom, ale też współterapeutom i podopiecznym: Ulyssesowi, Noahowi, Chichi i Pauli. Pomaga mu w tym żona Verena, z wykształcenia pedagożka, z doświadczenia specjalistka od terapii ze zwierzętami, zajmująca się superwizją. Oboje pilnują, żeby zajęcia terapeutyczne nie przeciążały osiołków, dlatego trzymają się ustalonych wcześniej zasad.

– Nie pracujemy z osiołkami codziennie – terapie odbywają się 2-3 razy w tygodniu, potem robimy przerwy, sami z nimi pracujemy. Nie zapraszamy zbyt wielu gości naraz. Nie podejmujemy terapii, jeśli widzimy, że ktoś jest za bardzo zestresowany i mógłby powodować stres u osiołków – mówi Verena Pernitsch.

Pernitsch przyjmuje nie tylko sportowców, lecz i wszystkich tych, którzy są taką terapią zainteresowani. Wrażliwość osiołka jest tym większa, im młodszy jest człowiek, z którym obcuje, a osiołki doskonale odnajdują się jako terapeuci dzieci. Pernitschowie do tej pory nie prowadzili podobnej terapii, biorąc pod uwagę fakt, że – by dobrze ją przejść – trzeba posiąść najpierw zdolność autorefleksji, a ta przychodzi z wiekiem. Teraz jednak ruszają z nowym programem terapii dla dzieci z trudnościami w uczeniu się i deficytami percepcyjnymi.

Dla osiołków z zagrody Pernitschów będzie to oznaczało nowe wyzwanie. I radość ze współprzebywania, bo tak jak nie ma człowieka bez osła, tak i nie ma osła bez człowieka.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

STANISŁAW

Mancewicz:
Mistrzostwo

Niepokoi nas powszechne oczekiwanie, by krajową sytuację polityczną bądź kulturalną oceniać z powagą. Jest to wymaganie niepoważne, rozdzierające i egzaltowane. Świadczy o księżycowych oczekiwaniach, a może uogólnionym lęku, splątaniu i wplątaniu. My – dla przykładu – nie mieszkamy na Księżycu, nie jesteśmy ani egzaltowani, ani zagubieni, takoż nie jesteśmy splątani ani w nic wplątani i się generalnie – zgodnie z dawnym poleceniem – nie lękamy.

Nic, choćby to był sam orzeł biały na piersi A. Macierewicza bądź kolejny tom dzieł zebranych B. Wildsteina, ani następna pinokiada polityczno-historyczno-gospodarcza w wykonaniu M. Morawieckiego, nic nie jest w stanie wytrącić nas z poczucia komfortu i radości. Przeciwnie. Nie skrywamy tego ani w stosunkach prywatnych, ani służbowych. W stosunkach przypadkowych czy takoż zaplanowanych, podczas, dajmy na to, rutynowego spotkania z niemieckim konduktorem. Zwłaszcza gdy nie jedziemy na gapę i nie leżymy pijani w przedsionku wagonu klasy pierwszej podczas podróży zagranicznej. Oto jesteśmy codziennie, od lat, pełni radości i wdzięczności dla J. Kaczyńskiego za przeniesienie szarej rzeczywistości do jej nieokiełznanej kolorami i rozumem karykatury.

Powiada się tu i ówdzie, że Gospodarz jest geniuszem, otaczającym się znakomitymi menedżerami jego pomysłowości. Przyklaskujemy tej opinii, zupełnie jakbyśmy uczestniczyli w jego licznych spotkaniach czy to z pisowskimi artystami i intelektualistami, czy po prostu z ludem miast i wsi. Rytmika oklasków i skandowanie stają się powoli – popatrzmy – podstawowym środkiem wyrazu naszego społeczeństwa. Słowem, to nas i cieszy, i fascynuje, ale też – przyznajemy to z dumą – schlebia naszym najniższym gustom, których zresztą nie wolno teraz krytykować, można bowiem dostać za to naganę od ludzi karykaturalnie moralnych.

A więc Gospodarz i jego pięknie dobrany zespół karykaturzystów pracujących na każdej niwie dnia codziennego III RP, od wschodu do zachodu i od zachodu do wschodu, nadają całuśkiej Krainie Uśmiechu kolorów zaiste jarmarcznych. Można nie mieć wieży Eiffla bądź to piramid egipskich, gdy żyje się pod piramidami zbudowanymi przez Gospodarza. Życie w piramidalnie skarykaturowanym świecie nie może być i nie jest nudne, a nuda jest naszym podstawowym problemem egzystencjalnym i jeżeli się czegokolwiek boimy, to zgnuśnienia w nudzie. Rzec tu wypada, że mamy lekarsko zbadaną skłonność do błyskawicznego nudzenia się, do zdolności zasypiania z otwartymi oczyma w trakcie zebrań, rozmów i debat, potrafimy się nudzić wszędzie i z każdym, o każdej porze i w każdej temperaturze.

Oczywiście i Gospodarz nas czasem nudzi, ale są to sytuacje wyjątkowe, jak choćby otwarcie Przekopu. Po otwarciu Przekopu obiecywaliśmy sobie dużo, a skończyło się na wypiciu napoju energetycznego. Szkoda. Przekop miał potencjał, w naszym mniemaniu zmarnowany. Nie narzekajmy jednak i płyńmy dalej. A więc mamy karykaturę – popatrzmy – totalną, ale co kapitalniejsze, J. Kaczyński nakłonił miliony ludzi do karykaturalnego oglądu i oceny świata i wszechświata. Wymieńmy tu dla jasności wszystkie na razie skarykaturyzowane dziedziny, w kolejności całkowicie przypadkowej: język, dyplomacja, finanse, rozmnażanie się ludzi, zoologia, historia krajowa i historia powszechna, zbawstwo narodu, a więc i naród, ZOMO, spożycie ziemniaków, kontrola biletów w Niemczech, a więc cała tematyka transportu szynowego – to dziś groteska. Podobnie: stosunki morskie, międzynarodowe i krajowe, stosunki seksualne, oponiarstwo, a więc najszerzej pojęta technika grzewcza, finanse, moralność i niemoralność, maniery, a w zasadzie brak manier, patriotyzm, i co kluczowe: zmiany, a w zasadzie dobre zmiany. Idzie nam tu o wykuty w tutejszej rzeczywistości sławny termin „Dobra Zmiana", popatrzmy, jak jego sens skleił się z bezsensem. W sposób tak mistrzowski, że jest dziś karykaturą wszystkiego, co zmienne, i wszystkiego, co dobre. Jest to prawdopodobnie największy kreacyjny sukces Gospodarza i jego pomocników. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

NOWA KSIĄŻKA
WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

W czasach chaosu i dezinformacji potrzebujemy wiarygodnej opowieści o świecie

40% rabatu dla czytelników „Tygodnika Powszechnego"
kod: stronaswiata
Do wykorzystania na stronie znak.com.pl

REKLAMA

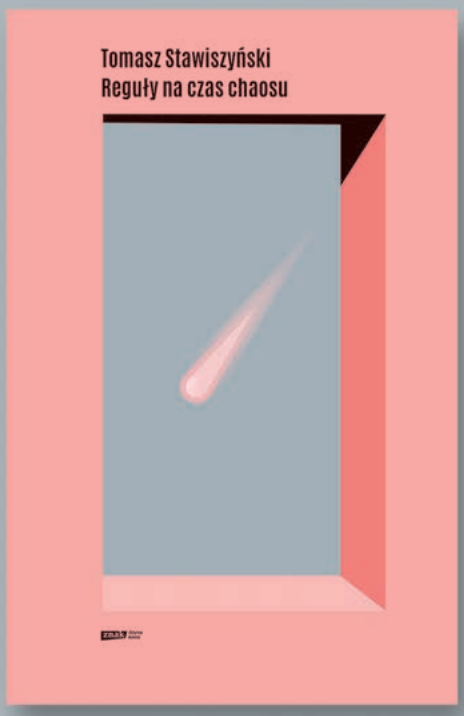

Rabat 40% dla czytelników „Tygodnika Powszechnego"
Kod: **stawiszynski**
Ważny do 10.11.2022 tylko na znak.com.pl

KSIĄŻKA, KTÓRA NIESIE POCIESZENIE W TRUDNYCH CZASACH

- Gdzie szukać sensu, gdy zewsząd zalewają nas złe wiadomości?
- Jak odnaleźć równowagę w niestabilnym świecie?
- Komu i czemu ufać, gdy w najlepsze trwa ogólnoświatowa wojna informacyjna, nadciąga kryzys ekonomiczny, a nasza planeta płonie?

KRÓTKI PRZEWODNIK DLA TYCH, KTÓRZY CZUJĄ LĘK I NIEPEWNOŚĆ

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

Zakupiono w NEXTO: 3691171